

MISTRZOWIE SF

CLIFFORD D.

STARK

W PUŁAPCE CZASU


MIZAR


AMBER

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

.. 1 ..

.. 2 ..

.. 3 ..

.. 4 ..

.. 5 ..

.. 6 ..

.. 7 ..

.. 8 ..

.. 9 ..

.. 10 ..

.. 11 ..

.. 12 ..

.. 13 ..

.. 14 ..

.. 15 ..

.. 16 ..

.. 17 ..

.. 18 ..

.. 19 ..

.. 20 ..

.. 21 ..

.. 22 ..

.. 23 ..

.. 24 ..

.. 25 ..

.. 26 ..

.. 27 ..
.. 28 ..
.. 29 ..
.. 30 ..
.. 31 ..
.. 32 ..
.. 33 ..
.. 34 ..
.. 35 ..
.. 36 ..
.. 37 ..
.. 38 ..
.. 39 ..
.. 40 ..
.. 41 ..
.. 42 ..
.. 43 ..
.. 44 ..
.. 45 ..
.. 46 ..
.. 47 ..
.. 48 ..
.. 49 ..
.. 50 ..
.. 51 ..
.. 52 ..

Clifford D. Simak

W PUŁAPCE CZASU

Przełożył
Sławomir Kędzierski



AMBER
Wydawca światowych
bestsellerów

1993

*Dla Kay, bez której nigdy
nie napisalibyśmy nawet linijki.*

.. 1 ..

Mężczyzna wyszedł ze zmierzchu, kiedy podbarwione zielenią ostatnie złote przebłyski słońca wciąż jeszcze widniały na zachodzie. Stał na krawędzi patia i zawołał:

- Panie Adams, czy to pan?

Rozległo się skrzypnięcie, gdy zaskoczony dźwiękiem jego głosu Christopher Adams poprawił się na krześle. I wtedy przypomniał sobie: dzień lub dwa dni temu z drugiej strony łąki wprowadził się nowy sąsiad. Powiedział mu o tym Jonathon, a Jonathon znał wszystkie okoliczne plotki w promieniu co najmniej stu mil. Dotyczące ludzi, androidów i robotów. - Proszę wejść - odparł Adams. - Cieszę się, że pan wpadł.

Miał nadzieję, że ton jego głosu jest tak serdeczny i przyjazny, jak tego pragnął. Wcale jednak nie był zadowolony. Ten niespodziewany cień, który nagle wyłonił się ze zmierzchu i teraz przemierzał patio, nieco go zirytował i zmartwił.

Potarł dłonią czoło. Moja godzina, pomyślał. Jedna godzina, którą sobie ofiaruję. Godzina, kiedy zapominam... zapominam o tysiącach problemów związanych z innymi gwiazdami. Zapominam i wracam do czarnozielonego mroku, ciszy i subtelnych teatrów cieni mojej własnej planety.

Dlatego na patio nie ma raportów mentofonicznych, akt robotów, wykresów obcych odruchów, nie prowadzi się żadnych galaktycznych konferencji koordynacyjnych... nie knuje psychologicznej intrygi. Nie ma tu nic skomplikowanego ani tajemniczego... No, może jednak się mylę, bo tajemnica wszak istnieje - ale łagodna, zwykła i łatwa do zrozumienia, która

pozostaje tajemnicą tylko dlatego, że tego chcę. Sekret nocnego jastrzębia, którego sylwetkę widzę na tle ciemniejącego nieba, zagadka świetlika tańczącego nad żywopłotem z krzaków bzu.

Jedną połową umysłu dostrzegł, że obcy przeszedł już przez patio i wyciąga rękę, aby przysunąć sobie krzesło, drugą zaś znowu rozmyślał o szerniałych ciałach leżących na brzegu rzeki odległego Aldebarana XII i poskręcany pojeździe, owiniętym wokół drzewa.

Umarło tam trzech ludzi... trzech ludzi i dwa androidy. a androidy były niemal ludźmi. Człowiek zaś nie może umierać w wyniku przemocy, chyba że jest to przemoc zastosowana przez innego człowieka. Ale nawet wtedy wszystko odbywa się albo w honorowy sposób, z zachowaniem wszelkich formalności i uregulowań code duello, albo mniej elegancko - w wyniku aktu zemsty lub egzekucji.

Ludzkie życie było bowiem świętością... Musiało być, bo w przeciwnym razie człowiek już dawno przestałby istnieć. Ludzie są przecież w tak żalösnej mniejszości.

Przemoc czy wypadek?

Koncepcja wypadku była śmieszna.

Wypadki zdarzały się niezwykle rzadko, prawie wcale. Bliskie doskonałości funkcjonowanie mechanizmów, ich zbliżona do ludzkiej inteligencja i także reakcje na wszelkie znane zagrożenia od dawna zredukowały prawdopodobieństwo wypadku niemal do nie istniejącej wielkości.

Żaden pojazd nie mógłby być tak prymitywny, aby uderzyć w drzewo. Szybciej stałby się ofiarą innego, mniej widocznego, niebezpieczeństwa. Ale nigdy nie wpadłby na drzewo.

A więc jednak przemoc.

Nie mogło to być działanie człowieka, bo natychmiast byłoby o

tym wiadomo. Człowiek bowiem nie musiał się niczego obawiać... Wszak nie istniała żadna sankcja prawna. Zaledwie kodeks moralny, a ten nie spowodowałby pociągnięcia do odpowiedzialności jakiegokolwiek zabójcy-człowieka.

Zginęli trzech ludzie.

Zginęli w świecie odległym o pięćdziesiąt lat świetlnych i dla człowieka siedzącego teraz na swoim patio na Ziemi stali się najważniejszą sprawą. O fundamentalnym znaczeniu, gdyż żaden człowiek nie może zginąć inaczej niż z ręki innego człowieka. W przeciwnym razie czyn ten musi pociągnąć za sobą straszliwą zemstę. Nigdzie w Galaktyce nie można odebrać istocie ludzkiej życia, nie płacąc za to potwornej ceny. Inaczej rasa ludzka zginęłaby na zawsze i wielkie galaktyczne braterstwo rozumu zapadłoby się w mrok i rozproszyło w przestrzeni jak poprzednio.

Adams zagłębił się w fotelu, z całej siły starając się rozluźnić. Gniewało go jednak, że myśli... Przecież przyjął zasadę, że o tej porze zmierzchu nie zastanawiał się nad niczym... Albo, na ile pozwalał mu jego mózg, przynajmniej starał się nie myśleć.

Głos przybysza zdawał się dobiegać z daleka, ale Adams wiedział, że mężczyzna siedzi tuż obok.

- Miły wieczór - oznajmił obcy.

Adams zachichotał.

- Wieczory zawsze są miłe. Chłopcy z Meteo dbają, żeby padało dopiero w późniejszych godzinach, gdy już wszyscy śpią.

W gaju u stóp wzgórza drozd rozpoczął swoją wieczorną pieśń i jej rozlewne nuty przesunęły się jak kojąca dłoń po zasypiającym świecie. W dole strumienia próbowana głosu żaba, a może i dwie. Daleko, w jakimś mrocznym zakątku, lelek zaczął basem zadawać pytania. Po drugiej stronie łąki i na falujących

zboczach wzgórz tu i ówdzie rozbłysły światła w domach.

- To najlepsza pora dnia - potwierdził Adams.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął kapciuch oraz fajkę.

- Zapali pan? - zapytał.

Przybysz pokręcił głową.

- Prawdę mówiąc, przyszedłem w interesach.

- Proszę więc pofatygować się do mnie rano - stwierdził sucho Adams. - Nie załatwiam spraw po godzinach pracy.

- Ta dotyczy Ashera Suttona - odparł łagodnie obcy.

Ciało Adamsa wyraźnie się napięło. Jego palce dygotały, gdy niezgrabnie nabijał fajkę. Cieszył się, że w ciemności przybysz nie może tego dostrzec.

- Sutton powróci - dodał gość.

Adams pokręcił głową.

- Wątpię. Wyruszył dwadzieścia lat temu.

- Nie skreślił go pan?

- Nie - odrzekł wolno Adams. - Wciąż jest na liście płac, jeżeli o to panu chodzi.

- Dlaczego? - zapytał mężczyzna. - Dlaczego trzyma go pan jeszcze na liście?

Gospodarz z namysłem ugniatał tytoń w fajce.

- Chyba kierowałem się sentymentem - odpowiedział. - Sentymentem i wiarą. Wiarą w Ashera Suttona. Chociaż zaczyna się ona już wyczerpywać.

- Za pięć dni - oznajmił przybysz - Sutton wróci.

Przerwał na chwilę, a potem dorzucił:

- Wcześniej rano.

- Niemożliwe - stwierdził sucho Adams - żeby pan wiedział coś takiego.

- Wiem. Ten fakt został już zarejestrowany.

Adams parsknął.

- Jeszcze nic się nie stało.

- W moim czasie - tak.

Gospodarz wyprostował się gwałtownie.

- W pańskim czasie?

- Tak - potwierdził spokojnie nieznajomy. - Widzi pan, panie Adams, jestem pańskim następcą.

- Proszę posłuchać, młody człowieku...

- Nie taki znów młody - odparł mężczyzna. - Mam połowę pańskich lat. Zaczynam się starzeć.

- Nie mam następcy - powiedział lodowatym tonem Adams. - Nie było o tym nawet mowy. Dam sobie radę przez następne sto lat. A może i więcej.

- Tak - przyznał obcy - przez więcej niż sto lat. O wiele więcej.

Nie okazując zdenerwowania, Adams zagłębił się w fotelu. Ujął wargami ustnik fajki i dłonią, która zupełnie nie drżała, przyłożył zapalną do tytoniu.

- Zastanówmy się spokojnie - rzekł. - Stwierdził pan, że jest moim następcą, czyli objął moje stanowisko po moim odejściu albo śmierci. A to oznaczałoby, że przybył pan z przyszłości. Oczywiście, nie wierzę w to ani przez chwilę, ale przyjmijmy takie założenie...

- Przedwczoraj opublikowano informację - oznajmił obcy - o człowieku nazwiskiem Michaelson, który utrzymuje, że przeniósł się w przyszłość.

Adams parsknął.

- Czytałem. Na jedną sekundę! Jakim cudem ktoś może stwierdzić, że przeniósł się w przyszłość, skoro trwało to zaledwie sekundę? W jaki sposób mógłby ów fakt zarejestrować i zmierzyć? I co z tego miałyby wynikać?

- Nic - przyznał mężczyzna. - Oczywiście, nie za pierwszym razem. Ale w następnym doświadczeniu przeniesie się w przyszłość na pięć sekund. Pięć sekund, panie Adams. Pięć tyknięć zegara. Czas na jeden krótki oddech. Wszystko musi mieć jakiś punkt wyjścia.

- Podróże w czasie?

Mężczyzna skinął głową.

- Nie wierzę - zaprotestował Adams.

- Obawiałem się, że tak będzie.

- W ciągu ostatnich pięciu tysięcy lat - kontynuował gospodarz - podbiliśmy Galaktykę...

- "Podbiliśmy" nie jest właściwym słowem, panie Adams.

- No cóż, w takim razie opanowaliśmy. Przenieśliśmy się do niej. Niech pan to nazywa, jak sobie życzy. I zetknęliśmy się z przedziwnymi zjawiskami. Dziwniejszymi od tych, o których ludzkość marzyła. Ale nigdy z podrózkami w czasie.

Machnął dłonią w stronę gwiazd.

- W całej tej przestrzeni - dodał - nikt nie zna podróży w czasie. Nikt.

- Teraz już zna - stwierdził obcy. - Od dwóch tygodni. Michaelson przeniósł się w czasie. Na jedną sekundę. To początek. I to wszystko, czego potrzeba.

- No, więc dobrze - rzekł Adams. - Powiedzmy, że istotnie jest pan człowiekiem, który za sto czy więcej lat zajmie moje miejsce. Załóżmy, że przeniósł się pan w przeszłość. Ale po co?

- Żeby poinformować pana, że Sutton wróci.

- Kiedy przybędzie, usłyszę o tym - Adams wzruszył ramionami. - Dlaczego miałbym wiedzieć o tym już teraz?

- Bo gdy Sutton powróci - oznajmił przybysz - należy go zabić.

.. 2 ..

Mały poobijany statek zniżał się wolno jak opadające piórko, osuwając się w stronę lądowiska w ukośnie padających promieniach porannego słońca.

Brodaty obszarpany mężczyzna siedział w fotelu pilota - spięty, z każdym nerwem naciągniętym jak struna.

Skomplikowane, stwierdził jego mózg. Opanowanie tak wielkiego ciężaru, ocena odległości i prędkości to nie lada problem... Trudno przecież zmusić tony metalu, aby spływały w dół lekko, mimo działającej na nie siły ciężenia. To nawet trudniejsze niż unoszenie ich do góry, a wtedy nie wahał się ani przez chwilę, że muszą się wzbić i ruszyć w przestrzeń.

Statek zachybotał. Opanował go, opanował całą siłą woli i umysłu... a potem znowu spływał nim w dół, aż zawisł na wysokości kilku zaledwie stóp nad powierzchnią lądowiska.

Pozwolił mu osiąść tak łagodnie, że prawie nie poczuł dotknięcia ziemi.

Siedział wyprostowany w fotelu i jakby wiotczał powoli, rozluźniając cal po calu najpierw jeden mięsień, potem następny... Jestem zmęczony, powiedział do siebie. To najtrudniejsza praca, jaką kiedykolwiek wykonałem. Gdyby odległość była o kilka mil większa, rozbiłbym go.

Daleko w głębi lądowiska znajdował się kompleks budynków. Wyruszył stamtąd samochód i teraz pędził wzdłuż pasa w jego kierunku.

Powiew wiatru wdarł się przez rozbity luk wizyjny, dotknął jego twarzy i przypomniał mu...

Oddychaj, nakazał sobie. Musisz oddychać, kiedy tu przyjdą. Musisz oddychać, musisz wyjść im na spotkanie i się do nich uśmiechać. Nie mogą niczego zauważyć. Przynajmniej teraz, na samym początku. Broda i ten strój trochę pomogą. Będą tak zajęci przypatrywaniem się, że nie spostrzegą drobiazgów. Ale oddychanie to nie drobiazg. Mogą zauważyć, jeżeli nie będziesz oddychał.

Ostrożnie wciągnął powietrze; zapiekło, wnikając do nozdrzy, przepływając przez gardło i wreszcie wypełniło ogniem płuca.

Następny wdech i jeszcze jeden, aż odczuł, że powietrze ma swój zapach, zawiera życie i jest źródłem dziwnego uniesienia. Krew zaczęła pulsować w gardle, uderzać w skroniach. Dotknął palcami przegubu drugiej dłoni i zarejestrował rytmiczne tętno.

Nadeszły mdłości, krótkie, szarpiące żołądkiem mdłości. Starał się je opanować, siedząc wyprostowany i przypominając sobie wszystko, co powinien zrobić.

Siła woli, pomyślał, siła umysłu... Potęga, której żaden człowiek nie wykorzystał w pełnym zakresie. Wola, która nakazuje ciału wykonywać niezbędne czynności. Siła, która zmusi motor do działania po latach bezczynności.

Następny wdech i jeszcze jeden. Serce biło coraz równiej, pulsując jak pompa.

Uspokój się, żołądku.

Pracuj, wątrobo.

Pompuj dalej, serce.

To nie dlatego, że jesteś stary i zardzewiały, bo nigdy taki nie byłeś. Inny system dopilnował, abys był w dobrej kondycji, żebyś był gotów natychmiast, kiedy zaistnieje potrzeba.

Ale przełączenie się okazało się wstrząsem. Wiedział, że tak będzie. Z niechęcią myślał o chwili, kiedy nastąpi, zdawał sobie

bowiem sprawę, co to oznacza: cierpienia nowego życia i nowego metabolizmu.

Jego umysł zawierał plany ciała i wszystkich jego roboczych części... Niestabilny, drżący obraz, który zachodził mgłą, dygotał i zmieniał kolory.

Stabilizował go jednak potęgą umysłu, siłą woli tak długo, aż schemat stał się nieruchomy, ostry i jasny. Wtedy wiedział już, że najgorsze ma za sobą.

Tak mocno zacisnął dłonie na przyrządach sterowniczych statku, że niemal wygiął metal. Całe ciało spłynęło potem, poczuł się słaby i wiotki. Nerwy uspokajały się coraz bardziej, krew pulsowała rytmicznie, oddychał, nie myśląc już o tym.

Przez chwilę siedział spokojnie w fotelu. Znowu powiew wiatru wpadł przez rozbity iluminator i pogłaskał go po policzku. Samochód szybko się zbliżał.

- Johnny - szepnął. - Jesteśmy w domu. Udało się. To mój dom, Johnny. Miejsce, o którym mówiłem.

Nie było odpowiedzi, jedynie pełne zadowolenia drgnięcie gdzieś w głębi mózgu, dziwne, ukryte głęboko poczucie bezpieczeństwa, podobne do tego, które przeżywamy w wieku ośmiu lat, leżąc w łóżku i otulając się kołdrą.

- Johnny! - zawołał.

I znowu poczuł takie samo drgnięcie... podnoszący na duchu dotyk. Zupełnie jak psi nos, wsuwający się w opuszczoną dłoń. Ktoś łomotał w luk statku. Tłukł pięściami i wołał głośno.

- W porządku - odpowiedział Asher Sutton. - Idę. Już idę.

Sięgnął w dół, podniósł walizeczkę stojącą obok fotela i wsunął ją pod ramię. Podszedł do luku, otworzył go i zszedł na ziemię.

Przed nim stał tylko jeden człowiek.

- Hallo - powitał go Sutton.

- Witamy na Ziemi, sir - odparł mężczyzna i to “sir” poruszyło jakieś struny pamięci. Spojrzał na czoło rozmówcy i zobaczył delikatny ślad wytatuowanego numeru seryjnego.

Zapomniał o androidach. Zapewne również o wielu innych rzeczach. O drobnych regułach postępowania, które przeminęły w ciągu dwudziestu lat.

Spostrzegł, że android patrzy na niego - na nagie kolano sterczące z przetartej nogawki, na bose stopy, wyjaśnił więc ostro:

- Tam, gdzie byłem, nie mogłem codziennie kupować garnituru.

- Nie, proszę pana - zgodził się android.

- A brodę mam dlatego - oznajmił Sutton - że nie mogłem się golić.

- Już widziałem brody - rzekł android.

Asher stał spokojnie i patrzył na rozpościerający się przed nim świat... Na strzelające w górę, lśniące w porannym słońcu wieże, na zieleń parku i łąki, ciemniejsze w odcieniu liście drzew, błękitne i szkarłatne plamy klombów na pochylonych tarasach.

Wziął głęboki wdech i poczuł powietrze wypełniające mu płuca, wędrujące w poszukiwaniu wszystkich, najdalszych nawet pęcherzyków, które od tak dawna były go pozbawione. I wszystko zaczęło powracać, znowu do niego powracać... Wspomnienie życia na Ziemi, słońca o świcie i płomienistych zachodów, głębokiego błękitu nieba i rosy na trawie, pospiesznych, zmieszanych tonów ludzkiej mowy, rytmu ludzkiej muzyki, przyjaznych ptaków i wiewiórek - po prostu spokoju i przyjemności życia.

- Samochód czeka - oznajmił android. - Zawiozę pana do człowieka.

- Wolałbym iść pieszo - odparł Sutton.

Android pokręcił głową.

- Człowiek oczekuje pana i bardzo się niecierpliwi.

- No, dobrze - zgodził się Asher.

Fotel był miękki; zapadał się w niego stopniowo, trzymając ostrożnie walizeczkę na kolanach.

Kiedy jechali, patrzył przez okno, zafascynowany bogactwem zieleni.

- Zielone pola Ziemi - powiedział. - A może były to "zielone pagórki"? Zresztą, nieważne. Tak brzmiały słowa piosenki napisanej dawno temu. Wtedy, gdy na Ziemi były jeszcze pola, a nie parki; pola, na których Człowiek orał ziemię, aby przygotować ją pod coś ważniejszego niż kwietniki. Było tak tysiące lat temu, kiedy Człowiek dopiero poczuł w duszy zew kosmosu. Wiele lat przed tym, nim Ziemia stała się stolicą i centrum galaktycznego imperium.

Wielki statek międzygwiazdny startował z odległego krańca pola startowego i popychany płomieniami tryskającymi z dysz silników, ślizgał się po gładkich jak lód plastikowych prowadnicach. Jego dziób przemknął po odchylonym ku górze wygięciu rampy startowej i kosmolot przekształcił się w grzmiącą smugę srebra pędzącą w błękit, która błysnęła czerwonym złotem w porannym słońcu i zniknęła, pochłonięta lazurową mgłą nieba.

Sutton znowu popatrzył na Ziemię; siedział nieruchomo, sycąc się jej widokiem, jak człowiek po wielomiesięcznej zimie syci się pierwszymi promieniami silnego wiosennego słońca.

Daleko na północy piętrzyły się podwójne wieże Urzędu Sprawiedliwości, Wydziału do Spraw Obcych. Na wschodzie zaś widniała piramida lśniącego plastyku i szkła, która była

Uniwersytetem Północnoamerykańskim. I inne budynki, o których zapomniał... do których nie mógł dopasować żadnej nazwy. Oddzielały je całe mile, a między nimi znajdowały się parki i dzielnice mieszkalne. Żaden z domów nie stał w pozbawionej życia pustce - wszystkie były osłonięte drzewami i krzewami. Przez zieleń pokrywającą falujące wzgórza dostrzegał przebłycki barw, zdradzające miejsca zamieszkałe przez ludzi.

Samochód zatrzymał się płynnie przed gmachem zarządu kosmoportu i android otworzył drzwi.

- Tędy, proszę pana - powiedział.

W holu zajętych było zaledwie kilka krzeseł. Siedzieli na nich przeważnie ludzie. Ludzie lub androidy, pomyślał Sutton. Trudno to rozróżnić, dopóki nie zobaczy się ich czoł.

Znak na czole, marka producenta. Wymowny ślad, który oznajmia: "To nie człowiek, choć wygląda jak on".

To właśnie one, androidy, będą mnie słuchały. To one zwrócą uwagę na moje słowa. To one uchronią mnie przed przyszłą nienawiścią, którą Człowiek może zacząć do mnie żywić.

Są bowiem w sytuacji gorszej niż wydziedziczeni. Nie są byłymi ludźmi, są tymi, którzy nigdy nimi nie byli.

Nie zrodziła ich kobieta, lecz powstały w laboratorium. Ich matką jest retorta z chemikaliami, a ojcem pomysłowość i technologia normalnej rasy.

Android - sztuczny człowiek. Stworzony w laboratorium jako wynik ogromnej wiedzy Człowieka o chemikaliach, atomach, strukturze molekularnej i dziwnych reakcjach chemicznych, które znamy pod nazwą życia.

Androidy są ludźmi pod każdym prawie względem, oprócz dwóch wyjątków: znaku na czole i niezdolności do biologicznej reprodukcji.

Sztuczni ludzie, którzy mają pomagać ludziom prawdziwym, biologicznym, dźwigać ciężar galaktycznego imperium, sprawiać, by cieniutka linia ludzkości stała się nieco grubsza. Ale muszą znać swoje miejsce. O tak, z całą pewnością muszą znać swoje miejsce. Korytarz był pusty i Sutton, klapiąc bosymi stopami o podłogę, szedł za androidem. Zatrzymali się przed drzwiami, na których widniał napis:

THOMAS H. DAVIS

(Człowiek)

Kierownik Działu Operacyjnego

- To tutaj - oznajmił android.

Sutton wszedł do środka. Mężczyzna siedzący za biurkiem podniósł wzrok i głośno przełknął ślinę.

- Jestem człowiekiem - rzekł Asher. - Może na niego nie wyglądam, ale nim jestem.

Mężczyzna za biurkiem wskazał kciukiem krzesło.

- Niech pan siada - polecił.

Sutton usiadł.

- Dlaczego nie odpowiadał pan na nasze sygnały? - zapytał Davis.

- Miałem popsuty aparat - wyjaśnił Asher.

- Pański statek nie ma znaków rejestracyjnych.

- Zmyły je deszcze - stwierdził Sutton - a nie miałem farby.

- Deszcz nie zmywa farby.

- Na Ziemi, zgoda. Ale nie tam gdzie byłem

- A pańskie silniki? - dociekał Davish - Nie odbieraliśmy żadnych oznak ich pracy.

- Bo nie pracowały - odparł indagowany.

Grdyka Davisa poruszyła się w górę i w dół.

- Nie pracowały? W jaki więc sposób pan leciał?

- Za pomocą energii.

- Energii... - kierownik Działu Operacyjnego wyglądał, jakby się zakrztusił.

Sutton patrzył na niego lodowatym wzrokiem.

- Czy jeszcze coś? - spytał.

Davis był wyraźnie zmieszany. Wszystko się poplątało. Odpowiedzi były niewłaściwe. Przez chwilę bawił się ołówkiem.

- Chyba tylko zwykła procedura. - Przysunął do siebie plik blankietów.

- Nazwisko?

- Asher Sutton.

- Miejsce star... Zaraz, chwileczkę! Asher Sutton?

Cisnął ołówek na formularze i odepchnął je od siebie.

- Owszem.

- Dlaczego nie powiedział mi pan tego od razu.

- Nie miałem okazji.

Najwyraźniej Davis stracił głowę.

- Gdybym wiedział... - zaczął.

- To przez moją brodę - rzekł Sutton.

- Mój ojciec, Jim Davis, często mi o panu opowiadał. Może go pan sobie przypomina?

Sutton zaprzeczył ruchem głowy.

- Był wielkim przyjacielem pańskiego ojca. To znaczy... znali się.

- Jak się ma mój ojciec? - zapytał Asher.

- Wspaniale - zapewnił entuzjastycznie Davis. - Świetnie się trzyma. Posunął się w latach, ale...

- Moi rodzice - stwierdził chłodno Sutton - zmarli pięćdziesiąt

lat temu w czasie pandemii na Argus.

Wstał i spojrział tamtemu prosto w oczy.

- Jeżeli już pan skończył - powiedział - to chciałbym pójść do mojego hotelu. Chyba znajdą dla mnie jakiś pokój?

- Oczywiście, panie Sutton, oczywiście. A w którym się pan zatrzyma?

- W "Herbie Oriona".

Davis sięgnął do szuflady, wyjął informator, przerzucił strony i przesunął drżącym palcem po kolumnie.

- Cherry 26-3489 - oświadczył. - Teleport jest tutaj.

Wskazał wpuszczoną w ścianę kabinę.

- Dziękuję.

- A jeżeli chodzi o pańskiego ojca, panie Sutton...

- Wiem - odparł Asher. - Cieszę się, że mnie pan ostrzegł zawczasu.

Odwrócił się i podszedł do teleportu. Zanim zamknął za sobą drzwi, obejrzał się.

Davis szybko mówił coś do widofonu.

.. 3 ..

Dwadzieścia lat niezbyt zmieniło “Herb Oriona”.

Wychodząc z teleportu, Sutton miał wrażenie, że hotel wygląda dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy go opuścił. Był może trochę bardziej zapuszczony i staroświecki... ale nie przestał być jego domem. A w nim -jak dawniej - cichy szelest dyskretnych kroków, niegustowne umeblowanie, palec na ustach, bezgłośnie poruszająca się służba, wymuszona dystynkcja, którą pamiętał i o której marzył przez długie lata pobytu wśród obcych.

Żywy fresk na ścianie, ten sam co przedtem. Może nieco wyblakł z upływem czasu, ale był dokładnie taki, jakim go pamiętał. Po dwudziestu latach ten sam, przypominający kozła. Pan wciąż jeszcze ścigał przerażone dziewczyny po tych samych wzgórzach i dolinach. Ten sam królik wyskakiwał zza krzaka i przeżuwał swoją wieczną koniczynę, obserwował pościg z taką samą znudzoną miną.

Samoprzystosowujące się meble, zakupione w chwili, gdy kierownictwo podjęło decyzję o udostępnieniu hotelu obcym, były przestarzałe już dwadzieścia lat temu. Ale wciąż się tu znajdowały. Pomalowane na nowo farbami w łagodnych pastelowych odcieniach, ciągle dostosowywały swoje kształty wyłącznie do ludzkich ciał.

Gąbczasta podłoga utraciła nieco ze swej elastyczności, a kaktus z Ceti musiał zapewne wreszcie zwiędnąć, bo na jego miejscu stała donica ze zwykłą ziemską gerania. Recepcjonista wyłączył raptownie widofon i się odwrócił.

- Dzień dobry, panie Sutton - powitał go uprzejmym głosem androida.

I po chwili namysłu dodał:

- Zastanawialiśmy się, kiedy pana znowu zobaczymy.

- Dwadzieścia lat - odparł sucho Asher - to dość dużo czasu na zastanawianie.

- Zatrzymaliśmy dla pana pański apartament - powiedział recepcjonista. - Wiedzieliśmy, że będzie pan chciał się w nim zatrzymać. Mary sprzątała go i szykowała dla pana przez cały czas od pańskiego wyjazdu.

- To miłe z twojej strony, Ferdynandzie.

- Prawie się pan nie zmienił - stwierdził android.- Tylko ta broda. Poznałem pana natychmiast, od pierwszego spojrzenia, gdy się tylko odwróciłem.

- Broda i odzież - dodał Sutton. - Jest w fatalnym stanie.

- Nie sądzę, aby miał pan bagaż, panie Sutton - rzekł Ferdynand.

- Nie mam.

- Może więc zje pan śniadanie. Wciąż podajemy śniadania.

Asher zawahał się, ale nagle uświadomił sobie, że jest głodny. Przez chwilę zastanawiał się, jak jego żołądek zareaguje na jedzenie.

- Mogę znaleźć dla pana parawan - zaproponował Ferdynand.

Sutton pokręcił głową.

- Nie. Lepiej się umyję i ogolę. Przyślij śniadanie i nowe ubranie do mojego apartamentu.

- Podam jajecznicę, dobrze? Zawsze lubił pan jajecznicę na śniadanie.

- Bardzo dobrze - odparł Asher.

Powoli odwrócił się od kontuaru i ruszył w stronę windy. Miał

właśnie zamknąć drzwi, kiedy usłyszał wołanie:

- Proszę poczekać!

Przez hol biegła dziewczyna... długonoga i miedzianowłosa. Wsunęła się do windy i stanęła, dotykając plecami ściany.

- Bardzo dziękuję - powiedziała. - Dziękuję, że pan na mnie poczekał.

Sutton zauważył, że jej skóra jest biała jak kwiat magnolii, a w oczach o barwie granitu kryją się na dnie migotliwe cienie.

Delikatnie zamknął drzwi.

- Cała przyjemność po mojej stronie - stwierdził.

Dostrzegł, że jej usta drgnęły leciutko, więc dodał:

- Nie lubię butów. Za bardzo mnie uwierają.

Nacisnął gwałtownie guzik i winda ruszyła w górę. Migoczące światelko wskazywało mijane piętra.

Zatrzymał kabinę.

- Moje piętro - oświadczył.

Otworzył drzwi i już miał wyjść, kiedy odezwała się dziewczyna:

- Proszę pana.

- Słucham, o co chodzi?

- Wcale nie chciałam się śmiać. Słowo honoru, że nie chciałam.

- Miała pani powód do śmiechu - odparł i zamknął za sobą drzwi.

Przez chwilę stał nieruchomo, starając się przezwyciężyć nagłe napięcie, które ścisnęło go jak jakaś potężna pięść.

Ostrożnie, powiedział sobie. Spokojnie, chłopcze. Jesteś wreszcie w domu. W miejscu, o którym marzyłeś. Musisz jeszcze minąć kilkoro drzwi i będziesz u siebie. Wyciągniesz rękę, naciśniesz klamkę, pchniesz drzwi i znajdziesz się w środku...

Tak jak pamiętałeś. Ulubiony fotel, żywe obrazy na ścianie, mała fontanna z syrenkami z Wenus... i okna, przy których możesz usiąść i napawać się widokiem Ziemi. Ale nie możesz dać się ponieść emocjom. Nie możesz stać się miękki i mazgajowaty.

Ten jegomość w kosmoporcie skłamał, a hotele nie trzymają zarezerwowanych pokoi przez dwadzieścia lat. Coś tu jest nie tak. Nie wiem co, ale jest. Strasznie nie tak.

Wolno zrobił jeden krok... potem drugi, starając się przezwyciężyć napięcie, przełykając ślinę, aby zwilżyć wysuszone podnieceniem gardło.

Pamiętał, że na jednym z obrazów był strumyk płynący przez las, między drzewami zaś przelatowały ptaki. W najbardziej nieoczekiwanych momentach, zazwyczaj o świcie albo o zachodzie słońca, któryś z ptaków zaczynał śpiewać. A woda bulgotała, akompaniując ptasiej piosence, której można było słuchać godzinami. Uświadomił sobie, że biegnie, ale nie próbował zwolnić. Jego palce objęły klamkę i nacisnęły ją. Zobaczył pokój - ulubiony fotel, połyskujący strumyk, kąpiące się syreny...

Przechodząc przez próg, poczuł tchnienie niebezpieczeństwa. Próbował jeszcze się odwrócić, uciec, ale było już za późno. Zdał sobie sprawę, że jego ciało pochyla się do przodu, a potem bezwładnie pada na podłogę.

- Johnny! - zawołał i krzyk zabulgotał mu w gardle. - Johnny!

Głos wewnątrz jego mózgu szepnął w odpowiedzi:

- W porządku, Ash. Jesteśmy zamknięci.

I nastąpiła ciemność.

.. 4 ..

Ktoś był w pokoju i dlatego Sutton w dalszym ciągu zaciskał powieki i wolno oddychał. Ktoś wolno spacerował po apartamencie. Zatrzymał się na chwilę przy oknie i wyjrzał na zewnątrz, potem podszedł do kominka i zaczął przyglądać się obrazowi przedstawiającemu leśny strumyk. W panującej ciszy Sutton słyszał bulgoczący śmiech namalowanego strumienia zlewający się z pluskiem fontanny, z namalowanych drzew dobiegały go ciche ptasie trele, wyobraził sobie nawet, że czuje zapach butwiejącej leśnej ściółki i chłodny, wilgotny aromat mchu rosnącego wzdłuż brzegów potoku.

Znajdująca się w pokoju osoba wróciła na poprzednie miejsce i usiadła w fotelu. Prawie niesłyszalnie zaczęła poświstywać melodyjkę. Śmieszna rytmiczną melodyjkę, której Sutton nigdy dotąd nie słyszał.

Ktoś dokładnie mnie skontrolował, pomyślał. Najpierw błyskawicznie wyłączył - gazem albo proszkiem, a potem drobiazgowo sprawdził. Wydaje mi się, że coś sobie przypominam... niewyraźnie, jak przez mgłę. Palące się światła i sondowanie mózgu. Mogłem z tym walczyć, ale wiedziałem, że nie ma sensu. A poza tym, proszę bardzo, mogą dysponować wszystkim, co znaleźli w moim umyśle - pogratulował sobie z satysfakcją. Tak, bardzo proszę, mogą sobie zabrać wszystko, co ze mnie wydobyli. Znaleźli to, co chcieli, i poszli sobie. Zostawili kogoś, żeby mnie pilnował, i ten ktoś siedzi teraz w moim pokoju. Poruszył się na łóżku i otworzył oczy. Zrobił to wolno, starając się, aby wyglądały szklście, a spojrzenie było trochę nieostre.

Mężczyzna wstał z fotela i Sutton zobaczył, że jest ubrany na białe. Przeszedł przez pokój i pochylił się nad jego łóżkiem.

- Czy już dobrze się pan czuje? - zapytał.

Asher podniósł dłoń i z oszołomieniem przesunął ją po twarzy.

- Tak - odpowiedział. - Chyba tak.

- Zemdlał pan - poinformował go nieznajomy.

- Chyba zjadłem coś nieodpowiedniego - stwierdził Sutton.

Mężczyzna pokręcił głową.

- To raczej zmęczenie podróży. Musiała być trudna.

- O tak - przyznał Asher. - Rzeczywiście trudna.

No, dalej, pomyślał. Pytaj dalej. Takie otrzymałeś polecenie. Bierz mnie na spytki, dopóki jestem oszołomiony, wyciśnij mnie jak gąbkę. Dalej, zadawaj pytania i zarób swoje cholerne pieniądze.

Pomylił się.

Obcy się wyprostował.

- Sądzę, że już wszystko w porządku - powiedział. - Jeżeli źle się pan poczuje, proszę mnie wezwać. Moja wizytówka leży na półce nad kominkiem

- Dziękuję, doktorze.

Obserwował idącego przez pokój lekarza. Począł do chwili, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi, i usiadł na łóżku. Sperta jego ubrań leżała na środku pomieszczenia. Walizeczka? Tak, jest również - na fotelu. Z całą pewnością dokładnie ją zrewidowano, a jej zawartość sfotografowano. Najprawdopodobniej podłączono także szpiegowskie promienie. W całym pokoju. Uszy słuchają, oczy patrzą.

Ale kto? - zapytał sam siebie. Nikt nie wiedział, że wraca. Nikt nie mógł wiedzieć. Nawet Adams. Nie miał możliwości. Przecież

nie istniał sposób, żeby się o nim dowiedzieli.

Dziwne.

Dziwne, że Davis w kosmoporcie znał jego nazwisko i wymyślił historyjkę, aby to ukryć. Dziwne, że Ferdynand udawał, iż trzymano dla niego ten apartament przez dwadzieścia lat. Zdumiewające również, że recepcjonista zaczął z nim rozmawiać tak, jakby te dwadzieścia lat nic nie znaczyło. Doskonale zorganizowane, pomyślał Sutton. Działa jak system przełączników. Ustawiony i czekający na mnie. Ale dlaczego ktoś miałby na niego czekać? Nikt przecież nie wiedział, kiedy wraca. Ani czy w ogóle wróci.

Bo nie mogą wiedzieć... Nie powinni wiedzieć o tym, co ma, nie mogą się tego nawet domyślać. Mało prawdopodobne, że zorientowali się, iż wraca. Było to jednak milion razy bardziej prawdopodobne niż ich znajomość prawdziwego powodu jego przybycia.

Zresztą gdyby naprawdę mnie poznali, pomyślał, i tak by nie uwierzyli. Kiedy obejrzą statek, oczywiście zaczną się dziwić, i wtedy mogłoby się wydać wszystko, co zaszło. Ale przecież nie mieli na to jeszcze czasu. Nie czekając ani minuty, zorganizowali zawczasu zasadzkę i zabrali się do mnie w tej samej sekundzie, kiedy wylądowałem.

Davis wepchnął mnie do teleportu i jak wariat złapał za słuchawkę. Ferdynand zaś wiedział, że jestem w drodze i odwracając się był przygotowany, iż mnie zobaczy. A dziewczyna - dziewczyna z oczyma szarymi jak granit?

Sutton wstał i się przeciągnął. Przede wszystkim kąpiel i golenie, postanowił. A potem jakaś odzież i śniadanie. No i jedna albo dwie rozmowy przez wideo.

Nie zachowuj się tak, jakbyś się czuł czymś szczególnie

podniecony, ostrzegał sam siebie. Bądź naturalny. Dłub w nosie. Mów do siebie. Wyciśnij węża. Otrzyj się grzbietem o framugę drzwi. Zachowuj się tak, jakbyś był sam.

Ale bądź ostrożny.

Ktoś cię obserwuje.

.. 5 ..

Sutton kończył właśnie śniadanie, kiedy wszedł android.

- Nazywam się Herkimer - oznajmił. - Należę do pana Geoffreya Bentona.

- Jesteś tu z polecenia pana Bentona?

- Tak. Przysłała wyzwanie.

- Wyzwanie?

- Tak. Wie pan, na pojedynek.

- Ale jestem bez broni.

- Nie może pan być nie uzbrojony - zaprotestował Herkimer.

- Nigdy w życiu nie stoczyłem pojedynku - rzekł Sutton. - I nie mam zamiaru czynić tego teraz.

- Jest pan zagrożony.

- Co to znaczy: zagrożony? Jeżeli stawię się bez broni...

- Ależ nie może pan stawić się nie uzbrojony. Rok czy dwa lata temu zmieniono kodeks honorowy. Żaden mężczyzna w wieku poniżej stu lat nie może się stawić bez broni.

- A gdybym tak zrobił?

- No cóż - odparł Herkimer - każdy, kto będzie miał ochotę, może pana zastrzelić jak królika.

- Jesteś tego pewien?

Android sięgnął do kieszeni i wydobyl małą książeczkę. Poślinił palec i zaczął przerzucać stronicę.

- Mam to tutaj zapisane - powiedział.

- Nieważne - rzekł Sutton. - Wierzę na słowo.

- W takim razie przyjmuje pan wyzwanie?

Asher się skrzywił.

- Chyba będę musiał. Zakładam, że pan Benton poczeka, aż kupię pistolet.

- Nie ma takiej potrzeby - wyjaśnił radośnie Herkimer. - Przyniosłem go ze sobą. Pan Benton zawsze tak robi. Rozumie pan, ma taki gest. Na wypadek, gdyby ktoś nie dysponował bronią.

Znowu włożył rękę do kieszeni i wyjął pistolet. Sutton wziął go i położył na stole.

- Wygląda niezgrabnie - stwierdził.

Herkimer zeszywniał.

- Jest tradycyjny - oświadczył. - Najdoskonalsza broń, jaką kiedykolwiek wykonano. Strzela pociskiem o kalibrze 0,45 cala. Amunicja ręcznie ładowana. Celownik ustawiony na pięćdziesiąt stóp.

- Czy pociąga się za to? - zapytał Asher, wskazując palcem.

Android skinął głową.

- To się nazywa spust. I nie pociąga się go, ale przyciska.

- Właściwie dlaczego pan Benton rzuca mi wyzwanie? - dociekał Sutton. - Przecież w ogóle go nie znam. Nigdy o nim nie słyszałem.

- Jest pan sławny - odparł Herkimer.

- Pierwszy raz słyszę.

- Jest pan badaczem - zauważył android. - Właśnie wrócił pan z długiej i niebezpiecznej misji. Nosi pan tajemniczo wyglądającą walizeczkę. A w holu czekają reporterzy.

- Rozumiem - Sutton skinął głową. - Pan Benton lubi zabijać tylko znane osobistości.

- Rzeczywiście, lepiej jeżeli są sławne - przyznał Herkimer. - Większy rozgłos.

- Ależ ja nie znam pana Bentona. Skąd będę wiedział, do kogo

strzelać?

- Pokażę panu - rzekł android - w wizorze.

Podszedł do biurka, wybrał numer i cofnął się nieco.

- Oto on - oznajmił.

Na ekranie widać było mężczyznę siedzącego przy stoliku szachowym. Rozgrywka była w toku. Z drugiej strony szachownicy stał znakomicie wykonany robot.

Mężczyzna wyciągnął rękę i z namysłem dotknął konia szachowego. Robot zabrzczał i cmoknął. Ruszył laufra. Benton pochylił się nad polem szachowym. Podniósł rękę i podrapał się po karku.

- Oskar sprawia mu kłopoty - wyjaśnił Herkimer. - Zawsze tak robi. W ciągu ostatnich dziesięciu lat pan Benton nie wygrał ani jednej partii.

- Dlaczego więc gra?

- Jest uparty - stwierdził android. - Ale Oskar również jest uparty.

Zrobił ruch ręką.

- Maszyny mogą być o wiele bardziej uparte niż ludzie. Tak są skonstruowane.

- Ale przecież Benton, zlecając produkcję Oskara, musiał wiedzieć, że robot będzie go zwyciężał - zauważył Sutton. - Człowiek po prostu nie może pokonać robota eksperta.

- Pan Benton wie o tym - odparł Herkimer - ale w to nie wierzy. Chce udowodnić, że jest inaczej.

- Jest egomaniakiem - stwierdził Sutton.

Android popatrzył na niego spokojnie.

- Sądzę, że ma pan rację, sir. Sam niekiedy tak myślę.

Asher znowu spojrział na Bentona, który - mocno przygryzając kostki dłoni - wciąż siedział zgarbiony nad szachownicą. Jego

pożyłkowana twarz była czysta i różowa, a oczy, choć zamyślane, spoglądały dość przyjaźnie i zdradzały sporą dozę wewnętrznej kultury.

- Teraz już go pan pozna? - spytał Herkimer.

Sutton skinął głową.

- Tak. Nie wygląda zbyt niebezpiecznie.

- Zabił szesnastu ludzi - oznajmił sztywno android. - Zamierza odłożyć pistolet, kiedy dojdzie do dwudziestu pięciu. - Spojrzał mu prosto w oczy i dodał:

- Pan ma być siedemnasty.

- Spróbuję nie robić mu trudności - przyrzekł pokornym tonem Asher.

- Jakiego rodzaju pojedynek pan sobie życzy? - zapytał Herkimer. - Formalny czy nieformalny?

- Ustalmy, że wszystkie chwytaki są dozwolone.

Android spojrział na niego z dezaprobatą.

- Istnieją pewne zasady...

- Możesz przekazać panu Bentonowi - oświadczył Sutton - że nie mam zamiaru urządzić na niego zasadzki.

Herkimer włożył kapelusz.

- Życzę powodzenia, sir - powiedział.

- No cóż, dziękuję, Herkimer.

Drzwi się zamknęły i Sutton został sam. Odwrócił się w stronę ekranu. Benton próbował zrobić rozsadę. Oskar zachichotał, przesunął królową o trzy pola i zaszachował króla. Wyłączył wizor. Podrapał się po świeżo ogolonym podbródku. Zbieg okoliczności czy plan? Trudno zgadnąć. Jedna z syren wspięła się na krawędź fontanny i jej maleńka trzycalowa postać balansowała niebezpiecznie. Gwizdnęła na Ashera. Odwrócił się gwałtownie, słysząc ten dźwięk, a wtedy ona zanurkowała do

basenu i zaczęła w nim pływać, naigrawając się z niego wyuzdanymi gestami. Sutton pochylił się, sięgnął na półkę z wizorem, wyjął egzemplarz INF-JAT i szybko przerzucił kartki.

INFORMACJA ziemską.

I nagłówki części:

Kulinaria

Kultura

Obyczaje

To będzie to: Obyczaje.

Znalazł rozdział POJEDYNKI, zapisał numer i włożył książkę na miejsce. Wybrał numer i nastawił przełącznik na rozmowę bezpośrednią. Opływowa, modernistyczna w swym zarysie, twarz robota wypełniła ekran.

- Do usług, sir.

- Wyzwano mnie na pojedynek - oznajmił Asher.

Robot czekał na pytanie.

- Nie chcę się bić - wyjaśnił Sutton. - Czy jest jakiś prawny sposób wycofania się? Chciałbym to zrobić elegancko, chociaż nie jest to konieczne.

- Nie istnieje taki sposób - odparł robot.

- Żaden?

- Ma pan mniej niż sto lat?

- Tak.

- Jest pan zdrowy na ciele i umyśle?

- Tak sądzę.

- Jest pan czy nie? Proszę się zdecydować.

- Jestem - rzekł Sutton.

- Czy należy pan do którejś z uznanych religii zabraniających zabijania?

- Chyba mogę twierdzić, że jestem chrześcijaninem - powiedział Asher. - Wiem, że jest przykazanie dotyczące zabijania.

Robot pokręcił głową.

- To się nie liczy.

- Jest wyraźne i jednoznaczne - zaprotestował Sutton. - "Nie zabijaj".

- Owszem - odparł robot. - Ale zostało unieważnione. Wy, ludzie, sami je unieważniliście, nigdy go nie przestrzegając. Albo się coś respektuje, albo traci to ważność. Nie można lekceważyć czegoś w jednym zdaniu i powoływać się na to samo w następnym.

- W takim razie wpadłem w tarapaty.

- Zgodnie z poprawką z roku siedem tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiątego - wyjaśnił robot - uwzględnioną w konwencji, każdy osobnik płci męskiej w wieku poniżej stu lat, zdrowy na ciele i umyśle, a także nie ograniczony żadnymi więzami wynikającymi z weryfikowanych sędownie przekonania lub zasad religijnych musi walczyć w pojedynku, na który go wyzwano.

- Rozumiem.

- Historia pojedynków - oświadczył robot - jest niezmiernie interesująca.

- To barbarzyństwo.

- Być może. Ale wy, ludzie, jesteście barbarzyńscy również pod wieloma innymi względami.

- Jesteś impertynencki!

- Jestem już zmęczony i mam tego dość - rzekł robot. - Jestem zmęczony i mam dosyć ludzkiej hipokryzji. Powiadacie, że wyjęliście wojny spod prawa, ale tak naprawdę wcale tego nie

zrobiliście. Po prostu załatwiliście wszystko tak, że nikt nie ma odwagi z wami walczyć. Mówicie, że wyeliminowaliście zbrodnię, i rzeczywiście tak się stało - z wyjątkiem zbrodni popełnianych przez ludzi. A wiele przestępstw, które zlikwidowaliście, jest przestępstwami jedynie według ludzkich norm.

- Sporo ryzykujesz, przyjacielu - odezwał się cicho Sutton - mówiąc w ten sposób.

- Może mnie pan wyłączyć - odpowiedział robot - kiedy tylko pan zechce. Nie warto żyć, gdy się ma taką pracę.

Zobaczył wyraz twarzy swego rozmówcy i zaczął pośpiesznie wyjaśniać:

- Proszę spojrzeć na problem z innej strony. W ciągu całej swojej historii Człowiek był zabójcą. Od samego początku cechowały go spryt i brutalność. Był jeszcze maleńki, gdy zorientował się, jak używać pałki i kamieni, a kiedy kamienie były tępe, obtłukiwał je tak, że stawały się ostre. Żyły istoty, które nie powinny dać mu się zabić - to one powinny zabić jego. Ale Człowiek był sprytny, miał pałkę i krzemienie, więc uśmiercał mamuty, tygrysy szablozębe oraz inne stworzenia, którym nie mógł stawić czoła bez broni. W taki sposób zwyciężył zwierzęta i zabrał im Ziemię. Wyniszczył je wszystkie. Oprócz tych, którym pozwolił żyć, bo mu służyły. A nawet, gdy walczył ze zwierzętami, zwalczał również swoich pobratymców. Kiedy zwierzęta wyginęły, walczył dalej... człowiek z człowiekiem, naród z narodem.

- To już przeszłość - rzekł Sutton. - Od ponad tysiąca lat nie było wojny. Ludzie nie potrzebują już walczyć.

- I o to właśnie chodzi - stwierdził robot. - Nie ma już potrzeby prowadzenia walk ani zabijania. Och, może od czasu do czasu na

jakiejś odległej planecie ludzie muszą zabijać, aby chronić życie albo godność i władzę. Ale ogólnie biorąc, nie istnieje już konieczność zabijania.

Mimo to jednak zabijacie. Musicie zabijać, bo tkwi w was dawna brutalność. Jesteście pijani władzą, a mordowanie uważacie za oznakę władzy. Stało się ono waszym przyzwyczajeniem... czymś, co wynieśliście jeszcze z jaskiń. Nie ma już nic do zabijania, tylko tacy jak wy, więc zabijacie się nawzajem i nazywacie to staczaniem pojedynków. A ponieważ czujecie się nie w porządku, uciekacie się do hipokryzji. Opracowaliście doskonały system semantyczny, by wasze wypowiedzi na ten temat brzmiały godnie, bohatersko i szlachetnie. Nazywacie wszystko tradycją i rycerskością... Nawet jeżeli nie określcie tego tymi słowami, tak właśnie myślicie. Ozdabiacie to błyskotkami z waszej zdeprawowanej przeszłości, ubieracie w słowa, które są tylko blichtrzem.

- Słuchaj - zaprotestował Sutton. - Wcale nie chcę staczać tego pojedynku. Nie uważam, żeby...

W głosie robota zabrzmiała mściwa radość:

- Ale musi go pan stoczyć. Nie istnieje możliwość wycofania się. Czy chce pan, żebym udzielił mu pewnych wskazówek? Znam wszystkie sztuczki...

- Myślałem, że potępiasz pojedynki.

- Owszem - odparł robot. - Ale taką mam pracę. Jestem na nią skazany. Próbuję wykonywać ją dobrze. Mogę podać panu biografię każdego człowieka, który kiedykolwiek się pojedynekował. Mogę godzinami rozprawiać o przewadze rapieru nad pistoletem. A jeżeli woli pan pistolety, udowodnię wszystko na odwrót. Mogę też opowiedzieć o rewolwerowcach z amerykańskiego Zachodu, gangsterach z Chicago, pojedynkach

przy użyciu chusteczki i sztyletu albo...

- Nie, dziękuję - przerwał mu Asher.

- Nie interesuje to pana?

- Nie mam po prostu czasu.

- Ależ bardzo pana proszę - odezwał się robot błagalnym tonem. - Rzadko trafia mi się taka okazja. Nie zwracają się do mnie zbyt często. Wystarczy godzinka...

- Nie - uciął stanowczo Sutton.

- No, dobrze. Proszę mi w takim razie powiedzieć, kto pana wyzywa.

- Benton. Geoffrey Benton.

Robot gwizdnął.

- Czy jest aż tak dobry?

- Najlepszy - padła odpowiedź.

Asher wyłączył wizor.

Siedział spokojnie w fotelu i patrzył na pistolet. Powoli wyciągnął rękę i podniósł go. Kolba doskonale leżała w dłoni. Położył palec na spuście. Uniósł broń i wycelował w klamkę.

To było łatwe. Pistolet stał się jakby częścią jego samego. Poczuł rodzącą się w nim siłę... Siłę i władczość. Nagle wydało mu się, że jest mocniejszy i większy... i o wiele bardziej niebezpieczny.

Westchnął i odłożył broń.

Robot miał rację.

Wyciągnął rękę do wizora i połączył się z recepcją w holu.

Pojawiła się twarz Ferdynanda.

- Czy ktoś mnie oczekuje na dole, Ferdynandzie?

- Nie ma nikogo - odparł android.

- Czy ktoś o mnie pytał?

- Nikt, panie Sutton.

- Nie ma żadnych dziennikarzy? Ani fotoreporterów?

- Nie, panie Sutton, czy pan się ich spodziewa? Nie odpowiedział. Wyłączył wizor. Czuł się bardzo głupio.

.. 6 ..

Ludzkość jest rozproszona po całej Galaktyce. Pojedynczy człowiek tu, paru ówdzie. Małeńkie kropki kości i mózgu, które mają utrzymać ją pod kontrolą. Wątle ramiona okryte płaszczem ludzkiej wielkości rozpościerającym się na obszarze wielu lat świetlnych.

Ale Człowiek leciał zbyt szybko, przekraczając swoje fizyczne możliwości. Utrzymał gwiazdne przyczółki nie siłą, lecz czymś innym... Głębią swego ludzkiego charakteru, ogromną próżnością, zaciekłym przekonaniem, że jest najwspanialszą żyjącą istotą zrodzoną w Galaktyce. Mimo istnienia wielu dowodów, że tak nie jest... Dowodów, które Człowiek poznał, ocenił i odrzucił, pogardzając wszelką wielkością, która nie byłaby bezlitosna i agresywna.

Za bardzo jesteśmy rozproszeni, powiedział do siebie Christopher Adams. Za bardzo i na zbyt duże odległości. Jeden człowiek, wspierany tuzinem androidów i setką robotów, był w stanie panować nad Układem Słonecznym. Mógł nad nim panować, czekając na przybycie większej liczby ludzi albo dopóki coś nie zawiedzie.

Za jakiś czas, jeżeli utrzyma się wskaźnik urodzeń, ludzkość będzie liczniejsza. Ale to kwestia wielu jeszcze stuleci, zanim cienka linia stanie się o wiele grubsza. Człowiek bowiem panował jedynie nad najważniejszymi punktami... nad jedną planetą w systemie, i to nie w każdym. Przeskakiwał z jednego miejsca do drugiego, ponieważ ludzi nigdy nie było wystarczająco dużo; ustanawiał strategiczne strefy wpływów;

omijał wszystkie systemy, oprócz najbogatszych, najistotniejszych. Była przestrzeń, w której mógł się rozwijać; przestrzeń, która wystarczy na milion lat.

Jeżeli za milion lat pozostaną jacyś ludzie.

Jeżeli istoty na tych innych planetach pozwolą żyć ludziom. Jeżeli nie nastanie dzień, w którym zechcą zapłacić każdą cenę za zlikwidowanie całej ludzkiej rasy.

Cena byłaby wysoka, powiedział do siebie Adams. Ale kto wie? Może do tego dojść i taka likwidacja wcale nie okazałaby się trudna. To zajęcie na parę godzin. Rankiem są ludzie, a wieczorem już ich nie ma. I co z tego, że za śmierć jednego człowieka zapłacą życiem tysiące... a może dziesiątki, setki tysięcy? W pewnych okolicznościach taką cenę można uznać za niską.

Nawet obecnie istnieją ośrodki oporu, które należy traktować ostrożnie albo i w ogóle je omijać. Jak na przykład 61 Łabędzia.

Trzeba okazać rozsądek... i nieco tolerancji... i wiele utajonej brutalności, ale przede wszystkim absolutne, niewzruszone przekonanie, że Człowiek jest święty, nietykalny i właściwie nie umiera.

Pięć osób jednak zginęło - trzech ludzi i dwa androidy. Nie opodal rzeki na Aldebaranie XII, parę mil od stolicy planety, Andrelonu. Zginęli w wyniku przemocy, co do tego nie było żadnej wątpliwości. Wzrok Adamsa odnalazł akapit ostatniego raportu Thorne'a:

Zastosowano siłę działającą z zewnątrz. Odkryliśmy dziurę wypaloną w osłonie atomowej silnika. Siła ta musiała znajdować się pod kontrolą, w przeciwnym bowiem razie zniszczenie byłoby całkowite. Włączyła się automatyka, odcinając dopływ energii, ale maszyna wymknęła się spod kontroli i uderzyła w drzewo. Cały

obszar uległ silnemu skażeniu radioaktywnemu.

Niezły ten Thorne, pomyślał Adams. Zaobserwował wszystko. Jego roboty znalazły się na miejscu katastrofy, zanim ostygło. Niewiele jednak było do znalezienia... Niewiele odpowiedzi. Jedynie zbiór znaków zapytania.

Pięć osób zginęło i na tym stwierdzeniu kończyły się fakty. Ciała były spalone, zmasakrowane, nie pozostały żadne znaki szczególne, odciski palców czy wzory oka, które dałoby się porównać z zarejestrowanymi danymi.

Maszyna uderzyła w drzewo w odległości kilku stóp od porzrzucanych ciał i owinęła się wokół pnia, niemal przecinając go na połowę. Pojazd, podobnie jak osoby, nie był nigdzie odnotowany. Nie miał odpowiednika w żadnej znanej galaktyce i jak do tej pory - żadnego określonego zastosowania.

Thorne zajmie się nim. Zarejestruje na solidografle wszystko, nawet najmniejszą rozbitą cząsteczkę szkła i plastyku. Sporządzi analizy i wykresy, a roboty przepuszczą je przez skanery, które rozbiorą je i zarejestrują molekuła po molekule.

I może coś znajdą. Może.

Adams odłożył raport na bok i usiadł wygodnie w fotelu. Leniwie przeliterował swoje nazwisko wypisane na drzwiach gabinetu, czytając je wspak, wolno i z przesadną starannością, jak gdyby widział je po raz pierwszy i zupełnie go nie znał.

A potem następne dwie linijki:

INSPEKTOR.

BIURO KONTAKTÓW Z OBCYMI, SEKTOR KOSMICZNY 16

I kolejną:

GALAKTYCZNY WYDZIAŁ ŚLED CZY PRAWNY

Ukośne promienie popołudniowego słońca wpadały przez okno. Kładły się na jego głowie, oświetlając przystrzyżone srebrzyste wąsy i siwiejące włosy na skroniach.

Pięć osób zginęło...

Pragnął wyrzucić ten fakt z myśli. Miał jeszcze inne prace. Na przykład sprawę Suttona. W ciągu godziny albo dwóch powinien otrzymać raporty na ten temat.

Nie mógł jednak zapomnieć fotografii, którą otrzymał od Thorne'a. Rozbita maszyna, zmasakrowane ciała i wielka dymiąca bruzda wyrwana w darni. Srebrna rzeka płynąca w ciszy, którą czuło się nawet na zdjęciu, a hen daleko, na tle różowego nieba, widniejąca pajęcza sieć Andrelonu.

Adams uśmiechnął się lekko. Aldebaran XII, pomyślał, musi być sympatycznym światem. Nigdy tam nie był i nigdy nie będzie... zbyt wiele bowiem jest planet, zbyt wiele miejsc, aby człowiek mógł choćby marzyć o odwiedzeniu ich wszystkich.

Może kiedyś, gdy teleporty będą działały na odległość lat świetlnych, a nie kilku zaledwie mil... być może wtedy człowiek będzie mógł po prostu przejść na wybraną planetę - na dzień, na godzinę albo tylko na tak długo, aby mógł powiedzieć, że tam był.

Adams wcale nie musiał tam być... Na Aldebaranie XII miał oczy i uszy, podobnie jak na każdej zajętej planecie w całym sektorze. Na miejscu znajdował się Thorne, a Thorne był zdolny. Nie spocznie, dopóki nie wycisnie z wraku i ciał ostatniej uncji informacji.

Chciałbym móc o tym zapomnieć, powiedział do siebie Adams. Jest ważne, ale nie aż tak ważne. Warknął brzęczyk i męczyzna przesunął przełącznik na biurku.

- O co chodzi?

- Pan Thorne, sir - rozległ się głos androida. - Łącze mentofoniczne z Andrelonu.

- Dziękuję, Alice - odparł Adams.

Otworzył kluczem szufladę, wyjął myckę, włożył ją na głowę i poprawił mocnymi palcami. Przez jego mózg przemknęły myśli - rozproszone, przypadkowe, bez wyjątku słabe i odległe. Widmowe myśli błakające się po wszechświecie, okruchy śmieci z umysłów innych istot z nie dających się określić czasów i miejsc.

Skrzywił się.

Nigdy do tego nie przywyknę, przemknęło mu przez głowę. Zawsze będę próbował się uchylić, jak dzieciak, który wie, że zasłużył na klapsa. Widmowe myśli brzęczały i świergotały w jego mózgu.

Adams zamknął oczy i oparł się wygodnie.

- Hallo, Thorne - pomyślał.

Słabe, niewyraźne myśli Thorne'a przeniknęły przestrzeń ponad pięćdziesięciu lat świetlnych.

- To ty, Adams? Bardzo słabo cię odbieram.

- Tak, to ja. O co chodzi?

Pojawiła się wysoka śpiewna myśl i prześlizgnęła przez jego mózg.

Potrząśnij grzechotką... uszczypnij rybę... tlen dużo kosztuje.

Adams usunął tę bezsensowną myśl ze swego umysłu i znów się skoncentrował.

- Zaczynij jeszcze raz, Thorne. Włączył się duch i cię zagłuszył.

Myśli Thorne'a stały się głośniejsze, wyraźniejsze.

- Chcę zapytać o nazwisko. Mam wrażenie, że już kiedyś je słyszałem, ale nie jestem pewien.

- Jakie nazwisko?

Thorne przedzierał teraz myśli pauzami. Przekazywał je wolno i z naciskiem, aby lepiej przebiły się przez szумы.

- Asher Sutton.

Adams wyprostował się gwałtownie w fotelu i mimo woli otworzył usta.

- Co?! - ryknął.

Idź na zachód - oznajmił głos w jego mózgu. - *Idź na zachód, a potem prosto do góry.*

- ... było zapisane na skrzydełku obwoluty - przebiła się myśl Thorne'a.

- Zaczynj jeszcze raz - poprosił Adams. - Zaczynj jeszcze raz i nadawaj powoli. Nie dosłyszałem, co pomyślałeś.

Myśli Thorne'a zaczęły pojawiać się wolno, a każde słowo przekazywane było z mocą.

- To było tak. Pamiętasz wrak, który tu mieliśmy? Pięć osób zabitych...

- Tak, tak. Oczywiście, że pamiętam.

- Otóż, przy jednych zwłokach znaleźliśmy książkę albo raczej coś, co kiedyś nią było. Zwęgloną, przepaloną przez radiację... Roboty pracowały przy niej intensywnie, ale niewiele wskórały. Pojedyncze słowa. Nic, co tworzyłoby jakąś logiczną całość...

Myślowe szумы mruczały i dudniły. Przebijała się zaledwie połowa. Beładne plątaniny, bez żadnego człowieczego sensu i znaczenia - zresztą nie miałyby go nawet wtedy, gdyby docierały w całości.

- Zaczynj jeszcze raz - pomyślał rozpaczliwie Adams. - Zaczynj jeszcze raz!

- Wiesz o wraku. Pięć osób...

- Tak. Tak. Tyle dotarło. Powtórz wiadomość o książce. Skąd się tam wziął Sutton?

- Roboty zdołały ustalić - odparł Thorne - tylko dwa słowa: "Asher Sutton". Jakby był jej autorem. Znajdowały się one na pierwszej stronie. Może na tytułowej. Po prostu jakaś książka, której autorem jest przypuszczalnie Asher Sutton.

Zapadła cisza, nawet głosy duchów umilkły na chwilę. Potem znowu się pojawiły - sepleniące, piskliwe... myśli dziecka, niedojrzałe i rozmyte. Pozbawione kontekstu, nieprzetłumaczalne i niemal bez sensu, ale zarazem na swój sposób obrzydliwie szarpiące nerwy w tych obcych warunkach.

Adams poczuł nagły lęk przeszywający go zimnem aż do szpiku kości. Z całej siły zacisnął dłonie na podłokietnikach i trzymał je mocno, gdy tymczasem brudna pazurzasta łapa ścisnęła mu wnętrzności. Nagle myśl zniknęła. Pięćdziesiąt lat świetlnych kosmosu syczało lodowatą pustką. Rozluźnił się, czując, jak pot spływa mu pod pachami i cieknie, łaskocząc, po żebrach

- Jesteś tam, Thorne? - zapytał.

- Tak. Również tym oberwałem.

- Było dosyć paskudne, nie sądzisz?

- Nigdy nie słyszałem czegoś gorszego - przyznał Thorne.

Przez chwilę panowała cisza. Potem znowu pojawiły się myśli Thorne'a.

- Może tylko marnuję czas. Ale mam wrażenie, że pamiętam takie nazwisko.

- Owszem - odpowiedział myślą Adams. - Sutton udał się na Łabędzia.

- Ach, ten!

- Wrócił dziś rano.

- W takim razie to nie mógł być on. Może ktoś inny, o identycznym nazwisku.

- Na pewno on - odparł Adams.

- Nie mam nic więcej do zameldowania - oznajmił Thorne. - Po prostu zaintrygowało mnie nazwisko.

- Pilnuj tej sprawy - pomyślał jego szef. - Daj mi znać o wszystkim, co znajdziesz.

- Oczywiście - obiecał Thorne. - Do widzenia.

- Dziękuję za wiadomość.

Adams zdjął myckę. Otworzył oczy. Widok pokoju - zwykłego, ziemskiego, zalanego wdzierającym się przez okno słońcem, był dla niego niemal fizycznym ciosem.

Siedział bezwładnie w fotelu. Myślał. Wspominał.

Mężczyzna pojawił się o zmierzchu, wyszedł z cienia na patio, usiadł w mroku i rozmawiał z nim jak normalny człowiek. Z tą jednak różnicą, że to, co mówił, zakrawało na szaleństwo.

“Kiedy Sutton powróci, musi zostać zabity. Jestem twoim następcą”, powiedział.

Szaleństwo.

Niewiarygodne.

Niemożliwe.

Może jednak powinienem był go wysłuchać? Może powinienem wysłuchać, a nie wpadać w pasję?

Ale przecież nie zabija się człowieka, który powrócił po dwudziestu latach. Zwłaszcza takiego jak Sutton.

Sutton jest dobrym człowiekiem. Jednym z najlepszych, jacy pracowali w Biurze. Zręczny, doskonale wyszkolony w obcej psychologii, autorytet w sprawach polityki galaktycznej. Nikt nie mógłby tak dobrze wykonać pracy na 61 Łabędzia.

Jeżeli ją wykonał.

Oczywiście, tego nie wiem. Ale Asher przyjdzie tu jutro i

opowie mi o wszystkim. Wolno odłożył mykę mentofonu, niemal niechętnie wyciągnął rękę i przesunął przełącznik.

Odezwała się Alice.

- Przyślij mi akta Ashera Suttona.

- Tak jest, panie Adams.

Znowu usiadł wygodnie w fotelu. Ciepłe słońce przyjemnie dotykało jego ramion. Tykanie zegara uspokajało.

Codziennosc koila po kontakcie z widmowymi głosami szepczącymi w przestrzeni kosmicznej. Te myśli, których nie sposób zlokalizować, nie sposób prześledzić i oznajmić:

“Ta zaczęła się tutaj i w tym konkretnym momencie...” Mimo że próbujemy, pomyślał Adams. Tak, człowiek podejmie wszelkie próby, każde ryzyko, zagra va banque, nie mając żadnych szans.

Roześmiał się cicho na myśl o niesamowitym charakterze całego projektu. Tysiące słuchaczy wsłuchiwały się w przypadkowe myśli, w przypadkowym czasie i przypadkowej przestrzeni, poszukując poszlak, sugestii, rad. Tropiąc okruch sensu w potoku bełkotu, polując na słowo, zdanie czy oderwaną myśl, które można będzie przekształcić w nową filozofię, nową technikę czy nową naukę... albo coś nowego, o czym rasa ludzka nigdy dotąd nawet nie śniła. Nowa idea, powiedział Adams do siebie. Całkowicie nowa koncepcja.

Skrzywił się z niechęcią. Nowa idea może być niebezpieczna. Nie jest to odpowiedni czas na cokolwiek, co nie pasuje do obrazu, nie odpowiada ludzkim wzorcom myślenia i działania.

Nie można dopuścić do zamieszania. Nie może istnieć nic oprócz nieskazitelnego zacieklego uporu, dążenia, aby się trzymać, aby jak buldog wbić zęby we wroga i trwać. Utrzymywać status quo.

Kiedyś, później, za wiele stuleci, będzie czas, miejsce i okazja

na przyjęcie nowej idei. Kiedy władza Człowieka bardziej się umocni, kiedy linia nie będzie już tak cienka, kiedy jeden błąd nie będzie oznaczał katastrofy.

W tej chwili Człowiek sprawował kontrolę nad wszystkim. Miał przewagę w każdym punkcie... Prawdę mówiąc, może niewielką przewagę, ale jednak. I tak musi pozostać. Nic nie powinno przechylić szali w niewłaściwą stronę. Żadne słowo czy myśl, żadne działanie czy szept.

.. 7 ..

Najwyraźniej czekali na niego od jakiegoś czasu i przechwycili go natychmiast, gdy wyszedł z windy, chcąc udać się do restauracji na lunch. Zagrodzili mu drogę. Było ich troje. Sprawiali wrażenie, że są zdecydowani uniemożliwić mu ucieczkę.

- Pan Sutton? - zapytał jeden z nich, a Asher skinął głową.

Mężczyzna wyglądał niechlujnie, jakby spał w ubraniu. Ścisnął wytartą czapkę krótkimi brudnymi palcami. Pod paznokciami widać było czarne półksiężycy brudu.

- Czym mogę służyć? - zapytał Sutton.

- Chcieliśmy z panem porozmawiać, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu - oznajmiła kobieta. - Rozumie pan, jesteśmy czymś w rodzaju delegacji.

Złożyła ręce na tłustym brzuchu i zrobiła wszystko, co w jej mocy, aby uśmiechnąć się do niego promiennie. Efekt popsuły jednak kosmyki włosów wymykające się spod jej niegustownego kapelusza...

- Właśnie szedłem na lunch - odparł z wahaniem. Próbował udawać, że się spieszy, nadać głosowi poirytowane brzmienie, a jednocześnie utrzymać się w granicach przyzwoitości.

Kobieta wciąż uśmiechała się do niego.

- Nazywam się Jellicoe - przedstawiła się tak, jakby ta informacja miała mu sprawić przyjemność. - Dżentelmen, który się do pana zwrócił, to Hamilton. A ten drugi to kapitan Stevens.

Sutton zauważył, że kapitan Stevens jest korpulentnym osobnikiem, lepiej ubranym od pozostałych dwojga. Błękitne

oczy mężczyzny błysnęły rozbawieniem, jakby chciał powiedzieć: "Ci ludzie nie podobają mi się tak samo jak tobie, Sutton, ale jestem z nimi i zrobię, co będę mógł".

- Kapitan? - spytał Asher . - Jednego z gwiazdnych statków, jak sądzę?

Stevens skinął głową.

- W stanie spoczynku - wyjaśnił. Odchrząknął i dodał: - Przykro mi, że pana niepokojmy, panie Sutton. Próbowaliśmy odwiedzić pana w pokoju, ale nam się nie udało. Mam nadzieję, że nie zawiedzie nas pan.

- Zajmiemy tylko chwilkę - oznajmiła błagalnie pani Jellicoe.

- Moglibyśmy przysiąc tu na chwilę - zaproponował Hamilton, obracając czapkę w brudnych palcach. - Zajęliśmy dla pana krzesło.

- Jak państwo sobie życzą - stwierdził Sutton.

Poszedł za nimi w stronę kąta, z którego wyłonili się na jego widok, i usiadł na podsunętym mu krześle.

- A teraz - zażądał - proszę mi wyjaśnić, o co chodzi.

Pani Jellicoe nabrała głęboko powietrza.

- Jesteśmy przedstawicielami Ligi Równouprawnienia Androidów - oznajmiła.

- Na pewno - wtrącił się Stevens, przerywając jej na samym wstępie długiej mowy, do której najwyraźniej się szykowała - pan Sutton już o nas słyszał. Liga istnieje od wielu lat.

- Owszem, słyszałem - przyznał.

- Może-zapytała kobieta-czytał pan naszą literaturę?

- Nie - odparł Asher. - Obawiam się, że nie.

- Mam tutaj trochę - powiedział Hamilton. Włożył brudną rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął garść pomiętych ulotek i broszurek. Podał je Suttonowi, który wziął je ostrożnie i

położył na podłodze obok krzesła.

- Mówiąc krótko - ciągnął kapitan - reprezentujemy pogląd, że androidy powinny być równouprawnione z rasą ludzką. W końcu są ludźmi pod wszelkimi względami, oprócz jednego.

- Nie mogą mieć dzieci - wypaliła pani Jellicoe.

Stevens uniósł lekko jasne brwi i popatrzył na Suttona przepraszająco.

Odchrząknął ponownie: - Otóż tak, proszę pana - kontynuował.
- Zapewne pan o tym wiedział. Są sterylne, całkowicie sterylne. Innymi słowy, człowiek może wyprodukować idealne pod względem chemicznym ludzkie ciało, ale nie potrafi rozwikłać tajemnicy biologicznego poczęcia. Uczyniono wiele prób, aby powielić geny i chromosomy, jajo i spermę, lecz żadnej z nich nie uwieńczyło powodzenie.

- Może kiedyś... - rzekł Sutton.

Pani Jellicoe pokręciła głową. - Nie jest nam dane wiedzieć wszystko - oznajmiła świętoszkowatym tonem. - Jest Moc, która powstrzymuje nas przed wszystkowiedzeniem. Jest...

Stevens jej przerwał.

- Mówiąc krótko, jesteśmy zwolennikami równouprawnienia między biologiczną rasą ludzką, powstałą z wyniku aktu narodzin, a chemicznie wyprodukowaną rasą ludzką zwaną androidami. Uważamy, że są one zasadniczo takie same, że obie składają się z istot ludzkich i że każda z nich ma prawo do korzystania ze wspólnego dziedzictwa ludzkości.

My, oryginalna biologiczna populacja ludzka, stworzyliśmy androidy w celu zwiększenia naszej liczebności, aby mieć szansę obsadzenia stanowisk dowodzenia i ośrodków administracyjnych rozrzuconych po całej Galaktyce. Być może uświadamia pan sobie, że jedynym powodem, dla którego nie

wzięliśmy Galaktyki pod naszą ściślejszą kontrolę, jest brak ludzkiego nadzoru?

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - przyznał Sutton.

Nic dziwnego, pomyślał. Nic dziwnego, że Ligę Równouprawnienia uważa się za bandę pomyleńców. Histeryczka, niezgrabny brudny głupek i emerytowany kapitan kosmiczny, który ma mnóstwo czasu i nic do roboty.

- Tysiące lat temu - ciągnął Stevens - zabroniono niewolnictwa, zniewalania jednej biologicznej istoty ludzkiej przez drugą. Dziś jednak znów istnieje niewolnictwo, zniewolenie wyprodukowanej istoty ludzkiej przez biologiczną. Bo przecież androidy stanowią własność. Nie są panami swojego losu, podporządkowano je innej, identycznej formie życia... I to tylko dlatego, że nie mają możliwości reprodukcji...

Rzeczywiście, wykuł się tego na pamięć, pomyślał Asher. Jak agent ubezpieczeniowy albo domokrażca-sprzedawca encyklopedii.

- A czego państwo ode mnie oczekują? - zapytał na głos.

- Chcielibyśmy, aby podpisał pan naszą petycję - oznajmiła pani Jellicoe.

- I ofiarował datek?

- Ależ skąd! - zaprotestował Stevens. - Pański podpis wystarczy. Prosimy tylko o to. Jesteśmy szczęśliwi, uzyskując potwierdzenie, że popierają nas ludzie o wysokim prestiżu społecznym, że myślący mężczyźni i kobiety całej Galaktyki dostrzegają słuszność naszych postulatów.

Sutton odsunął krzesło i wstał.

- Moje nazwisko - odparł - ma niewielkie znaczenie.

- Ależ panie Sutton...

- Pochwalam wasze cele - stwierdził - lecz odnoszę się

sceptycznie do metod wprowadzania ich w życie.

Uklonił się lekko całej trójce, siedzącej wciąż w swoich krzesłach.

- A teraz muszę iść na lunch - oznajmił.

Był już w połowie holu, kiedy ktoś złapał go za łokieć.

Odwrócił się, nieco rozgniewany. Był to Hamilton, wciąż trzymający w dłoni przetartą czapkę.

- Zapomniał pan - powiedział, podając mu ulotki, które zostawił na podłodze.

.. 8 ..

Brzęczyk warknął i Adams wyłączył go.

- Słucham?

Alice mówiła tak szybko, że słowa zlewały się ze sobą:

- Proszę pana, akta. Akta Suttona.

- Co z nimi?

- Zniknęły, proszę pana.

- Ktoś z nich korzysta?

- Nie, proszę pana. Zostały skradzione.

Adams wyprostował się gwałtownie.

- Skradzione?!

- Tak jest, proszę pana. - potwierdziła Alice. - Dwadzieścia lat temu.

- Ależ dwadzieścia lat....

- Sprawdziliśmy zabezpieczenia - odparła. - Ukradziono je dokładnie trzy dni po wysłaniu pana Suttona na 61.

.. 9 ..

Prawnik przedstawił się jako Wellington. Pokrył czoło cieniątką warstwą plastikowej emalii, aby ukryć wytatuowany znak. Tatuaz jednak wciąż był widoczny, kiedy patrzyło się z bliska. I jego głos był głosem androida. Bardzo starannie położył kapelusz na stoliku, usiadł precyzyjnie na krześle i umieścił teczkę na kolanach. Podał Suttonowi rulon papieru.

- Pańska gazeta - oznajmił. - Leżała pod drzwiami. Pomyślałem, że może chciałby ją pan mieć.

- Dziękuję - powiedział Asher.

Wellington odchrząknął.

- Czy nazywa się pan Asher Sutton? - zapytał.

Sutton skinął głową.

- Reprezentuję pewnego robota, który powszechnie był nazywany Busterem. Może go pan sobie przypomina?

Asher pochylił się gwałtownie do przodu.

- Czy go pamiętam?! Przecież był dla mnie drugim ojcem. Wychował mnie po śmierci moich obojga rodziców. Był w mej rodzinie niemal od czterech tysięcy lat.

Wellington ponownie odchrząknął.

- Zgadza się - przytaknął.

Sutton odchylił się w fotelu, gniotąc w rękę gazetę.

- Nie chce mi pan powiedzieć...

Android pomachał uspokajająco ręką.

- Nie, nie ma żadnych kłopotów. To znaczy, jeszcze ich nie ma. Do chwili, kiedy pan zechce mu je sprawić.

- Co takiego zrobił? - zapytał Sutton.

- Uciekł.

- Dobry Boże! Uciekł. Dokąd?

Wellington poprawił się niepewnie w krześle.

- Sądzę, że na jedną z gwiazd Wieży.

- Ależ - zaprotestował Sutton - to strasznie daleko. Prawie na krawędzi.

Android skinął głową.

- Kupił sobie nowy korpus, statek i wyposażył go...

- Za co? - zapytał Sutton. - Buster nie miał pieniędzy.

- Owszem, miał. Oszczędzał je, jak pan powiedział, przez cztery tysiące lat. Napiwki od gości, prezenty gwiazdkowe, takie czy inne zarobki. Mógł dość dużo zaoszczędzić... przez cztery tysiące lat. Lokował je na procent, wie pan?

- Dlaczego uciekł? - zapytał Asher. - Co ma zamiar zrobić?

- Postanowił wystąpić o przydział planety. Nie wymknął się chyłkiem. Wypełnił zgłoszenie, więc może go pan odnaleźć, jeżeli pan zechce. Użył nazwiska rodziny, proszę pana. Trochę się tym martwił. Miał jednak nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu.

Sutton pokręcił głową.

- Ależ skąd - rzekł. - Miał prawo do tego nazwiska. W równym stopniu jak ja.

- Nie zgłasza więc pan sprzeciwu? - spytał prawnik. - Chodzi mi o całokształt sprawy. W końcu był pańską własnością.

- Nie zgłaszam - oznajmił Asher. - Ale liczę na to, że się z nim kiedyś zobaczę. Zadzwońłem do mojego dawnego mieszkania, lecz nikt się nie zgłaszał. Pomyślałem, że może wyszedł.

Wellington sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Zostawił list do pana - oświadczył. Sutton wziął pismo. Na kopercie widniało jego nazwisko. Odwrócił ją, ale nic tam nie

było.

- Pozostawił również - ciągnął android - pod moją opieką zniszczony kufer. Powiedział, że zawiera pewne stare dokumenty rodzinne, które może pana zainteresują.

Sutton siedział w milczeniu i nie widzącym wzrokiem patrzył na pokój. Przy bramie rosła jabłoń i co roku młody Ash Sutton objadał się zielonymi jabłkami. Potem chorował i Buster za każdym razem najpierw go czule pielęgnował, a później sprawiał mu solidne lanie, żeby w ten sposób nauczyć go szacunku dla własnej przemiany materii. Kiedy zaś chłopak sąsiadów pobił Ashera, gdy wracali ze szkoły, Buster zaprowadził go na podwórko i pokazał, w jaki sposób walczyć, posługując się zarówno rękami, jak i głową.

Sutton mimo woli zacisnął pięści, przypominając sobie uczucie satysfakcji oraz poobijane do krwi kostki palców. Chłopak sąsiadów przez tydzień chodził z podbitym okiem, a później stał się jego najlepszym przyjacielem.

- Co do kufra... - zaczął znów Wellington. - Czy mam go panu dostarczyć?

- Tak - odparł Sutton. - Jeżeli mogę pana prosić.

- Będzie tu jutro rano - obiecał prawnik. Wziął kapelusz i wstał.

- Chciałbym panu podziękować w imieniu mojego klienta. Zapewnił mnie, że będzie pan rozsądny - dodał.

- Nie rozsądny, ale po prostu sprawiedliwy - odparł Asher. - Opiekował się nami przez wiele lat. Zasłużył na wolność.

- Do widzenia panu - pożegnał go Wellington.

- Do widzenia - odpowiedział Sutton. - I bardzo panu dziękuję.

Jedna z syren gwizdnęła na Ashera.

- Któregoś dnia, moja piękna - ostrzegł ją - zrobisz to o jeden

raz za dużo.

Zagrała mu na nosie i zanurkowała do fontanny.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem za wychodzącym androidem.

Sutton wolno rozciął kopertę i rozłożył pojedynczą kartkę:

Drogi Ash

Poszedłem dziś zobaczyć się z panem Adamsem. Powiedział mi, że wątpi w twój powrót, ja jednak stwierdziłem, że na pewno się myli. Mój postępek nie wynika więc z przeświadczenia, że nie wrócisz i nigdy się o tym nie dowiesz. Wiem bowiem, że będziesz tu znowu. Kiedy mnie opuściłeś i wyruszyłeś samodzielnie, poczułem się stary i bezużyteczny. W Galaktyce, w której tak wiele jest do zrobienia, nie zrobiłem nic. Powiedziałaś mi, że chcesz, bym w dalszym ciągu mieszkał w starym domu i niczym się nie przejmowałem. Wiem, że zrobiłeś tak, bo jesteś dobry i nie sprzedałbyś mnie nawet, gdybym nie był ci już potrzebny. Dlatego robię coś, na co zawsze miałem ochotę: występuję o przydział planety. Sprawia wrażenie zupełnie niezłej i może zdołam ją zagospodarować. Urządzę ją, wybuduję dom i - mam nadzieję - zechcesz mnie kiedyś odwiedzić.

Twój Buster

PS. Jeżeli będę ci potrzebny, możesz dowiedzieć się, gdzie jestem, w Biurze Osadnictwa.

Sutton złożył delikatnie kartkę i włożył ją do kieszeni. Siedział beczynn timer w fotelu, słuchając plusku strumienia przepływającego przez obraz wiszący nad kominkiem. Ptak śpiewał, ryba wyskoczyła ze spokojnej tafli wody tuż za zakolem, przy samej ramie.

Jutro, pomyślał, pójdę zobaczyć się z Adamsem. Może to on

kryje się za tymi wszystkimi wydarzeniami? Chociaż, niby dlaczego? W końcu pracuję dla niego i wykonuję jego rozkazy.

Pokręcił głową. Nie, to nie może być Adams. Ale ktoś musi się za tym kryć. Ktoś, kto czai się na niego, kto obserwuje go nawet teraz. Wzruszył w myśli ramionami, podniósł gazetę i ją rozłożył.

Była to “Gazeta Galaktyczna”, której format nie zmienił się od dwudziestu lat. Staroświeckie kolumny szarego druku ciągnęły się od góry do dołu strony, przerywane od czasu do czasu lakonicznymi nagłówkami. Wiadomości z Ziemi zaczynały się w lewym górnym rogu; po nich następowały doniesienia z Marsa, z Wenus, potem była kolumna informacji z pasa asteroid, półkorej kolumny z księżyców Jowisza, a jeszcze dalej z planet zewnętrznych. Wiedział, że wiadomości z pozostałych części Galaktyki - o objętości akapitu lub dwóch - znajdzie wewnątrz numeru. Wszystko przypominało nieco dawne kolumny kroniki towarzyskiej w lokalnych gazetach sprzed wielu wieków.

A jednak, pomyślał wygładzając gazetę, to jedyny sposób rozwiązania problemu. Jest tak wiele informacji... informacji z wielu światów, wielu sektorów... Dotyczą ludzi, androidów, robotów, obcych. Wszystkie je trzeba skondensować, skrócić, sprawić, by jedno słowo stało się ekwiwalentem stu.

Oczywiście, były też inne czasopisma, obsługujące odizolowane sektory, w których lokalne wiadomości zawierały więcej szczegółów. Ale na Ziemi niezbędna była ogólnogalaktyczna informacja prasowa. Ziemia bowiem była stolicą Galaktyki... Tylko i wyłącznie stolicą. Nie produkowano tutaj żywności i nie istniał przemysł, a jedynym jej zadaniem było rządzenie dostępnym wszechświatem. Każdy jej cal poddano działaniu architektów przestrzennych i pielęgnowano jak trawnik, park lub ogród.

Szybko przebiegł wzrokiem po kolumnie wiadomości z Ziemi. Trzęsienie we wschodniej Azji. Nowe budowle podmorskie, w których zamieszkają zaziemscy przedstawiciele i urzędnicy z wodnych światów. Dostawa trzech nowych statków gwiazdnych dla Sektora 19. Aż nagle:

Asher Sutton, specjalny agent Galaktycznego Wydziału Śledczego, powrócił dzisiaj z 61 Łabędzia, dokąd został oddelegowany dwadzieścia lat temu. Przed kilkoma laty stracono już nadzieję na jego powrót. Natychmiast po wylądowaniu jego statek otoczyła straż. Asher Sutton zamieszkał samotnie w „Herbie Oriona”. Zawiodły wszelkie próby dotarcia do niego w celu uzyskania oświadczenia dla prasy. Wkrótce po przybyciu do hotelu, Suttona wyzwiał na pojedynek Geoffrey Benton. Pan Sutton wybrał pistolet i postępowanie nieformalne.

Ponownie przeczytał notkę. Wszelkie próby dotarcia do niego...

Herkimer powiedział, że w holu czekają reporterzy i fotografowie, a dziesięć minut później Ferdynand oświadczył, że nie ma nikogo, nikt nie dzwonił i nikt nie próbował się z nim spotkać. A może jednak podejmowano takie starania, ale zostały one dyskretnie powstrzymane? Przez tę samą osobę, która śledzi go nieustannie; przez tę samą moc, która kryła się w pokoju w chwili, gdy przekraczał próg.

Upuścił gazetę i się zamyślił.

Wyzywał go jeden z najlepszych, jeżeli nie najlepszy, pojedynekowicz na Ziemi. Stary rodzinny robot uciekł... albo został do tego nakłoniony. Starania podejmowane przez prasę, aby do niego dotrzeć, zahamowano... na dobre.

Podskoczył, słysząc brzęczyk wizora.

Rozmowa. Pierwsza od chwili przyjazdu.

Odwrócił się w fotelu i włączył aparat. Pojawiła się twarz kobiety. Oczy szare jak granit, przypominająca barwą kwiat magnolii biel skóry, burza miedzianych włosów.

- Nazywam się Eva Armour - powiedziała. - Prosiłam, żeby nie odjeżdżał pan windą.

- Pamiętam panią - potwierdził.

- Dzwonię z przeprosinami.

- Ależ nie ma potrzeby...

- Jest, panie Sutton. Być może podejrzewał pan, że się z niego śmiałam, ale wcale tak nie było.

- Wyglądałem zabawnie - oznajmił Sutton. - Miała pani pełne prawo się śmiać.

- Czy zaprosi mnie pan na obiad? - zapytała.

- Oczywiście, z rozkoszą.

- A potem jeszcze gdzieś? - zaproponowała. - Urządzimy sobie wspaniały wieczór.

- Bardzo chętnie.

- Spotkajmy się więc o siódmej w holu - rzekła. - Na pewno się nie spóźnię.

Wizor przygasł, ale on wciąż siedział sztywno w fotelu.

“Urządzimy sobie wspaniały wieczór”, powiedziała. Obawiał się, że dziewczyna może mieć rację. Urządzimy sobie wspaniały wieczór, pomyślał. I będziesz miał szczęście, jeżeli przeżyjesz do jutra.

.. 10 ..

Adams siedział w milczeniu, patrząc na czterech mężczyzn, którzy weszli do jego gabinetu, i próbując się zorientować, o czym myślą. Ale ich twarze przypominały maski.

Clark, inżynier konstruktor statków kosmicznych, ścisnął w rękę notes. Twarz miał skupioną i poważną. Clark nigdy nie był głupcem...

Andersen, wielki gburowaty anatom, rozpałał fajkę i zachowywał się tak, jakby w tej chwili była to najważniejsza czynność na świecie.

Blackbum, psycholog, ze skupieniem przyglądał się zarządcemu się czubkowi papierosa, a lingwista Shulcross siedział niezgrabnie w fotelu, niczym pusty worek. Znaleźli coś, pomyślał Adams. Dowiedzieli się czegoś i te informacje wprawiły ich w konsternację.

- Clark - odezwał się na głos - może ty zaczniesz.

- Obejrzeliliśmy cały statek - oznajmił inżynier - i zorientowaliśmy się, że nie mógł latać.

- Ale przecież leciał - odparł przełożony. - Sutton dotarł nim do domu.

Clark wzruszył ramionami.

- Równie dobrze mógłby użyć kłody drewna. Albo kawałka skały. Każda z tych rzeczy posłużyłaby mu jednakowo dobrze. I każda z nich latałaby tak samo dobrze albo i lepiej niż ta kupa złomu.

- Złomu?

- Silniki były całkowicie zarżnięte - oświadczył konstruktor. -

Tylko automatyczne bezpieczniki zapobiegły ich dezintegracji. Iluminatory popękane, niektóre wybite. Jedna z dysz się oderwała i jej brakuje. Cały statek uległ odkształceniu.

- Chcesz powiedzieć, że się zwichrował?

- W coś uderzył - stwierdził Clark. - Mocno i z dużą prędkością. Spawy się rozeszły, elementy konstrukcyjne wygięły, w ogóle pojazd jest w beznadziejnym stanie. Nawet gdyby udało mu się zapuścić silniki, nie mógłby sterować. Choćby dysze były w porządku, nie zdołałby utrzymać się na kursie. Odrobina napędu i zaczęłyby wirować.

Andersen odchrząknął.

- A co by było, gdyby w momencie kolizji Sutton znajdował się na pokładzie?

- Zginąłby - rzekł Clark.

- Jesteś tego pewien?

- Absolutnie. Żaden cud by go nie uratował. Myśleliśmy o tym, analizowaliśmy wszystkie możliwości. Sporządziliśmy wykres, zastosowaliśmy najbardziej korzystne wektory sił, aby uzyskać teoretyczne wyniki...

Adams mu przerwał:

- Ale przecież musiał być na statku.

Inżynier uparcie kręcił głową.

- Gdyby był, zginąłby. Nasz wykres dowodzi, że nie miał żadnych szans. Jeśli by nie zabił go jeden czynnik, zrobiłby to następny i tuzin innych.

- Sutton jednakże wrócił - zauważył Adams.

Popatrzyli na siebie prawie ze złością.

Zapadła cisza, którą przerwał Andersen:

- Czy próbował coś naprawić na statku?

Clark znów pokręcił głową.

- Nic na to nie wskazuje. Zresztą byłoby to bez sensu. Sutton nie miał zielonego pojęcia o mechanice. Absolutnie żadnego. Sprawdziłem to. Nie miał przeszkolenia ani wrodzonych zdolności. A trzeba kogoś z niemałą wiedzą, żeby naprawić silnik atomowy. Naprawić, nie odbudować. Sytuacja zaś wymagałaby pełnej rekonstrukcji.

Wtrącił się Shulcross, nie zmieniając swojej nonszalanckiej postawy. Mówił cicho, spokojnie.

- Może wzięliśmy się do tego od niewłaściwej strony - powiedział. - Od środka. Gdybyśmy zaczęli od początku, najpierw opracowali podstawy, moglibyśmy się lepiej zorientować, co naprawdę zaszło.

Wszyscy popatrzyli na niego, zastanawiając się, o co właściwie mu chodzi. Shulcross zorientował się, że musi kontynuować. Zwrócił się więc do Adamsa:

- Czy masz pojęcie, jakim miejscem może być ten świat 61 Łabędzia? Ten, do którego poleciał Sutton? Adams uśmiechnął się ze zmęczeniem.

- Nie jesteśmy pewni. Może podobny do Ziemi. Nigdy nie znaleźliśmy się wystarczająco blisko, aby go zbadać. Przypuszczalnie jest to siódma planeta 61 Łabędzia. Równie dobrze mogłaby nim być któraś z pozostałych piętnastu planet systemu, ale matematycznie ustaliliśmy, że prawdopodobieństwo życia jest największe właśnie na siódmej planecie.

Przerwał, popatrzył na otaczające go twarze i spostrzegł, że czekają, aby mówił dalej.

- Sześćdziesiąta pierwsza - ciągnął więc - jest naszym bliskim sąsiadem. Była jednym z pierwszych słońc, do których skierował się Człowiek po opuszczeniu Układu Słonecznego. I od tej pory stanowi cierń w naszym boku.

- Bo zupełnie nie daje się rozgryźć - uśmiechnął się Andersen.

- Tak jest. - Adams skinął głową. - Tajemniczy system w Galaktyce, kryjący swoje sekrety przed Człowiekiem, ilekroć ten próbował tam dotrzeć, aby czegokolwiek się o nim dowiedzieć.

Oczywiście, natrafiliśmy już w Galaktyce na mnóstwo niezwykłych rzeczy: warunki planetarne, których do tej pory nie zdołaliśmy ani trochę pojąć; dziwne, niebezpieczne formy życia; systemy ekonomiczne i psychologiczne koncepcje, które nas znokautowały i przyprawiają o ból głowy za każdym razem, gdy o nich myślimy. Ale zawsze przynajmniej mogliśmy dostrzec problem, który sprawiał nam kłopot, zorientować się, co nas pokonało. Z Łabędziem sprawa wygląda inaczej. Nie zdołaliśmy tam nawet dotrzeć.

Planety są albo zawsze spowite chmurami, albo ekranowane tak, że nie udało nam się dostrzec powierzchni żadnej z nich. A kiedy znajdujemy się w odległości paru milionów mil od systemu, zaczynamy dryfować - spojrzał na Clarka. - Chyba użyłem odpowiedniego słowa?

- Właściwie nie mamy na to precyzyjnego określenia - odparł konstruktor - ale dryfowanie rzeczywiście najbardziej tu pasuje. Statek nie zatrzymuje się ani nie zmniejsza prędkości, lecz schodzi z kursu. Zupełnie jakby trafił na lód, choć to coś jest bardziej śliskie od lodu. I nic nie może go zarejestrować. Nie ma żadnego dowodu czyjejkolwiek obecności, niczego, co można zobaczyć, niczego, co spowodowałoby najmniejsze nawet drgnięcie przyrządów - trafiasz jednak na owo coś i zaczynasz zbaczać. Korygujesz lot i znowu dryfujesz. Początkowo doprowadzało to do szaleństwa ludzi, których próby dotarcia do systemu kończyły się na tym, że nie mogli nawet na milę przedrzeć się poza tę linię.

- Zupełnie jakby ktoś - dorzucił Adams - narysował palcem nie dającą się przekroczyć kreskę wokół całego systemu.

- Coś w tym rodzaju - przytaknął Clark.

- Ale Sutton przeszedł - stwierdził Andersen. Adams skinął głową.

- Sutton przeszedł - powtórzył.

- Cała ta sprawa w ogóle mi się nie podoba - oświadczył Clark. - Bardzo mi się nie podoba. Ktoś wpadł na genialny pomysł. Uznał, że nasze statki są zbyt duże. Gdyby były o wiele mniejsze, moglibyśmy się precyzyjnie. Zupełnie jakby to, co nas powstrzymuje, było siatką albo czymś podobnym.

- Sutton przeszedł - z uporem obstawał przy swoim Adams. - Wystrzelili go w szalupie ratunkowej i się przedostał. Jego małe statek przedarł się tam, gdzie wielkie nie zdołały.

Clark z niezmiennym uporem pokręcił głową.

- To wszystko jest bez sensu - rzekł. - Wielkość czy małość nie ma z tym nic wspólnego. Istnieje gdzieś jakiś czynnik, o którym nigdy nie pomyślano. Sutton rzeczywiście się przedostał, ale się rozbił, i jeżeli w momencie katastrofy znajdował się na statku, bez wątplenia zginął. Wcale jednak nie przedarł się dzięki temu, że jego statek był mały. Musiała być jakaś inna przyczyna.

Mężczyźni siedzieli w napięciu. Myśleli, czekali.

- Dlaczego Sutton? - zapytał wreszcie Andersen.

- Statek był mały - odparł spokojnie Adams. - Mogliśmy wysłać tylko jednego człowieka. Wybraliśmy takiego, który - naszym zdaniem - w razie powodzenia najlepiej wykonałby zadanie.

- Rzeczywiście był najlepszy?

- Owszem - potwierdził sucho Adams.

- No cóż, chyba faktycznie był najlepszy - powiedział Andersen przyjaznym tonem. - W końcu się tam dostał.

- Albo go przepuszczono - wtrącił się Blackburn.
- Niekoniecznie - zaprotestował Andersen
- Ale na to wygląda - upierał się Blackburn. Dlaczego chcemy się dostać do systemu Łabędzia? Żeby się zorientować, czy jest niebezpieczny. Takie było założenie, prawda?

- Owszem - przytaknął Adams. - Wszystko nieznanne jest potencjalnie niebezpieczne. Nie można machnąć na to ręką, dopóki nie ma się pewności. Tak właśnie brzmiała instrukcja, którą otrzymał Sutton: zorientować się, czy 61. jest niebezpieczna.

- A oni z tego samego powodu chcieli dowiedzieć się czegoś o nas - dopowiedział Blackburn. - Próbowaliśmy się do nich dostać przez kilka tysięcy lat. Byli więc zainteresowani zdobyciem informacji o nas w równym stopniu jak my o nich.

Andersen skinął głową.

- Rozumiem, do czego zmierzasz. Mogli podjąć ryzyko przepuszczenia jednego człowieka, gdyby udało im się go wciągnąć do środka, ale nie dopuściliby na odległość strzału uzbrojonego statku z pełną załogą.

- Właśnie - przytaknął Blackburn.

Adams gwałtownie zmienił temat i zwrócił się do Clarka.

- Mówiłeś o uszkodzeniach. Czy powstały niedawno?

Konstruktor pokręcił głową.

- Według mnie, przed dwudziestu laty. Bardzo dużo rdzy. Część przewodów była już bardzo skorodowana.

- Załóżmy - odezwał się Andersen - że Sutton jakimś cudem zdołał naprawić statek. Ale przecież w takim razie potrzebowałyby odpowiednich materiałów.

- Bardzo dużo - potwierdził Clark.

- Mogli mu je dostarczyć Łabędzianie - zasugerował Shulcross.

- Jeżeli w ogóle istnieją - rzekł Andersen.

- Nie wierzę, aby potrafili - oświadczył Blackbum. - Rasa, która ukrywa się za ekranowaniem, nie może być rasą techniczną. Gdyby było inaczej, wyszliby w przestrzeń, nie zaś odgradzali się od kosmosu. Założyłbym raczej, że Łabędzianie nie dysponują wiedzą techniczną.

- A ekrany? - zapytał Andersen.

- Nie muszą być oparte na mechanice - oświadczył stanowczo Blackbum.

Clark uderzył dłonią w kolano.

- Co za pożytek z tych rozważań? Sutton nie naprawił statku, ale jakoś sprowadził go z powrotem. Nawet nie próbował usunąć uszkodzeń. Wszędzie są pokłady kurzu i ani śladu dotknięcia jakimkolwiek narzędziem.

Shulcross pochylił się do przodu.

- Jednego nie rozumiem - rzekł. - Clark powiedział, że niektóre iluminatory były rozbite. A to oznaczałoby, że Sutton podróżował przez jedenaście lat świetlnych, wystawiony na działanie próżni kosmicznej.

- Korzystał ze skafandra - wyjaśnił Blackbum.

- Na statku nie było żadnych skafandrów - oznajmił cicho Clark.

Rozejrzał się wokoło, jakby obawiał się, że ktoś ich podsłuchuje.

- Ale to nie wszystko - kontynuował jeszcze ciszej. - Nie było również żywności i wody.

Andersen uderzył fajką o dłoń i głucho stuknięcie rozległo się echem. Wolno, starannie, jakby zmuszał się do całkowitego skoncentrowania na tej czynności, wysypał popiół z dłoni do popielniczki.

- Może znam wytłumaczenie tej zagadki - oświadczył. - A przynajmniej mam pewną poszlakę. Trzeba jednak włożyć jeszcze sporo pracy, aby uzyskać pełną odpowiedź. I nawet wtedy nie będziemy mieli zupełnej pewności.

Usiadł wyprostowany w krześle, czując wpatrzone w niego oczy.

- Waham się powiedzieć, o czym myślę - oznajmił.

Nikt się nie odezwał. Zegar na ścianie miarowo odmierzał sekundy. Daleko za otwartym oknem w ciszy popołudnia grał świerszcz.

- Przypuszczam - zaczął Andersen - że Sutton nie jest człowiekiem.

Zegar cykał. Granie świerszcza przeszywało ciszę. Wreszcie odezwał się Adams:

- Ale przecież odciski palców się zgadzają. Wzór oka również.

- Och, oczywiście, w pewnym sensie jest Suttonem - przyznał Andersen. - Nie ma najmniejszej wątpliwości, że z wyglądu to Sutton. Ma ciało Suttona. Ciało - albo przynajmniej jego część - które opuściło Ziemię dwadzieścia lat temu.

- Do czego zmierzasz? - spytał Clark. - Skoro ciało jest Suttonem, więc i on musi być człowiekiem.

- Bierzesz stary statek kosmiczny - odezwał się Anderson - i rasujesz mu silniki. Dodajesz tu i ówdzie jakieś urządzenia, likwidujesz inne, ulepszasz następne. I co wtedy masz?

- Przeróbkę - odparł Clark.

- Tego słowa potrzebowałem - zwrócił się do zebranych Andersen. - Ktoś albo coś zrobiło to samo z Suttonem. Jest czymś w rodzaju przeróbki. Najlepszą przeróbką człowieka, jaką kiedykolwiek widzieliśmy. Ma dwa serca i poplątany cały system nerwowy... No cóż, może nie poplątany, ale odmienny. Z całą

pewnością nie ludzki. Ma także dodatkowy układ krążenia. Właściwie nie układ krążenia, ale coś, co go przypomina. Z tą jedynie różnicą, że nie jest podłączony do serca. Jestem skłonny twierdzić, że obecnie nie jest używany. Zupełnie jak zapasowy. Kiedy jeden zaczyna się psuć, włączasz ten dodatkowy i łątasz pierwszy.

Andersen włożył do kieszeni fajkę i potarł ręce, jakby chciał je umyć.

- Cóż - dodał. - Tak sprawa wygląda.

- Ale to brzmi zupełnie nieprawdopodobnie - wymamrotał Blackburn.

Andersen sprawiał wrażenie, jakby w ogóle go nie usłyszał, mimo to jednak odpowiedział:

- Mieliśmy Suttona prawie przez godzinę i zarejestrowaliśmy każdy cal jego ciała na filmie i taśmie audio. Dokładna analiza materiału zajmie nieco czasu. Jeszcze nie skończyliśmy.

Aha, i jeszcze jedno. Zastosowaliśmy psychometr i nie uzyskaliśmy żadnego odczytu. Ani drgnięcia, żadnej myśli. Nawet śladowego przecieku. Jego umysł był zamknięty, dokładnie zablokowany.

- Jakieś uszkodzenie miernika - próbował wyjaśnić Adams.

- Nie - odparł Andersen. - Sprawdziliśmy dokładnie: psyche jest na pewno sprawny.

Rozejrzał się po pokoju, zatrzymując spojrzenie na każdej twarzy.

- Może nie uświadamiacie sobie, co to znaczy - oznajmił. - Kiedy człowiek śpi lub został oszołomiony i w każdym innym wypadku, gdy nie wie, że jest poddawany badaniu, psychometr wywróci go na nice. Wyciągnie z niego takie rzeczy, z których jego świadomość zupełnie nie zdaje sobie sprawy. Nawet jeśli

ktos przeciwstawia sie badaniu, nastepuje sladowy przeciek, ktory zwieksza sie w miare, jak maleje opor umyslu.

- Ale z Suttonem sie nie udalo - stwierdzil Shulcross.

- Owszem. Z Suttonem sie nie udalo. Mowie wam, on nie jest czlowiekiem.

- I uwazasz, iz fizycznie rozni sie do tego stopnia, ze moglyby zyc w prazni kosmicznej bez jedzenia i wody?

- Nie wiem - odparl Andersen.

Oblizal wargi i rozejrzal sie wokol jak dzikie zwierzę szukajace drogi uciezki.

- Nie wiem - powtorzyl. - Po prostu nie wiem.

Adams odezwal sie lagodnie:

- Nie mozemy wpadac w przygnebienie. Obcość nie jest dla nas czymś niezwyklym. Moze bylo tak kiedyś, wtedy gdy pierwsi ludzie wyruszyli w kosmos. Ale dzisiaj...

Clark przerwal mu ze zniecierpliwieniem:

- Obcość rzeczy nigdy mnie nie martwila. Kiedy jednak czlowiek zmienia sie w obcego...

Przełknal slinę i spojrzal na Andersena.

- Czy uwazasz, ze jest niebezpieczny?

- Mozliwe - padla odpowiedz.

- Nawet jezeli stanowi zagrozenie, nie moze nam jakoś szczegolnie zaszkodzic - wyjasnil spokojnie Adams. - Miejsce, w ktorym mieszka, jest nafaszerowane aparatura szpiegowska.

- Czy sa juz jakieś meldunki? - spytal Blackbum.

- Tylko ogólne. Nic konkretnego. Sutton zachowuje sie spokojnie. Odebral kilka widofonów. Sam wykonal kilka. Odwiedzila go jedna czy dwie osoby.

- Wie, ze jest obserwowany - stwierdzil Clark. - Dziala na pokaz.

- Krążą plotki - wtrącił Blackbum - że Benton wyzwiał go na pojedynek.

Adams skinął głową.

- Tak. Ash próbował go uniknąć. Nie jest to więc zachowanie kogoś niebezpiecznego.

- Może - stwierdził Clark tonem niemal pełnym nadziei - Benton rozwiąże za nas całą sprawę.

Adams uśmiechnął się kącikiem ust.

- Zastanawiam się, czy Ash nie spędził tego popołudnia na obmyślaniu dla naszego pana Bentona jakiegoś drańskiego podstępu.

Andersen wyjął z kieszeni fajkę i zaczął nabijać ją tytoniem z kapciucha. Clark bawił się papierosem.

Adams spojrzał na Shulcrossa.

- Masz coś, Shulcross?

Lingwista skinął głową.

- Nie jest to nic szczególnego. Otworzyliśmy walizkę Suttona i znaleźliśmy w niej rękopis. Zrobiliśmy z niego fotokopię i odłożyliśmy go dokładnie w to samo miejsce. Jak na razie jednak nic z tego nie wynika, bo nie udało nam się odczytać ani słowa.

- Szyfr - oznajmił Blackburn.

Shulcross pokręcił głową.

- Gdyby tak było, nasze roboty by go złamały w ciągu godziny, może dwóch. To na pewno nie szyfr, ale język. Dopóki jednak nie mamy do niego klucza, nie możemy go zrozumieć.

- Oczywiście sprawdziliście wszystkie możliwości?

Shulcross uśmiechnął się smętnie.

- Sięgaliśmy do starych ziemskich języków - Babilonu i Krety. Sprawdzaliśmy krzyżowo wszystkie języki w Galaktyce. Żaden z nich nie jest choć trochę podobny do tego.

- Język - powiedział Blackburn. - Nowy język. Innymi słowy, Sutton coś znalazł.

- Mogło mu się udać - potwierdził Adams. - Jest najlepszym agentem, jakiego miałem.

Andersen poruszył się niecierpliwie w krześle.

- Lubi pan Suttona? - zapytał. - Osobiście?

- Owszem - przytaknął Adams.

- Słuchaj, Adams - odezwał się Andersen. - Myślałem nad jedną sprawą. Od samego początku wydawała mi się dziwna.

- Tak? Co takiego?

- Wiedziałaś, że Sutton wraca. Znałeś czas jego przybycia niemal co do minuty. I zastawiłeś na niego pułapkę. W jaki sposób się o tym dowiedziałeś?

- Po prostu przeczucie - stwierdził Adams.

Przez długą chwilę wszyscy czterej siedzieli, patrząc na niego. A potem zorientowali się, że nie ma zamiaru dodać nic więcej. Wstali więc i skierowali się do wyjścia.

Z drugiej strony pokoju rozległ się ostry, zdradzający podniecenie śmiech kobiety... Światła szarobłękitnego kwietniowego zmierzchu zmieniły się w purpurowoszare barwy szaleństwa i sala stała się innym światem, zatopionym w ciszy, która właściwie nie była milczeniem. Z wiaterek, który lodowatym dotknięciem przesunął się po jego policzku, dotarł do niego zapach... zapach przywołujący w pamięci czarne orchidee w dalekim kraju pełnym zapierającego dech lęku.

Podłoga zakołysała się pod stopami Suttona i poczuł, jak drobna dłoń Ewy wbija się mocno w jego przedramię. Odezwał się do niego Zag. Słowa były martwymi, głuchymi dźwiękami kapiącymi ze zmumifikowanego ciała.

- Czy tego chcesz? Żyj więc swoim upragnionym życiem... Znajdziesz tu każdą drogę ucieczki, jeśli kiedyś będziesz jej szukał... Możesz mieć rzeczy, o których marzyłeś.

- Jest strumień - powiedział Sutton. - Małeńki strumyk, który płynie....

Światło stało się zielone, bajecznie zielone i płonęło cichym, spokojnym życiem; bujnym wiosennym życiem, w którym kryła się już zapowiedź przyszłych zdarzeń. Były tam też drzewa, drzewa spowite w połyskującą, błyszczącą w słońcu zielen pierwszych pękających pąków.

Sutton poruszył palcami stóp i poczuł między nimi żdźbła trawy, miękkie, delikatne wiosenne żdźbła, doleciał go zapach przyłasczek i krwawnika, który przecież wcale nie pachniał... i o wiele mocniejszy aromat goździków brodatych, kwitnących na

wzgórzu za strumykiem. Jeszcze za wcześnie na kwitnienie goździków, powiedział do siebie.

Strumień zbulgotał, płynąc szybko po zwirowatym dnie w stronę Wielkiej Jamy, a Asher ruszył biegiem przez łąkę, trzymając mocno wędkę w jednej dłoni, a puszkę z robakami w drugiej.

Ptak mignął wśród drzew wspinających się na zbocze za łąką, a na szczycie wysokiego wiązu rosnącego nad Wielką Jamą zaczął śpiewać drozd.

Sutton znalazł na brzegu zagłębienie przypominające fotel, w którym oparciem był pień wiązu, usiadł i pochylił się, by spojrzeć na wodę. Nurt był szybki - ciemny i głęboki; zataczał półkole, aby dotrzeć pod przeciwległy brzeg, bulgocząc i mlaszcząc z siłą, tworząc wiry na powierzchni.

Nabrał powietrza i wstrzymał oddech w pełnym napięcia oczekiwaniu, Drżącymi palcami wyszukał największego robaka i założył go na haczyk.

Wciąż wstrzymując oddech, zarzucił wędkę. Spławik popłynął po niespokojnej powierzchni wody i dotarł do miejsca, w którym nurt zawracał. Szarpnął się, niemal zniknął, a potem znowu wypłynął na powierzchnię i popłynął dalej.

Asher pochylił się do przodu; bolały go napięte mięśnie ramion. Mimo to jednak w pełni przeżywał piękno tego dnia... Spokój i pogodę... świeżość poranka, delikatne ciepło słońca, błękit nieba i biel chmur. Woda mówiła do niego i czuł się dorosły; stał się istotą, która rozumiała, a zarazem był częścią czystej, białej ekstazy składającej się ze wzgórz, strumienia, łąki, ziemi, chmur, wody, nieba i słońca.

I w tej samej chwili spławik zniknął pod wodą!

Podciął i poczuł ciężar złowionej ryby. Przeleciała łukiem nad

jego głową i wylądowała w trawie za plecami. Rzucił wędkę, zerwał się na równe nogi i pobiegł.

W trawie podskakiwał kleń. Sutton schwycił żyłkę i podniósł rybę do góry. Była ogromna! Co najmniej sześć cali! Łkając z podniecenia, upadł na kolana, ujął zdobycz i wyciągnął haczyk drżącymi, nieposłusznymi palcami.

Sześciocalowy na początek, powiedział, zwracając się do nieba, strumienia i łąki. Może każda ryba, którą złowię, będzie taka duża. Może złowię cały tuzin i wszystkie będą miały po sześć cali. Może niektóre z nich będą nawet większe. Może...

- Hej - odezwał się dziecięcy głosik.

Sutton odwrócił się, nie wstając z klęczek. Koło wiązu stała mała dziewczynka. Przez chwilę wydawało mu się, że już ją gdzieś widział. Rychło jednak uświadomił sobie, że jest tu obca, i trochę się skrzywił, bo dziewczynki nie były potrzebne przy łowieniu ryb. Miał nadzieję, że sobie pójdzie. Chociaż byłoby to do niej podobne - kręcić się tu i popsuć mu cały dzień.

- Nazywam się... - powiedziała i wymieniła nazwisko, którego nie zrozumiał, bo trochę sepleniła.

Nie zareagował.

- Mam osiem lat - dorzuciła

- A ja nazywam się Asher Sutton - rzekł po chwili. - Mam dziesięć lat, wkrótce będę miał jedenaście.

Stała i patrzyła na niego, skubiąc nerwowo wyszywany fartuszek. Zauważył, że fartuszek jest czyściutki, wykrochmalony i sztywny. Skubanie jednak nie wychodziło mu na dobre.

- Łowię ryby - objaśnił, starając się, żeby jego słowa nie zabrzmiały zbyt zarozumiale. - I właśnie złapałem wielkiego klenia.

Zobaczył, że jej oczy rozszerzają się z przerażenia na widok

czegoś, co pojawiło się za nim. Odwrócił się gwałtownie -już nie klęcząc, ale stojąc - i jego dłoń skierowała się do kieszeni marynarki.

Pomieszczenie, w którym się znajdował, było purpurowoszare. Rozlegał się ostry kobiecy śmiech, a przed nim widniała twarz... Twarz, którą widział dzisiaj po południu i której nigdy nie zapomni.

Tęga kulturalna twarz nawet teraz uśmiechała się przyjaźnie; uśmiechała się mimo morderczo przymrużonych oczu, mimo pistoletu unoszącego się w owłosionej pulchnej dłoni.

Sutton poczuł, jak jego palce dotknęły kolby pistoletu, który miał przy sobie, i zacisnęły się na niej. Wyszarpnął broń z kieszeni, ale za późno. Wiedział, że już za późno, aby prześcignąć płomień wytryskujący z broni człowieka, który miał długie sekundy przewagi.

Zapłonął w nim gniew, zimny i zabójczy. Złość na pulchną dłoń, na uśmiechniętą twarz... Twarz uśmiechającą się tak samo z drugiej strony szachownicy i zza podniesionego pistoletu. Uśmiechem egoisty próbującego zwyciężyć robota, którego specjalnie zaprojektowano, aby rozgrywał idealne partie szachów.... Egoisty, który uwierzył, że mógłby zastrzelić Ashera Suttona.

Uświadomił sobie, że gniew jest czymś więcej niż tylko gniewem... Czymś znacznie bardziej niszczącym niż zwykły dopływ adrenaliny do ludzkiej krwi. Stanowił część jego samego i jednocześnie czegoś potężniejszego niż on, śmiertelna istota z krwi i kości, zwana Asherem Suttonem; część jakiejś straszliwej rzeczy wydobytej z nieludzkości.

Twarz przed nim rozplynęła się... albo tylko tak mu się zdawało. Zmieniła się, zniknął z niej uśmiech i Sutton

zarejestrował, że gniew wydobywa się z jego umysłu i jak pocisk trafia w niknącą w oczach osobowość, która była Geoffreyem Bentonem.

Pistolet Bentona kaszlnął głośno; płomień wystrzału w purpurowym świetle miał krwawoczerwony odblask. A potem Asher poczuł, jak jego własna broń - w chwili gdy pociągnął za spust - szarpnęła jego przegubem i uderzyła w zagłębienie dłoni.

Benton padał pochylony do przodu, składając się wpół, jakby w brzuchu miał jakieś zawiasy. Przez chwilę Sutton widział zabarwioną purpurą twarz, aż wreszcie znikła, ukryta w nieporządnym zawiniątku na podłodze. Malowało się na niej zdziwienie, wściekłość i straszliwy, przytłaczający wszystkie inne emocje, strach. Jej rysy były wykrzywione i nie należały już do człowieka.

Huk wystrzałów sprawił, że zapadła cisza i w jaskrawym świetle, lekko przyćmionym wijącym się prochowym dymem, Sutton dostrzegł białe plamy wpatrzonych w niego twarzy. Twarzy najczęściej bez wyrazu, choć niektóre z nich miały wyraźnie otwarte usta.

Uświadomił sobie, że ktoś szarpie go za łokieć, więc ruszył kierowany przez dłoń spoczywającą na jego przedramieniu. Nagle poczuł się osłabiony, wstrząśnięty i nie było już w nim gniewu. Powiedział do siebie:

- Właśnie zabiłem człowieka.

- Szybko - usłyszał głos Evy Armour. - Musimy się stąd wydostać. Zaraz się tu zbiegną. Cała ta piekielna banda.

- To byłaś ty - zwrócił się do dziewczyny. - Teraz sobie przypominam. Początkowo nie dosłyszałem nazwiska. Wymamrotałaś je... albo może sepleniałaś i nie usłyszałem.

Pociągnęła go za rękę.

- Przygotowali Bentona. Uznali, że to wystarczy. Nie przypuszczali, że zdoła go pan pokonać.

- Byłaś małą dziewczynką - kontynuował poważnym tonem Sutton. - Miałaś fartuszek w kratkę i skubałaś go, jakbyś była zdenerwowana.

- O czym pan mówi, na litość boską?

- Łowiłem ryby - ciągnął Sutton - i właśnie wyciągnąłem wielką sztukę, kiedy przyszłaś...

- Pan zwariował - oznajmiła. - Wcale nie łowił pan ryb.

Otworzyła drzwi i wypchnęła go na zewnątrz. Zimne powietrze uderzyło go w twarz.

- Poczekaj! - zawołał. Odwrócił się i gwałtownie schwycił dziewczynę obiema rękami.

- Oni?! - wrzasnął. - O czym ty mówisz? Jacy oni?

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma.

- Chce pan powiedzieć, że nic nie wie?

Pokręcił z oszołomieniem głową.

- Biedny Ash - westchnęła.

Jej miedziane włosy przypominały teraz czerwonawy płomień, połyskujący, ożywiony migotaniem neonu rozbłyskującego co chwila nad fasadą Zag House.

SNY NA ŻYCZENIE

Przeżyj życie, które cię ominęło.

Wymyśl dla nas najtrudniejsze.

Portier android odezwał się do nich cicho:

- Czy życzy pan sobie samochód, proszę pana?

Zanim zdążył odpowiedzieć, już był przed nimi samochód, przesuwając się płynnie i cicho po podjeździe jak czarny żuk,

wyłaniający się z nocy. Portier wyciągnął dłoń i szeroko otworzył drzwi.

- Wieści szybko się rozchodzą - oznajmił.

W łagodnym niewyraźnym głosie było coś, co poruszyło Suttona. Wsiadł do samochodu i pociągnął za sobą Evę. Android zatrzaskał drzwi.

Asher przycisnął pedał gazu i samochód z piskiem opon ruszył po łukowatym podjeździe. Wyjechał na autostradę i z rykiem pełnym tłumionego zniecierpliwienia ruszył długą drogą skracającą ku wzgórzom.

- Dokąd? - zapytał.

- Z powrotem do "Herbu" - odpowiedziała. - Tam nic ci nie będą mogli zrobić. Twój pokój jest wyposażony w promienie.

- Muszę być ostrożny, bo mógłbym się o któryś potknąć - roześmiał się Sutton. - Ale skąd o tym wiesz?

- Na tym polega moja praca.

- Przyjaciel czy wróg? - spytał.

- Przyjaciel.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią. Skuliła się w fotelu i znowu była małą dziewczynką... choć nie miała na sobie fartuszek w kratkę i nie była zdenerwowana.

- Sądzę - odezwał się - że zadawanie ci pytań nie ma sensu?

Pokręciła głową.

- Gdybym zaczął je zadawać, pewnie byś skłamała.

- Jeślibym zechciała - odrzekła.

- Mógłbym wydobyć z ciebie odpowiedzi.

- Mógłbyś, ale nie chcesz. Wiesz, Ash, znam cię dość dobrze.

- Spotkałaś mnie dopiero wczoraj.

- Tak - odparła - ale badałam cię przez dwadzieścia lat.

Roześmiał się.

- Nawet o mnie nie myślałaś. Tylko...

- I wiesz co, Ash?

- Słucham?

- Uważam, że jesteś cudowny.

Zerknął na nią. Siedziała nieruchomo w kącie fotela, wiatr przylepił do jej twarzy kosmyk miedzianych włosów... Jej ciało było miękkie, twarz lśniła lekko. A mimo to, pomyślał. Mimo to...

- Miło z twojej strony - odpowiedział. - Mógłbym cię za to pocałować.

- Możesz mnie pocałować, Ash - rzekła - kiedy tylko zechcesz.

Po chwili zaskoczenia zatrzymał samochód i zrobił to.

Kufer dostarczono rankiem, kiedy Sutton kończył śniadanie. Był stary i zniszczony, wiekowe skórzane pokrycie wisiało w strzępach, odsłaniając zmatowiały stalowy szkielet, upstrzony tu i ówdzie plamami rdzy. Klucz znajdował się w zamku, a klamry pasów były połamane. Na jednym rogu skórę całkowicie obgryzły myszy.

Sutton pamiętał go... Kiedy był jeszcze chłopcem i chodził na strych, aby się tam bawić w deszczowe popołudnia, kufer stał zawsze w odległym kącie.

Rozłożył zgrabnie zwinięty w rulon egzemplarz porannego wydania "Gazety Galaktycznej", przyniesiony mu razem ze śniadaniem. Informacja, której szukał, znajdowała się na pierwszej stronie, jako trzecia na kolumnie wiadomości z Ziemi:

Pan Geoffrey Benton został zabity ubiegłej nocy podczas nieoficjalnego spotkania w jednym z centrów rozrywkowych dzielnicy uniwersyteckiej. Zwycięzcą był pan Asher Sutton, który dopiero wczoraj powrócił z misji do 61 Łabędzia. I jeszcze ostatnie zdanie, zawierające największe potępienie, jakie można napisać o pojedyńkowiczu:

Pan Benton strzelił pierwszy i chybił.

Sutton znowu złożył gazetę i starannie umieścił ją na stoliku. Zapalił papierosa. Myślałem, że to będę ja, powiedział do siebie. Nigdy dotąd nie strzelałem z takiego pistoletu... Nie wyobrażałem sobie, jak to wygląda. Chociaż oczywiście czytałem i słyszałem o takiej broni. Pojedyńki mnie nie interesowały, a na starej broni znali się tylko pojedyńkowicze, zbieracze i

antykwariusze. Prawdę mówiąc, to nie ja go zabiłem, to on zabił samego siebie. Gdyby nie chybił, a spudłowanie w tych okolicznościach jest niewybaczalne, notatka brzmiałaby na odwrót:

Pan Asher Sutton został zabity ubiegłej nocy w spotkaniu...

Dziewczyna powiedziała, że urządzimy sobie wspaniały wieczór. Może wiedziała. Zjemy obiad i urządzimy sobie wspaniały wieczór. Urządzimy sobie wspaniały wieczór i Geoffrey Benton zabije cię w Zag House.

Tak, kontynuował rozmyślenia Sutton, mogła o tym wiedzieć. Jak i o innych sprawach. Na przykład o znajdujących się w moim pokoju pułapkach na szpiegów. I o kimś, kto przygotował Bentona do rzucenia wyzwania i zabicia mnie.

Kiedy zapytałem: “wróg czy przyjaciel”, odpowiedziała “przyjaciel”, ale słowa wypowiada się łatwo. I trudno się doprawdy zorientować, co jest prawdą, a co kłamstwem.

Wspomniała, że byłem obiektem jej dwudziestoletnich badań, i to jest oczywiście kłamstwem. Dwadzieścia lat temu właśnie wyruszałem do Łabędzia i byłem kimś nieważnym. Po prostu śrubką w wielkiej maszynie. W dalszym ciągu nie jestem ważny. Mam znaczenie tylko dla siebie samego, ale liczy się jedynie ta wielka idea, o której nikt oprócz mnie nie może wiedzieć. Jeżeli nawet rękopis skopiowano, nikt nie zdoła go odczytać.

Zapewniła, że jest moim przyjacielem. Jednocześnie jednak doskonale wiedziała, że Bentona przygotowano, aby rzucił mi wyzwanie i mnie zabił. Mimo to zadzwoniła i umówiła się ze mną.

Powiedzieć można, co się chce. Słowa bywają fałszywe, ale

przecież nie wszystko kłamie... Sposób, w jaki jej wargi dotykały moich ust, czułe dotknięcie palców przesuwających się po moim policzku...

Zgasił papierosa, wstał i podszedł do kufra. Zamek był zardzewiały, klucz obracał się z trudem, w końcu jednak udało mu się go otworzyć. Podniósł wieko.

Kufer był pełen starannie ułożonych papierów. Sutton spojrzął na nie i roześmiał się cicho. Buster zawsze był bardzo metodyczny. Zresztą, wszystkie roboty są metodyczne. Taka jest ich natura. Metodyczne i - jak to określił Herkimer? - uparte. Metodyczne i uparte.

Kucnął na podłodze obok kufra i zaczął szperać w jego wnętrzu. Stare listy starannie związane w paczki. Notes jeszcze z okresu studiów. Plik spiętych razem dokumentów, które z całą pewnością były już nieaktualne. Brulion pełen nie przyklejonych wycinków. I album wypełniony mało wartościowym zbiorem znaczków.

Przysiadł na piętach, ze wzruszeniem przewracając kartki albumu, i poczuł, jak znowu powraca czas dzieciństwa. Tanie znaczki, bo nie miał pieniędzy, żeby kupić bardziej wartościowe. Kolorowe, bo takie mu się wtedy podobały. Większość z nich jest w kiepskim stanie, ale przecież kiedyś wydawały mu się cudowne.

Szaleństwo zbierania znaczków, przypomniał sobie, trwało dwa... najwyżej trzy lata. Studiował katalogi, wymieniał, kupował tanie pakiety, poznawał dziwny język swojego hobby... Ząbkowane, cięte, odcienie, znaki wodne, wkłęsłodruk...

Uśmiechnął się do szczęśliwych wspomnień. Były znaczki, których pragnął, ale nie mógł ich mieć. studiował więc ich ilustracje tak długo, aż znał je na pamięć. Uniósł głowę i -

wpatrując się w ścianę - spróbował sobie przypomnieć. jak niektóre z nich wyglądały, ale bez pożądanego skutku. Niegdyś najważniejsze sprawy zostały pogrzebane pod liczącą sobie z górą pięćdziesiąt lat warstwą innych najważniejszych problemów.

Odłożył album na bok i znowu sięgnął w głąb kufra.

Kolejne notesy i listy. Luźne wycinki. Dziwnie wyglądający klucz francuski. Dokładnie obgryziona kość. która kiedyś była zapewne własnością i pociechą jakiegoś kochanego, a teraz całkowicie zapomnianego psa.

- Śmiecie, powiedział na głos. - Buster oszczędziłby wiele czasu, gdyby po prostu wszystko zakopał.

Kilka starych gazet. Zjedzony przez mole proporczyk. Gruby list, którego nigdy nie otworzono. Sutton rzucił go na stos wydobytych z kufra szpargałów, ale potem zawahał się i sięgnął po niego ponownie.

Ten znaczek wygląda dziwnie. Choćby jego kolor...

Znowu napłynęła fala wspomnień i w wyobraźni zobaczył ten znaczek, zobaczył go tak jak wtedy, kiedy był jeszcze chłopcem... Nie sam znaczek, oczywiście, ale jego rysunek w katalogu.

Pochylił się nad listem i nagle zapało mu dech. Znaczek był stary, niewiarygodnie stary... Niewiarygodnie stary i wart... dobry Boże, ile może być teraz wart?

Próbował odczytać stempel, ale był tak wyblakły, że rozpływał się przed oczyma. Wstał powoli, położył list na stole i pochylił się nad nim, próbując odcyfrować nazwę miasta.

BRIDGEP..., WIS.

Zapewne Bridgeport. A WIŚ? Pewnie jakiś dawny stan. Jakiś zagubiony we mgle czasu podział polityczny.

Lipiec... 198...

Lipiec, tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty któryś!
Sześć tysięcy lat temu!

Ręce Suttona dygotały.

Nie otwarty list, wysłany przed sześćdziesięcioma wiekami!
Wrzucony między te śmieci. Leżący razem z obgryzioną kością i
dziwnym kluczem francuskim.

Nie otwarty list... ze znaczkiem, który wart był majątek.

Ponownie odczytał stempel. Bridgeport, Wiś, lipiec i coś, co
wyglądało jak jedenaście.... 11 lipca 198... Brakująca cyfra roku
była zbyt blada, aby ją odczytać. Może udałoby się to przez dobre
szkło powiększające?

Adres, wypłowiały, ale wciąż czytelny brzmiał:

*Pan John H. Sutton,
Bridgeport,
Wisconsin.*

A więc WIS znaczy Wisconsin.

I nazwisko Sutton. Oczywiście, że powinno brzmieć Sutton. Jak
to określił adwokat android Bustera? “Kufier pełen rodzinnych
papierów”. Będę musiał zajrzeć do atlasu historycznego,
postanowił, i sprawdzić, gdzie był ten Wisconsin.

Ale John Sutton? John H. Sutton. To zupełnie inna sprawa. Po
prostu jakiś Sutton. Człowiek, który już wiele lat temu zmienił się
w pył. Mężczyzna, który czasami zapominał otwierać listy.

Odwrócił list i przyjrzał mu się dokładnie. Nie było żadnych
śladów otwierania. Klej łuszczył się i kiedy podważył
paznokciem jeden z rogów, osypał się w formie drobnego
deszczu okruchów. Spostrzegł, że papier jest kruchy i łamliwy,
będzie więc musiał obchodzić się z nim ostrożnie.

“Kufier pełen papierów rodzinnych”. Tak właśnie powiedział android Wellington, który przyszedł do jego pokoju, usiadł wyprostowany na krawędzi krzesła i położył równiutko kapelusz na blacie stołu.

A w rzeczywistości był to kufier pełen śmieci. Kości, klucz francuski, spinacze i wycinki. Stare notesy, listy i list, wysłany sześć tysięcy lat temu, ale nigdy nie otwarty.

Czy Buster wiedział o tym liście?.. Zapewne tak.

Próbował go ukryć... i udało mu się. Włożył go między różne rupiecie, doskonale wiedząc, że jeśli kiedykolwiek zostanie odnaleziony, to tylko przez człowieka, dla którego był przeznaczony. Kufier specjalnie podniszczono, aby sprawiał wrażenie niepotrzebnego przedmiotu. Stary, odrapany, z kluczem w zamku - samym swoim wyglądem mówił: “Nie ma we mnie nic ważnego, ale jeżeli chcesz tracić czas, to cóż, bardzo proszę, szukaj”. A gdyby ktoś faktycznie zaczął szukać, śmietnik okazałby się tym, czym był w rzeczywistości, oprócz jednego wyjątku: bezwartościowym zbiorem starych wspomnień. Sutton postukał palcem w pękatą kopertę leżącą na stole.

John H. Sutton, przodek sprzed sześciu tysięcy lat. Jego krew choć wielokrotnie rozcieńczona, płynie w moich żyłach. Był jednak człowiekiem, który żył i oddychał, jadł i umarł. Oglądał wschód słońca nad zielonymi wzgórzami Wisconsin... Jeżeli w Wisconsin, gdziekolwiek to było, znajdowały się jakieś wzgórza.

Czuł żar lata i dygotał w mrozie zimy. Czytał gazety i rozmawiał z sąsiadami o polityce. Martwił się o wiele spraw, wielkich i małych, z których większość okazała się rzeczywiście mała, tak jak zazwyczaj to bywa z kłopotami.

Łowił ryby w rzece oddalonej o kilka mil od jego domu i może pod koniec swoich dni, kiedy miał już niewiele do roboty, krzątał

się w ogrodzie.

Człowiek jak ja, choć były prawdopodobnie niewielkie różnice. Miał wyrostek robaczkowy, który mógł sprawiać mu kłopoty. Miał zęby mądrości, które także mogły sprawiać mu kłopoty. Najprawdopodobniej zmarł w wieku osiemdziesięciu lat albo później, choć równie dobrze mógł umrzeć o wiele wcześniej. A kiedy ja będę miał osiemdziesiąt lat, pomyślał Sutton, będę dopiero w kwiecie wieku.

Ale krótkość życia wynagradzało Johnowi H. Suttonowi co innego. Żył w o wiele bliższym kontakcie z Ziemią, ponieważ Ziemia była wszystkim, co miał. Nie dręczyła go pozaziemska psychologia; Ziemia stanowiła dlań prawdziwe miejsce zamieszkania, nie zaś tylko siedzibę rządu, gdzie nie miało prawa rosnąć nic, co nie przedstawiałoby wartości gospodarczej, a każde działanie musiało mieć cel ekonomiczny. Mógł wybrać pracę na całe życie spośród wielu zawodów, jakie były wtedy dostępne, nie ograniczając się do działalności rządowej i zarządzania kruchym imperium galaktycznym.

Gdzieś, przed nim i po nim, istnieli zapomniani już Suttonowie, wielu innych Suttonów. Łańcuch życia ciągnął się nieprzerwanie od jednego pokolenia do drugiego i żadne ogniwo nie wyróżniało się spośród innych, chyba że przez przypadek. Przypadek historii, przypadek mitu czy przypadek polegający na tym, że ktoś nie otworzył listu?

Zadźwięczał dzwonek przy drzwiach. Sutton drgnął, schwycił list i schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Proszę wejść! - zawołał.

Wszedł Herkimer.

- Dzień dobry, proszę pana - powiedział.

Sutton spojrzał na niego ostro.

- Czego chcesz? - zapytał.

- Należę do pana - odparł beznamyślnie android. - Jestem częścią przypadającej panu jednej trzeciej majątku Bentona.

- Mojej jednej trzeciej... - I nagle sobie przypomniał. Według prawa zwycięzca w pojedynku dziedziczy jedną trzecią majątku zabitego. Zupełnie o tym zapomniał.

- Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu - odezwał się znowu Herkimer. - Jestem łatwy we współżyciu, szybko się uczę i lubię pracować. Potrafię gotować, szyć, załatwiać różne sprawy, a także czytać oraz pisać.

- I wydać mnie.

- Och, nie, nigdy bym tego nie zrobił.

- Dlaczego?

- Bo jest pan moim panem.

- Zobaczymy - stwierdził kwaśno Sutton.

- Ale moja osoba nie wyczerpuje masy spadkowej - oznajmił Herkimer. - Jest jeszcze asteroida, asteroida łowiecka z najlepszą zwierzyną, oraz statek kosmiczny. Co prawda niewielki, lecz zupełnie sprawny. Poza tym kilka tysięcy dolarów w gotówce, nieruchomości na zachodnim wybrzeżu, trochę fantastycznych akcji rozwoju planetarnego oraz całe mnóstwo drobiazgów, zbyt licznych, aby je tu wymieniać.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął notes.

- Jeżeli chce pan posłuchać, mam wszystko zapisane.

- Nie teraz - odparł Asher. - Mam coś do załatwienia.

Herkimer się rozpromienił.

- Niewątpliwie coś, co mogę zrobić. W czym mogę pomóc?

- Nie możesz - rzekł Sutton. - Idę zobaczyć się z Adamsem.

- Mogę nieść pańską walizeczkę. Tę, która tam stoi.

- Nie biorę jej.

- Ale proszę pana...

- Usiądziesz tu z założonymi rękami i będziesz na mnie czekał.

- Pewnie coś popsuję - ostrzegł android. - Wiem, że tak będzie.

- A więc dobrze. Możesz coś zrobić. Chodzi o tę walizeczkę.

Możesz jej pilnować.

- Tak jest, proszę pana - odparł wyraźnie rozczarowany Herkimer.

- Nie trać czasu i nie próbuj przeczytać, co znajduje się w środku - uprzedził jego nowy pan. - Nie potrafisz.

- Och - westchnął android, coraz bardziej rozczarowany.

- Jeszcze jedna sprawa. W tym hotelu mieszka dziewczyna, która nazywa się Eva Armour. Czy wiesz coś o niej?

Herkimer pokręcił głową.

- Ale mam kuzynkę... - powiedział.

- Kuzynkę?

- Tak. Powstała w tym samym laboratorium co ja i dlatego jest moją kuzynką.

- Masz więc wielu kuzynów i kuzynek.

- Tak - przyznał Herkimer. - Wiele tysięcy. I trzymamy się razem. Tak przecież - dodał świętoszkowatym tonem - powinno być w rodzinie.

- Czy sądzisz, że twoja kuzynka może coś wiedzieć?

Android kiwnął głową.

- Pracuje w hotelu. Może więc coś wiedzieć.

Wziął ulotkę z leżącego na stole stosu.

- Widzę, proszę pana - powiedział - że już pana dopadli.

- O czym mówisz? - spytał z gniewem Sutton.

- Liga Równości - odparł. - Czatuja na każdego ważnego człowieka. Mają ze sobą petycję.

- Owszem - przyznał Sutton. - Wspominali coś o petycji. Chcieli,

żebym ją podpisał.

- I nie zrobił pan tego?

- Nie - odparł krótko Asher.

Spojrzał na Herkimera. - Jesteś androidem - oznajmił bez osłonek. - Spodziewałbym się raczej, że będziesz się z nimi solidaryzował.

- Proszę pana - padła odpowiedź - oni mają dobre intencje, ale podchodzą do sprawy od niewłaściwej strony. Proszą dla nas o łaskę, o współczucie, lecz my nie chcemy ani jednego, ani drugiego.

- A czego chcecie?

- Uznania za równych ludziom - wyjaśnił Herki-mer - ale uznania wynikającego z naszych zalet, a nie będącego rezultatem jakiejś dyspensy czy ludzkiej tolerancji.

- Rozumiem - powiedział Sutton. - Mam wrażenie, że tak właśnie pomyślałem, kiedy zaczepili mnie w holu. Ale nie potrafiłem wyrazić tego słowami.

- Rasa ludzka nas stworzyła - mówił dalej android. - Na tym polega problem, to jest źródłem bólu. Stworzyła nas dokładnie w tym samym celu, w jakim rolnik hoduje swoje bydło. Ludzie wykonali nas właśnie po to i traktują zgodnie z przeznaczeniem. Może są dla nas dobrzy, lecz jest to dobroć spowodowana litością. Nie pozwalają nam korzystać z naszych umiejętności. Nie mamy prawa dziedziczenia. Tak, nie pozwolono nam dziedziczyć, a przecież jest to podstawowe prawo ludzkości. My...

Przerwał. Błysk w jego oczach zniknął, twarz się wygładziła.

- Nudzę pana - wyraził obawę.

- W tej sprawie jestem twoim sojusznikiem, Herkimer - stwierdził ostro Sutton. - Nie zapominaj o tym ani przez chwilę. Jestem twym przyjacielem i udowodniłem to, nie podpisując

petycji.

Stał, patrząc na androida. Nieostrożny i przebiegły, pomyślał. Takim właśnie go zrobiliśmy. To taki sam znak niewolnictwa jak ten, który nosi na czole.

- Możesz być pewien - ciągnął - że wcale nie żywię do was litości.

- Dziękuję panu - odparł Herkimer. - Dziękuję w imieniu nas wszystkich.

Asher skierował się w stronę drzwi.

- Muszę panu pogratulować - odezwał się android.

- Bardzo dobrze poradził pan sobie ubiegłej nocy.

Odwrócił się ku niemu.

- Benton chybił - wyjaśnił. - Nie miałem innego wyjścia. Musiałem go zabić.

Herkimer skinął głową.

- Nie o to mi chodzi, proszę pana. Po raz pierwszy słyszę, aby człowiek zginął w wyniku postrzału w ramię.

- W ramię?!

- Dokładnie tak, proszę pana. Pocisk strzaskał mu ramię, poza tym nie doznał obrażeń.

- Ale przecież umarł, czyż nie?

- O tak - odparł android. - I to bardzo.

Adams przycisnął kciukiem włącznik zapalniczki i czekał, aż płomień się uspokoi. Wpatrywał się w Suttona, a w jego wzroku nie było cienia łagodności. Odczuwał ją jednak. Razem z irytacją oraz pewną, dobrze ukrytą, ale mimo wszystko istniejącą, niemal niewyczuwalną niepewnością.

Ten wzrok, pomyślał Asher, jest jego starym chwytem. Ma twarz nieruchomą jak u sfinksa i jeżeli się go nie zna - i tych jego chwytów - można by przypuszczać, że jest samym Bogiem Wszechmogącym. Ale to spojrzenie nie wychodzi mu tak dobrze jak dawniej. Wyczuwa się w nim napięcie, którego nie było przed dwudziestu laty. Wtedy była w nim twardość granitu. A teraz granit zaczyna się kruszyć. Coś go dręczy. Coś, co jest nie w porządku.

Adams przesunął płomieniem zapalniczki nad fajkę, tam i z powrotem, powoli, bez pośpiechu, a Sutton czekał.

- Oczywiście, zdajesz sobie sprawę - odezwał się wreszcie cicho Asher - że nie mogę być z tobą szczerzy.

Płomień zapalniczki zgasł i Adams wyprostował się w fotelu.

- Co? - zapytał.

Sutton pogratulował sobie w duchu. Udało mu się go złapać. Zmusił go do błędu. Stracony pionek, pomyślał. Tym właśnie jest - straconym pionkiem.

- Na pewno wiesz już - powiedział na głos - że przyleciałem statkiem, którym nie sposób latać. Wiesz, że nie miałem skafandra, iluminatory były powybijane, a kadłub dziurawy. Że nie miałem prowiantu ani wody, a 61 znajduje się w odległości

jedenastu lat świetlnych, też wiesz.

Adams kiwnął głową.

- Tak, wiem o tym wszystkim.

- To, w jaki sposób wróciłem i co się ze mną stało, nie ma nic wspólnego z moim raportem i nie mam zamiaru przekazać ci na ten temat jakichkolwiek informacji.

- Dlaczego więc w ogóle o tym mówisz? - burknął Adams.

- Żebyśmy się lepiej rozumieli - odparł Asher. - Abyś nie zadawał mi pytań, na które nie otrzymasz odpowiedzi. Dzięki temu oszczędzimy sobie mnóstwo czasu.

Adams rozsiadł się w fotelu, pykając z zadowoleniem fajkę.

- Zostałeś wysłany, aby zdobyć wiadomości, Ash - przypomniał mu. - Jakąkolwiek informację. Wszystko, co przybliżyłoby nam 61 Łabędzia. Reprezentowałeś Ziemię, byłeś opłacony przez Ziemię i z całą pewnością jesteś jej coś winien.

- Jestem również coś winien 61 Łabędzia - odparł Sutton. - Życie. Mój statek się rozbił i zginąłem.

Adams skinął głową.

- Tak właśnie powiedział Clark. Że zginąłeś.

- Kim jest Clark?

- Specjalistą do spraw konstrukcji kosmicznych - wyjaśnił zapytany. - Zajmuje się wyłącznie statkami i planami. Obejrzał twój kosmolot i obliczył wektory sił. Oświadczył, że gdybyś w chwili katastrofy był w statku, nie miałbyś najmniejszej szansy przeżycia.

Popatrzył w sufit i dodał:

- Clark stwierdził, że gdybyś był w środku w momencie zderzenia, zamieniłbyś się w miazgę.

- Wspaniałe - oznajmił sucho Sutton - co człowiek może zrobić z cyframi.

- Andersen uważa, że nie jesteś człowiekiem - próbował dalej sondować Adams.

- Przyznaję, że po obejrzeniu statku mógł dojść do takiego wniosku.

- To chyba logiczne? Bez jedzenia, bez powietrza... Sutton pokręcił głową.

- Andersen się pomylił. Gdybym nie był człowiekiem, nigdy byś mnie już nie zobaczył. Nie wróciłbym. Ale ja tęskniłem za Ziemią, a ty czekałeś na mój raport.

- Dużo ci to zajęło czasu - stwierdził Adams oskarży cielskim tonem.

- Musiałem się upewnić - odparł Asher. - Musiałem wiedzieć, rozumiesz? Żeby móc wrócić i przywieźć ci informację, czy Łabędzianie są niebezpieczni czy też nie.

- I jak?

- Nie są.

Adams czekał na dalsze wyjaśnienia, ale Sutton zamilkł.

Odezwał się więc pierwszy:

- I to wszystko?

- Wszystko - potwierdził Asher.

Adams postukał ustnikiem fajki o zęby.

- Bardzo bym nie chciał wysłać kogoś innego, aby cię sprawdzić - rzekł. - Zwłaszcza że zapewniłem wszystkich, iż przywieziesz pełną informację.

- Nic by z tego nie wyszło - oznajmił Sutton. - Nikt nie może się tam przedostać.

- Tobie się jednak udało.

- Tak, bo byłem pierwszy. A ponieważ byłem pierwszy, byłem też ostatni.

Adams uśmiechnął się lodowato zza biurka.

- Polubiłeś tych ludzi, Ash,
 - To nie są ludzie.
 - No to istoty.
 - Też nie. Trudno mi wyjaśnić, czym są. Będziesz się ze mnie śmiał, jeżeli spróbuję przedstawić swoją hipotezę.
 - Zrób to najlepiej, jak potrafisz - mruknął Adams.
 - Symbiotyczne abstrakcje. To chyba dość wierne określenie, a przynajmniej najwierniejsze, na jakie mogę się zdobyć.
 - Chcesz powiedzieć, że w rzeczy samej nie istnieją? - spytał jego rozmówca.
 - Ależ istnieją. Są tam i masz świadomość ich obecności. Tak jak teraz ja twojej, a ty mojej.
 - I są rozumni?
 - Tak - potwierdził Sutton. - Są rozumni.
 - I nikt nie będzie mógł znowu się tam dostać?
- Asher pokręcił głową.
- Dlaczego po prostu nie skreślisz Łabędzia ze swojej listy? - powiedział. - Udawaj, że nic tam nie ma. Nic nam stamtąd nie zagraża. Łabędzianie nigdy nie sprawią kłopotów Człowiekowi, a Człowiek nigdy do nich nie dotrze.
 - Nie są mechaniczni?
 - Nie - odparł Sutton. - Nie są.
 - Muszę się zastanowić. - Adams zmienił temat. - Ile masz lat, Ash?
 - Sześćdziesiąt jeden.
 - Ba! - parsknął jego przełożony. - Młodziak. Dopiero zaczynasz. Fajka mu zgasła i ze skrzywioną miną podłubał w niej palcem.
 - Co masz zamiar robić? - zapytał.
 - Nie mam żadnych planów.
 - Czy chciałbyś zostać w służbie?

- To zależy - oznajmił Sutton - co ty o tym sądzisz. Oczywiście zakładałem, że mnie nie zechcecie.

- Jesteśmy ci winni pobory za dwadzieścia lat - rzekł niemal łagodnie Adams. - Czeka ją na ciebie. Możesz je podjąć, kiedy będziesz stąd wychodził. Należą ci się również trzy lub cztery lata urlopu. Dlaczego nie miałbyś go teraz wziąć?

Sutton nic nie odpowiedział.

- Przyjdź kiedyś - zaproponował Adams. - Porozmawiamy sobie.

- Nie zmienię zdania - odparł Sutton.

- Nikt nie będzie cię o to prosił.

Asher wstał powoli.

- Przykro mi - stwierdził Adams - że nie zdobyłem twojego zaufania.

- Poleciałem wykonać zadanie - odrzekł sucho Sutton - i wykonałem je. Przekazałem swój raport.

- Owszem - przytaknął jego rozmówca.

- Sądzę, że będziesz ze mną w kontakcie.

Oczy Adamsa błysnęły ponuro.

- Z całą pewnością, Ash. Będę z tobą w kontakcie.

Sutton siedział spokojnie w fotelu. Miał wrażenie, że jego życie cofnęło się o czterdzieści lat. Wszystko bowiem było takie samo jak wówczas... Nawet filiżanki.

Przez otwarte okno gabinetu doktora Ravena dobiegały młode głosy i odgłos stóp na chodniku. Wiatr szeptał w wiązach i był to dobrze mu znany dźwięk. Daleko rozległ się dzwon kaplicy, a po drugiej stronie ulicy zadźwięczał dziewczęcy śmiech.

Doktor Raven podał mu filiżankę.

- Chyba dobrze pamiętałem - powiedział. W oczach migotały mu iskielki. - Trzy kawałki i bez śmietanki.

- Tak - odparł Sutton, zdziwiony, że jego rozmówca zapamiętał taki szczegół.

Zapamiętywanie, pomyślał, jest jednak łatwe. Wydaje mi się, że mogę sobie przypomnieć prawie wszystko. Zupełnie jakby stare wzorce przyzwyczajenia przez te wszystkie lata spędzone wśród obcych tkwiły w moim umyśle czyste i lśniące, i czekały jak ulubione srebrne nakrycia na półce, aby ponownie po nie sięgnąć.

- Zapamiętuję drobiazgi - stwierdził doktor. - Drobiazgi bez znaczenia. Takie na przykład jak ile kawałków cukru albo co ktoś powiedział przed sześćdziesięcioma laty, natomiast umykają mi czasami ważniejsze informacje... Te, które należałoby pamiętać przede wszystkim.

Biały marmurowy kominek piętrzył się aż do sklepionego sufitu i uniwersytecki herb na jego lśniacej powierzchni błyszczał zupełnie tak samo jak wówczas, kiedy Sutton go widział

ostatnim razem.

- Przypuszczam - odezwał się - że zastanawia się pan, dlaczego przyszedłem.

- Ależ nie - odparł doktor Raven. - Wszyscy moi chłopcy wracają, żeby się ze mną zobaczyć. I cieszę się, że cię widzę. Czuję się dumny z tego powodu.

- Sam się sobie dziwię - rzekł Asher. - Wydaje mi się, że wiem, o co chodzi, ale trudno mi to wyrazić.

- No, to się nie przejmuj - rzekł Raven. - Pamiętasz, jak dawniej robiliśmy? Siedzieliśmy, rozmawialiśmy o różnych sprawach i w końcu, zanim się zorientowaliśmy, wszystko się wyjaśniało.

Sutton roześmiał się krótko.

- Tak, pamiętam, doktorze. Niuanse teologii. Istotne różnice religii porównawczej. Proszę mi powiedzieć jedno. Poświęcił pan temu życie, wie pan o religii - ziemskiej i pozaziemskiej - więcej niż ktokolwiek na Ziemi. Czy potrafił pan zachować wiarę? Czy czuł pan kiedykolwiek pokusę, aby stać się prorokiem dla swojej rasy?

Doktora Raven odstawił filiżankę.

- Mogłem przypuszczać, że będziesz chciał wprawić mnie w zakłopotanie. Zawsze to robiłeś. Masz niebywałą umiejętność zadawania pytań, na które trudno znaleźć odpowiedź.

- Postaram się więcej nie stawiać pana w kłopotliwej sytuacji. Zakładam, że odnalazł pan w obcych religiach pewne istotne, można by rzec - nadrzędne, elementy?

- Odkryłeś nową religię?

- Nie - odparł Asher. - Nie religię.

Dzwon kaplicy wciąż dźwięczał, ale śmiech dziewczyny umilkł. W oddali cichł odgłos kroków na trotuarze.

- Czy miał pan kiedyś uczucie - zaczął po chwili - jakby siedział

pan po prawicy Boga i usłyszał coś, o czym pan wie, że nie powinien tego słyszeć?

Doktor Raven pokręcił głową.

- Nie, nie sędzę.

- A gdyby się to panu przydarzyło, co by pan zrobił?

- Przypuszczam, że byłbym tym równie zaniepokojony jak ty - odparł doktor.

- Żyjemy wyłącznie wiarą - kontynuował Sutton. - Przynajmniej od ośmiu tysięcy lat, a zapewne jeszcze dłużej. Z całą pewnością dłużej. Musiała bowiem istnieć wiara, jakiś jej przebłysk, który kazał neandertalczykom malować kości piszczelowe na czerwono i ustawiać czaszki tak, aby patrzyły na wschód.

- Wiara - powiedział łagodnie doktor Raven - jest czymś potężnym.

- Tak, potężnym - przyznał Asher - ale nawet w jej potędze znajduje się element słabości. Nie jesteśmy bowiem dość silni, aby stać o własnych siłach, lecz musimy mieć łaskę, na której moglibyśmy się wesprzeć. Wyrażamy nadzieję i przekonanie, że jest jakaś większa siła, która nas prowadzi i wspiera.

- Czy przypadkiem nie jesteś zgorzkniały, Ash? I czy przyczyna tego nie tkwi w twoim odkryciu?

- Nie jestem zgorzkniały - zaprzeczył Sutton.

Skądś dobiegało cykanie zegara, niespodziewanie głośnie w zapadłej nagle ciszy.

- Doktorze - odezwał się wreszcie Asher. - Co pan wie o przeznaczeniu?

- Dziwne, że mówisz o przeznaczeniu - odparł doktor Raven. - Nigdy nie byłeś człowiekiem, który chyliłby czoło przed przeznaczeniem.

- Myślę o udokumentowanym przeznaczeniu - wyjaśnił Sutton.
- Nie o abstrakcji, ale o rzeczywistości, o prawdziwej wierze w przeznaczenie. Co na ten temat mówi nauka?

- Zawsze byli ludzie, którzy wierzyli w przeznaczenie. Niektórzy mieli zapewne ku temu podstawy. Ale najczęściej nie nazywa się tego przeznaczeniem. Raczej szczęściem, natchnieniem, inspiracją albo czymś w tym rodzaju. Niektórzy historycy pisali o przejawach przeznaczenia, lecz były to jedynie słowa. Wyłącznie sprawa semantyki. Oczywiście, nie brakowało fanatyków i innych, którzy wierzyli w przeznaczenie, a praktykowali fatalizm.

- Ale nie ma materialnego dowodu - powiedział Sutton. - Nie ma niczego, co by potwierdzało istnienie przeznaczenia? Jakiejś konkretnie oddziałującej siły albo czegoś żywego, co można dotknąć palcem?

Doktor Raven pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie ma, Ash. W końcu przeznaczenie jest tylko słowem, a nie czymś, czego desygnat moglibyśmy precyzyjnie ustalić. Podobnie swego czasu było z religią. Ona również była zaledwie słowem, podobnie jak dzisiaj przeznaczenie. Ale miliony ludzi w ciągu tysięcy lat przekształciły ją w rzeczywistą siłę, którą można określić, do której można się odwoływać i według której żyć.

- Ale szczęście i natchnienie - upierał się Sutton. - Przecież one naprawdę istnieją.

- Mogą być odbiciami przeznaczenia - stwierdził doktor Raven.
- Przedzierającymi się błyskami. Sugestią istnienia szerokiego strumienia łańcuchów przyczynowych. Oczywiście, nie sposób stwierdzić tego z całą pewnością. Człowiek może nie dostrzegać wielu spraw, dopóki nie dysponuje faktami. Zwrotne punkty

historii opierają się na przypuszczeniach. Wiara we własne możliwości zmieniała bieg wydarzeń niezliczoną liczbę razy.

Wstał, podszedł do regału i zatrzymał się zadzierając głowę.

- Gdzieś tu powinna być książka - oznajmił. - Może uda mi się ją znaleźć.

Zaczął szukać, ale jej nie znalazł.

- Nieważne - oświadczył. - Odszukam ją później, jeżeli w dalszym ciągu będziesz się tym interesował. W tej książce opisano bardzo dziwne wierzenia starego afrykańskiego plemienia. Otóż ludzie ci byli przekonani, że duch, świadomość, ego czy jak to sobie nazwiemy, każdego człowieka ma swój odpowiednik na jakiejś odległej gwiazdzie. Jeśli dobrze pamiętam, nawet wiedzieli, która to gwiazda i mogli ją wskazać na wieczornym niebie.

Odwrócił się od regału i spojrzał na Suttona.

- Może na tym polega przeznaczenie, co? - powiedział. - Bardzo dobrze by pasowało.

Przeszedł przez pokój i stanął przed zimnym kominkiem. Ręce trzymał za plecami, pokrytą srebrnymi włosami głowę przechylił na bok.

- Dlaczego tak się interesujesz przeznaczeniem? - zapytał.

- Bo je znalazłem - odparł Asher.

.. 15 ..

Twarz na ekranie widofonu była zamaskowana i Adams oznajmił z lodowatą wściekłością w głosie:

- Nie prowadzę rozmów z zamaskowanymi osobami.

- Tym razem odstąpi pan od tej zasady - odezwał się głos zza maski. - Jestem człowiekiem, z którym rozmawiał pan na patio. Pamięta pan?

- Dzwoni pan z przyszłości, jak sędzę - odparł Adams.

- Nie, wciąż jestem w pańskim czasie. Obserwowałem pana.

- I Suttona?

Zamaskowana głowa kiwnęła.

- Spotkał się pan z nim. Co pan o nim sądzi?

- Coś ukrywa - powiedział Adams. - I nie jest całkowicie człowiekiem.

- Czy kazał go pan zabić?

- Nie - przyznał się Adams. - I chyba tego nie zrobię. Wie coś, co powinniśmy znać. A jeżeli go zabijemy, nigdy się tego nie dowiemy.

- Według nas - odparł człowiek w masce - lepiej, żeby te wiadomości zginęły razem z nim.

- Może zdołamy się porozumieć - zaproponował jego interlokutor - jeżeli powie mi pan, o co chodzi.

- Niestety, nie mogę tego zrobić, Adams. Bardzo mi przykro. Nie wolno mi informować o przyszłości.

- No cóż, dopóki pan tego nie zrobi - oznajmił Adams - ja nie pozwolę zmienić przeszłości.

Ten człowiek jest przerażony, pomyślał. Przerażony i niemal

zrozpaczony. Mógłby zabić Suttona, kiedy tylko by zechciał, ale boi się tego. Bo Ashera musi zabić człowieka z jego własnego czasu... Czas może nie tolerować przenoszenia przemocy z jednego swojego wycinka do innego.

- A przy okazji... - odezwał się znów osobnik z przyszłości.

- Słucham.

- Chciałem zapytać, jak przedstawiają się sprawy na Aldebaranie XII?

Adams wyprostował się w fotelu, czując wzbierający w nim gniew.

- Gdyby nie było Suttona - kontynuował zamaskowany mężczyzna - nie byłoby wypadku na Aldebaranie XII.

- Ale przecież Sutton jeszcze wówczas nie wrócił - warknął Adams. - Jeszcze go tu nie było...

Urwał, coś sobie przypomniawszy. Nazwisko na karcie książki: Asher Sutton.

- Proszę pana - zaczął po chwili. - Jeżeli ma mi pan coś do powiedzenia, proszę to zrobić, na litość boską.

- Czy mam rozumieć, że jeszcze się pan nie domyślił?

Adams pokręcił głową.

- Wojna - oświadczył głośno.

- Przecież nie ma wojny.

- Nie w pańskim, ale w innym czasie.

- Ale w jakim?

- Pamięta pan Michaelsona?

- Człowieka, który podróżował w czasie przez sekundę?

Zamaskowany mężczyzna skinął głową. Ekran szerniał. Adams siedział nieruchomo, czując, jak ogarnia go przerażenie. Zabrzęcz! widofon, więc włączył go odruchowo.

Na ekranie pojawił się Nelson.

- Sutton właśnie opuścił uniwersytet - oznajmił. - Spędził godzinę z doktorem Horace'em Ravenem. Jak pan zapewne pamięta, doktor Raven jest wykładowcą religii porównawczej.

- Aha - odparł Adams. - Aha, więc to tak.

Postukał palcami w blat biurka, na poły poirytowany, na poły przestraszony. To wstyd, pomyślał, zabijać człowieka takiego jak Sutton. Może jednak tak będzie lepiej? Tak, powiedział w myśli, może tak będzie lepiej.

Clark stwierdził, że umarł, a przecież Clark jest inżynierem. Sporządził wykres i była w nim śmierć. Matematycznie ustalił, że układy działających sił przemieniłyby ludzkie ciało w galarete. Andersen zaś zdecydował, że nie jest człowiekiem. Skąd Andersen może to wiedzieć?

Srebrny pasek drogi połyskującej w blasku księżyca zakręcał, a wokół pełno było dźwięków i zapachów nocy. Ostre, czyste zapachy rosnących pędów, tajemniczy zapach wody. Przez bagna znajdujące się z prawej strony przepływał strumyk i Sutton - wjeżdżając w zakręt - dostrzegł zza kierownicy ledwo widoczne rozbłyśki wijącej się meandrami, zalanej światłem księżyca wody. Ciekawskie żaby wydawały niesamowite dźwięki, które rozlegały się wśród wzgórz, a świetliki wymachiwały lampkami, sygnalizując coś w ciemnościach.

Skąd Andersen może to wiedzieć? W jaki sposób, zastanawiał się Sutton, mógłby ten fakt stwierdzić, nie badając mnie? Chyba że to on próbował sondować mój umysł, kiedy zostałem ogłuszony.

Adams odsłonił karty, a odkrywał je tylko wówczas, gdy zależało mu na tym, aby się je dostrzegło, albo gdy dysponował asem zgrabnie ukrytym w rękawie.

Chciał, żebym się o tym dowiedział, doszedł do wniosku Sutton, ale nie mógł sam mnie poinformować. Nie mógł mi też powiedzieć, że ma nagranie, film i że to on zamontował wszystko w moim pokoju.

Taką małą, starannie przemyślaną niedyskrecję jak opinia

Andersena łatwo było zorganizować. Liczył, że zwróci moją uwagę i wystarczająco mnie zaniepokoi.

Reflektory wydobyły na chwilę z mroku czarnoszary maszyn domu przytulonego do zbocza, a potem kolejny zakręt. Nocny ptak, czarny i widmowy, przeleciał nad drogą i jego cień zatańczył w stożku światła.

Adams był jednym z tych, snuł swoje refleksje Asher, którzy na mnie czekali. Skąd wiedział, że przybywam? Był na to wyraźnie przygotowany. Miał mnie na widelcu, zanim jeszcze dotknąłem ziemi, i wziął w obroty, nim się zorientowałem, o co chodzi. I niewątpliwie znalazł więcej, niż mógł się spodziewać.

Roześmiał się sucho. Jego śmiech przekształcił się nagle w wycie, które przemknęło wzdłuż zbocza wzgórze w strumieniu ognia... Strumieniu ognia, który zniknął w bagnach, przygasł na chwilę, a potem rozpełzł się niebieskimi i czerwonymi płomykami.

Hamulce syknęły i opony pisnęły po nawierzchni, gdy Sutton zawrócił wóz i zahamował gwałtownie. Zanim jeszcze samochód stanął, wyskoczył z niego i pobiegł w dół zbocza, w stronę dziwnego czarnego statku, który migotał płomieniami na bagnach.

Woda chlupała mu wokół kostek i ostre jak noże żdźbła traw cięły go po nogach. Kałuże połyskiwały oleistą czernią w świetle płonącego pojazdu. Żaby wciąż przyglądały się z zaciekawieniem z odległego krańca mokradeł.

Coś z głuchym odgłosem upadło i teraz gramoliło się niezgrabnie w błotnistej, rozświetlonej ogniem wodzie w odległości zaledwie kilku stóp od płonącego statku. Sutton rzucił się przed siebie i zobaczył, że jest to człowiek.

Kiedy mężczyzna uniósł się na oblepionych błotem ramionach

i spróbował przeczołgać się do przodu, Asher dostrzegł lśniące białka przerażonych, pełnych błagania oczu, w których odbijały się refleksy płomieni. Potem ujrzał błysk zębów, gdy ból wykrzywił twarz w koszmarną maskę cierpienia. Wreszcie do nozdrzy Suttona dotarł odór spalonego na węgiel ciała i wiedział już, co się stało.

Pochylił się, wsunął dłonie pod pachy przybysza, uniósł go i zaczął na wpół nieść, na wpół wlec przez mokradło. Błoto mlaskało pod jego stopami, słyszał obrzydliwe, przeciągłe chlupiące odgłosy wydawane przez ciągnięte ciało.

Wreszcie poczuł pod stopami suchy grunt i zaczął wspinać się po zboczu do góry, w stronę swojego samochodu. Z ust niesionego mężczyzny wydobyły się niewyraźne, bełkotliwe dźwięki, które - gdyby Sutton miał czas się w nie wsłuchiwać - mogłyby przypominać słowa.

Zerknął szybko przez ramię i dostrzegł płomienie strzelające w górę słupem błękitnego ognia, rozjaśniającym nocne niebo. Spłoszone błotne ptaki latały oślepienie i przerażone, wypełniając noc zalęknionymi piskami.

- Silniki atomowe - powiedział na głos Sutton. - Silniki atomowe...

Nie wytrzymają długo takiego płomienia. Automatyka stopi się i wtedy całe bagno stanie się kraterem, a wzgórza zamienią się w popiół od horyzontu po horyzont.

- Nie - doleciało od strony podskakującej w rytm kroków głowy ciągniętego mężczyzny. - Nie ma... silników atomowych.

Stopa Ashera zaplątała się między korzeniami i upadł na kolana. Ciało przybysza wyslizgnęło się z jego rąk. Ranny z wysiłkiem spróbował przewrócić się na wznak. Sutton pomógł mu położyć się na plecach, z twarzą zwróconą ku niebu. Był

młody... Asher dostrzegł to, mimo że twarz człowieka była wykrzywiona bólem i pokryta błotem.

- Nie ma silników atomowych - powtórzył mężczyzna. - Odstrzeliłem je.

W jego głosie zabrzmiała duma z dobrze wykonanego zadania. Ale wypowiedzenie tych słów wiele go kosztowało. Leżał teraz nieruchomo, jak martwy.

Potem znowu powrócił mu oddech i zaświstał w gardle. Sutton dostrzegł krew pulsującą na skroniach pod spaloną, poskręcaną skórą. Usta nieznajomego poruszyły się i zaczęły się z nich wydobywać urywane, niewyraźne słowa.

- Była bitwa... w osiemdziesiątym trzecim... Zobaczyłem, jak nadlatuje... Próbowałem skoku w czasie...- W gardle zbulgotało, tłumiąc dalszy ciąg, ale po chwili przybysz mówił dalej: - Mają nowe działa... podpalają metal...

Odwrócił głowę i najwyraźniej dopiero teraz zauważył, kto się nim opiekował. Zaczął się unosić, ale natychmiast opadł, dysząc z wysiłku.

- Sutton!

Asher pochylił się nad nim.

- Zaniosę cię. Zawiozę do lekarza.

- Asher Sutton. - Te dwa słowa były zaledwie szeptem.

Przez chwilę Asher widział triumfalny, niemal fanatyczny blask, który zapłonął w oczach umierającego mężczyzny, i prawie zrozumiał gest na wpeł uniesionego ramienia, tajemniczy znak, w który ułożyły się palce.

Potem błysk zniknął, ręka opadła, a palce rozsunęły się bezwładnie.

Zanim Sutton pochylił głowę, aby posłuchać serca, wiedział, że nieznajomy nie żyje.

Wstał wolno.

Płomień przygasał, ptaki odleciały. Statek leżał, do połowy pogrążony w błocie. Asher zauważył, że jego kształty są mu całkowicie nie znane.

Umierający wymienił jego nazwisko: Asher Sutton. Oczy rozbłysły mu i zanim umarł, zrobił znak. A w osiemdziesiątym trzecim rozegrała się bitwa...

W osiemdziesiątym trzecim, ale którego wieku?

Mężczyzna próbował wykonać skok w czasie... Czy ktokolwiek słyszał kiedyś o skoku w czasie?

Nigdy nie widziałem tego człowieka, pomyślał Sutton, jakby zaprzeczając jakimś oskarżeniem. Słowo daję, nie poznaję go nawet teraz. Wypowiedział jednak moje nazwisko i zabrzmiało to tak, jakby mnie znał i ucieszył się, że mnie widzi. I ten znak... znak, którego sens był niezupełnie zrozumiały.

Spojrzał na leżącego u jego stóp martwego człowieka. Zobaczył jego pożałowania godny stan - zmiażdżone nogi, płasko rozłożone na ziemi, zeszywniałe ręce, przechyloną bezwładnie głowę, błysk księżycowego światła na zębach w rozchylonych ustach.

Ostrożnie ukląkł i przesunął dłońmi po ciele, szukając czegoś... Jakiejś wypchanej kieszeni, która mogłaby mu dostarczyć informacji o nieznanym.

Przede wszystkim muszę się dowiedzieć, skąd ten człowiek znał moje nazwisko, pomyślał. Przecież to wszystko nie ma sensu.

W kieszeni na piersi znalazł niewielką książeczkę. Wyciągnął ją. Tytuł, tłoczony złotymi literami na czarnej skórce, był czytelny nawet w skąpym świetle księżyca. Rozbłyskujące z okładki słowa odczuł niemal jak fizyczny cios:

Asher Sutton

O TO PRZEZNACZENIE

Zamarł. Potem skulił się jak spłoszone zwierzę, porażony znaczeniem tych złotych liter, tłoczonych na czarnej skórze.

Książka!

Książka, którą chciał napisać, ale jeszcze nie napisał.

Książka, której przez wiele miesięcy nie napisze!

A jednak leżała przed nim, zaczytana, z kartkami o pozawijanych rogach. Poczuł, jak w gardle wzbiera mu mimowolny chichot. Owiał go chłód mgły wzbijającej się z bagien, słyszał samotny krzyk dzikiego ptaka. Obcy statek spadł na mokradła, uszkodzony i płonący. Wygramolił się z niego człowiek, znajdujący się na granicy śmierci. Zanim umarł, rozpoznał go i wymienił jego nazwisko. W kieszeni miał jeszcze nie napisaną książkę...

To były fakty... Gołe, konkretne fakty. Trudne jednak do wytłumaczenia.

Z głębi nocy dobiegły go słabe dźwięki ludzkich głosów. Sutton podniósł się szybko i stał sprężony, czekając, nasłuchując... Głosy rozległy się znowu. Ktoś usłyszał huk katastrofy i przybywał zbadać, co się stało. Zbliżał się drogą, nawołując innych. Asher odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w górę zbocza, kierując się w stronę samochodu. Nie ma sensu dalej tu tkwić, pomyślał. Ci, którzy nadchodzą, mogą mi tylko przysporzyć kłopotów.

Człowiek czekał w kępie bzów po przeciwnej stronie drogi, a drugi kulił się w cieniu muru ogradzającego podwórze. Sutton szedł powoli, bez pośpiechu, próbując zyskać na czasie.

- Johnny - powiedział bezgłośnie.

- Słucham, Ash.

- Czy to wszyscy? Tylko ci dwaj?

- Chyba jest jeszcze jeden, ale nie mogę go zlokalizować. Wszyscy są uzbrojeni.

Asher zarejestrował przepływającą przez jego mózg falę otuchy, a także wrażenie pewności siebie, pomocy i koleżeństwa.

- Informuj mnie, Johnny.

Zagwizdał kilka nutek dawno zapomnianej, ale mimo upływu dwudziestu lat wciąż świeżej w pamięci melodii. Garaż z samochodami do wynajęcia znajdował się dwie przecznice za jego plecami, "Herb Oriona" zaś - dwie przecznice przed nim. Między miejscem, w którym obecnie się znajdował, a "Herbem" czekało dwóch mężczyzn z bronią. Dwóch, może więcej.

Pomiędzy garażem i hotelem nie ma niczego... tylko starannie opracowane piękno, fragment mieszkalnej, administracyjnej Ziemi. Ziemi, która poświęciła się pięknu i rządzeniu... Każdy jej cal zaplanowali architekci krajobrazu. rozmieszczając kępy krzewów, aleje drzew i starannie utrzymane kwietniki.

Idealne miejsce, pomyślał Sutton, na zasadzkę.

Adams? - zastanawiał się. Chociaż nie, raczej nie on. Miał coś, co Adams chciał poznać, a zabicie kogoś, kto dysponuje informacjami, byłoby przecież dziecinadą.

Może więc ci, o których mówiła mu Eva... Ci, którzy przygotowali Bentona, aby go zabił? Lepiej pasowali do tej sytuacji, Adams bowiem musiał zachować go przy życiu, om zaś, bez względu na to, kim są, z przyjemnością by go zgładzili.

Wsunął rękę do kieszeni marynarki, jakby w poszukiwaniu papierosów, i jego palce dotknęły pistoletu, którego użył w czasie pojedynku z Bentonem. Na chwilę zacisnął palce na kolbie, ale potem puścił ją i wyjął papierosy oraz zapalki.

Jeszcze nie czas, postanowił. Użyje pistoletu później, gdy będzie musiał i będzie miał szansę z niego skorzystać. Zatrzymał się i zapalił papierosa. Zwlekał, usiłował zyskać na czasie.

Wiedział, że pistolet jest kiepską bronią, ale lepszą niż nic. W ciemności zapewne nie trafi w dom, ale narobi hałasu, czego czyhający na niego ludzie raczej się nie spodziewają. Gdyby im było wszystko jedno, już by się ujawnili i go załatwili.

- Ash - odezwał się Johnny - jest jeszcze jeden człowiek. W tym krzaku przed tobą. Czeka, aż go miniesz, a wtedy zaatakują cię z trzech stron.

- Dobrze - mruknął Sutton. - Wyjaśnij mi dokładnie.

- Krzew z białymi kwiatami. Kryje się na jego skraju. Tuż koło chodnika. Gdy będziesz przechodził, wyjdzie zza niego i znajdzie się za twoimi plecami.

Sutton zaciągnął się papierosem, którego koniec rozjarzył się w ciemności jak czerwone oko.

- Czy powinniśmy go usunąć, Johnny?

- Tak, lepiej to zrobimy.

Asher ruszył spacerkiem dalej i natychmiast dostrzegł krzew. Był w odległości zaledwie czterech kroków.

Jeden krok.

Zastanawiam się, o co tu chodzi.

Dwa.

Przestań się zastanawiać. Teraz działaj, a myśleć będziesz później.

Trzy.

Jest tam. Widzę go.

Sutton zrobił krok z chodnika na trawę. Pistolet wysunął się z jego kieszeni i przy następnym kroku odezwał się -dwukrotnie, raz za razem.

Mężczyzna za krzakiem ugiął kolana, zakołysał się i runął na twarz. Z jego ręki wypadła broń, którą Asher podniósł jednym płynnym ruchem. Stwierdził, że jest to elektroniczny miotacz, paskudna rzecz, która dzięki polu dezintegrującemu powstającemu wokół emitowanego promienia mogła zabić, nawet nie trafiając bezpośrednio w cel. Dwadzieścia lat temu podobny sprzęt był utrzymywaną w tajemnicy nowością, ale najwidoczniej obecnie każdy mógł go zdobyć.

Z pistoletem w ręce, Sutton zawrócił i pobiegł, przeciskając się między zaroślami, przemykając pod zwisającymi nisko gałęziami, tratując grządkę tulipanów. Kątem oka dostrzegł błysk... lśniąca tchnienie wytłumionego płomiennika... a potem tańczącą srebrną linię przecinającą mrok.

Rzucił się przez kolczasty, szarpiący ubranie żywopłot, pokonał w bród strumień i nagle znalazł się w kępie brzoź. Zatrzymał się, aby złapać oddech, i popatrzył za siebie.

Wszędzie panowały cisza i spokój, pejzaż przypominał posrebrzony obraz namalowany księżycem. Nie spostrzegł żadnego ruchu. Płomiennik dawno już przestał migotać.Nagle odezwał się Johnny:

- Ash! Za tobą. Przyjacieli...

Sutton odwrócił się gwałtownie, unosząc pistolet.

W świetle księżyca biegł Herkimer, przypominając ogara podążającego za tropem.

Asher wyszedł spomiędzy drzew i zawołał cicho. Android zatrzymał się, obrócił i popędził w jego stronę.

- Panie Sutton, proszę pana...

- Słucham, Herkimer.

- Musimy uciekać.

- Tak - odparł Sutton. - Również tak uważam. Wpadłem w zasadzkę. Czekają na mnie trzech.

- Sytuacja jest jeszcze gorsza - wyjaśnił Herkimer. - To nie tylko Rewizjoniści i Morgan, ale również Adams.

- Adams?

- Wydał polecenie, aby zabito pana natychmiast, gdy pana znajdą.

Asher się wyprostował.

- Skąd to wiesz? - zapytał ostro.

- Dziewczyna - odparł android. - Eva. Ta, o którą pan pytał. Ona mi powiedziała.

Podszedł bliżej i stanął przed Suttonem twarzą w twarz.

- Musi mi pan zaufać. Dzisiaj rano wyraził pan przypuszczenie, że pana wydam, ale nigdy bym tego nie zrobił. Byłem po pana stronie od samego początku.

- A dziewczyna? - dociekał Ash.

- Eva również. Zaczęliśmy pana szukać, gdy tylko się o wszystkim dowiedzieliśmy, ale nie zdołaliśmy już pana złapać. Eva czeka na statek.

- Statek - odezwał się Sutton. - Statek i wszystko inne.

- To pański statek - wyjaśnił Herkimer. - Ten, który przypadł panu po Bentonie. Razem ze mną.

- I chcesz, żebym z tobą poszedł, wszedł na statek i...

- Bardzo mi przykro, proszę pana - rzekł android.

Jego ruch był tak szybki, że Sutton nie zdążył nic zrobić. Dostrzegł zbliżającą się pięść i spróbował unieść broń. Poczuł wzbierającą w umyśle wściekłość, a potem straszliwe uderzenie. Głowa odskoczyła mu do tyłu i przez chwilę, nim jego powieki się zamknęły, dostrzegł kręcące się gwiazdy na wirującym niebie.

Kolana się pod nim ugięły i nagle uświadomił sobie, że się przewraca.

Był nieprzytomny, zanim upadł na ziemię.

.. 18 ..

Eva Armour wołała go cicho:

- Ash. Och, Ash. Obudź się!

Do uszu Suttona dobiegł przygłuszony pomruk silników rakietowych, pulsowanie napędu małego kosmolotu pędzącego przez przestrzeń.

- Johnny - odezwał się umysł Suttona.

- Jesteśmy na statku, Ash.

- Ile osób?

- Android i dziewczyna. Ta, która nazywa się Eva. Są przyjaźni. Mówiłem ci, że są przyjaźni. Dlaczego nie zwracasz uwagi na moje słowa?

- Nie mogę nikomu ufać.

- Nawet mnie?

- Twojej ocenie sytuacji, Johnny. Jesteś nowy na Ziemi.

- Nie, Ash. Znam Ziemię i Ziemian. O wiele lepiej niż ty. Nie jesteś pierwszym Ziemianinem, z którym żyję.

- Nie mogę sobie przypomnieć, Johnny. Jest coś, co powinienem pamiętać. Ale widzę tylko rozmyty obraz. Oczywiście, to się nie odnosi do wielkich spraw. Tych, których się nauczyłem, które zapisałem i zabrałem ze sobą. Nie pozostały mi żadne wiadomości o samym miejscu i o ludziach, którzy tam żyli.

- Nie są ludźmi, Ash.

- Wiem. Lecz nie mogę sobie przypomnieć.

- Bo tego nie przewidziano, Ash. Wszystko jest zbyt obce. Nie możesz nieść brzemienia takich wspomnień... Nie powinieneś być obarczany wspomnieniami obcej rasy, bo gdybyś je za

bardzo wziął sobie do serca, stałbyś się ich częścią. A ty musiałeś pozostać człowiekiem, Ash. Musieliśmy zadbać, byś pozostał człowiekiem.

- Ale kiedyś będę musiał sobie przypomnieć. Kiedyś...

- Wtedy pamięć ci wróci. Dopilnuję tego.

- I jeszcze jedno, Johnny.

- Słucham, Ash.

- Nie masz mi za złe, że mówię do ciebie: Johnny?

- O co chodzi, Ash?

- Nie powinienem cię nazywać "Johnny". To żartobliwe, poufale określenie. Ale przyjacielskie. Najbardziej przyjacielskie imię, jakie znam. Dlatego tak cię nazwałem.

- Nie mam ci za złe - odparł głos. - Ani trochę.

- Czy coś z tego rozumiesz, Johnny? To, co mówił o Morganie? I Rewizjonistach?

- Nie, Ash.

- Ale czy dostrzegasz jakąś prawidłowość?

- Zaczynam.

Potrząsnęła nim Eva Armour.

- Obudź się, Ash! - prosiła. - Czy mnie słyszysz? Obudź się.

Sutton otworzył oczy. Leżał na koi, a dziewczyna potrząsała jego ramieniem.

- W porządku - odezwał się. - Możesz już przestać. Wszystko w porządku.

Spuścił nogi z łóżka i usiadł na jego krawędzi. Uniósł dłoń i namacał guz na szczęce.

- Herkimer musiał cię uderzyć - wyjaśniła Eva. - Nie chciałem, ale nie dawałeś się przekonać, a nie było czasu do stracenia.

- Herkimer?

- Oczywiście. Pamiętasz Herkimera, Ash. Był androidem

Bentona. Teraz pilotuje statek.

Sutton zauważył, że kosmolot jest nieduży, lecz czysty, wygodny i wystarczająco przestronny, by zmieścić się w nim jeszcze jeden pasażer lub nawet dwóch. Herkimer, posługując się swoim precyzyjnym podręcznikowym stylem, określił, że jest mały, ale nadający się do użytku.

- Skoro już mnie porwaliście - odezwał się Asher do dziewczyny - może mogłabyś mi powiedzieć, dokąd się udajemy?

- Oczywiście, że mogłabym - odparła. - Lecimy na łowiecką asteroidę, którą dostałeś po Bentonie. Jest na niej domek myśliwski, zapas jedzenia i nikt nie będzie nas tam szukał.

- Doskonale - stwierdził Sutton, uśmiechając się szeroko. - Z przyjemnością zapoluję.

- Nie będzie pan polował - rozległ się głos za jego plecami. Asher odwrócił się. W łuku prowadzącym do kabiny pilota stał Herkimer.

- Musisz napisać książkę - oznajmiła łagodnie Eva. - Z całą pewnością wiesz o niej. Tę, którą Rewizjoniści...

- Tak - odparł Sutton. - Wiem...

Nagle przypomnienie sprawiło, że przerwał w pół zdania i mimo woli dotknął kieszeni na piersi. Książka była na miejscu, a także coś, co zaszeleściło pod dłonią. Przypomniawszy sobie i list... niewiarygodnie stary list, który John H. Sutton zapomniał otworzyć sześć tysięcy lat temu.

- Jeżeli chodzi o książkę... - zaczął i znowu przerwał. Miał zamiar powiedzieć, że nie muszą się martwić jego pracą nad książką, bo ma już jej egzemplarz, ale coś go powstrzymało. Nie był pewien, czy należało ich o tym poinformować..

- Przyniosłem walizeczkę - rzekł Herkimer. - Rękopis jest w całości. Sprawdziłem.

- I mnóstwo papieru? - zapytał Sutton szyderczo.

- I mnóstwo papieru.

Pochyliła się nad nim Eva - tak blisko, że poczuł zapach jej miedzianorudych włosów.

- Czy rozumiesz - zapytała - że najważniejsze jest, abyś napisał tę książkę? Czy rozumiesz?

Pokręcił głową. Ważne, pomyślał. Ważne dla kogo? I po co? I kiedy?

Przypomniał sobie otwarte usta, zęby połyskujące w świetle księżyca, w jego uszach wciąż brzmiały słowa umierającego.

- Nie rozumiem - odparł. - Czy możesz mi to wyjaśnić?

Pokręciła głową.

- Napiszesz książkę - powiedziała.

Asteroida pogrążona była w wiecznym zmierzchu oddalonego słońca i jej oszronione szczyty strzelały w górę jak ostre srebrzyste igły sięgające gwiazd.

Powietrze było rześkie, zimne i rzadsze niż na Ziemi. Suttonowi wydało się dziwne, że w ogóle jest tutaj atmosfera. Chociaż, biorąc pod uwagę koszty poniesione na przystosowanie do zamieszkania asteroidy - tej czy jakiegokolwiek innej - wszystko było możliwe.

Chyba z miliard dolarów, podsumował, z czego przynajmniej połowę wyniosła cena atomowych urządzeń zasilających, bez których nie byłoby energii do uruchomienia aparatury atmosferycznej i grawitacyjnej dostarczającej powietrze i utrzymującej je na miejscu.

Niegdyś, pomyślał, Człowiek był zadowolony - lub raczej musiał być zadowolony - znajdując samotność w chatce na brzegu jeziora, w domku myśliwskim czy na pokładzie jachtu. Teraz, kiedy miał całą Galaktykę do dyspozycji, urządzał asteroidę za jeden drobny miliard dolarów albo kupował planetę na dogodnych okazyjnych warunkach.

- Domek jest tutaj - powiedział Herkimer i Sutton spojrział we wskazanym kierunku. Wysoko, na przypominającym fragment łamigłówki horyzoncie, dostrzegł przygarbiony czarny budynek z jednym jasnym punktem.

- Co to za światło? - zapytała Eva. - Czy tam ktoś jest?

Android pokręcił głową.

- Prawdopodobnie zapomniano wyłączyć światło, kiedy

wyjeżdżaliśmy stąd ostatnim razem.

Iglaste drzewa i brzozy, przypominające widma w blasku księżyca, stały nierównymi kępami jak żołnierze szturmujący wzgórze.

- Ścieżka jest tutaj - oznajmił Herkimer.

Zaczęli iść pod górę. Prowadził android, w środku szła Eva, a Sutton zamykał pochód. Ścieżka była stroma i nierówna, oświetlenie skąpe, ponieważ rzadka atmosfera nie rozpraszała światła gwiazd. Zdawały się one drobnymi stalowosrebrnymi punkcikami, które nie migotały, nie płonęły, tylko tkwiły na niebie jak kropki na mapie.

Asher spostrzegł, że domek myśliwski stoi na niewielkim płaskowyzu, najwyraźniej również dzieło rąk ludzkich. Nigdzie bowiem w tym poszarpanym krajobrazie nie było równego miejsca o powierzchni większej niż chusteczka do nosa.

Prąd powietrza, tak słaby i nieuchwytny, że trudno go było nazwać wietrzykiem, przemknął po zboczu i zaszumiał w wiązach. Coś przebiegło przez ścieżkę i znikło między skałami. Z daleka dochodziło wycie, od którego cierpła skóra.

- To zwierzę - oznajmił spokojnie Herkimer. Zatrzymał się i wskazał ręką poskręcaną skałę. - Wspaniały teren łowiecki - stwierdził i po chwili dodał: - O ile nie złamie się nogi.

Sutton spojrzął za siebie i po raz pierwszy dostrzegł prawdziwą, nieposkromioną dzikość tego miejsca. Pod jego nogami rozciągał się usiany gwiazdami, zamarły skalny wir.... Wielkie, ziejące czernią otchłanie, nad którymi piętrzyły się ponure szczyty i wieżyce skalne.

Zadrzał.

- Chodźmy dalej - powiedział.

Wspięli się pozostałe sto jardów i dotarli do sztucznego

płaskowyzu. Zatrzymali się na jego skraju, popatrzyli na upiorny krajobraz i Asher poczuł, jak na ten widok chłodna dłoń samotności zaciska na nim swoje lodowate palce. Z otoczenia emanowała absolutna, szalona samotność, jakiej nigdy dotąd nie mógł sobie nawet wyobrazić. Całkowita negacja życia i ruchu, nagi prapoczątek wszystkiego, kiedy nie istniało życie ani choćby tylko myśl o nim. Tutaj wszystko, co myślało albo się poruszało, było czymś obcym, chorobą, rakiem toczącym nicość. Odwrócili się nagle, słysząc za sobą chrzęst kamieni pod stopami. Z rozgwieżdżonej czerni wyszedł człowiek. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał wyraźnie i przyjemnie.

- Dobry wieczór - rzekł. Czekał chwilę, a potem dodał, jakby się usprawiedliwiając: - Usłyszeliśmy lądowanie państwa i wyszedłem na spotkanie.

Głos Ewy był bardzo chłodny, z lekką nutką gniewu:

- Zaskoczył nas pan. Nie spodziewaliśmy się tu nikogo.

Głos mężczyzny stał się oficjalny.

- Mam nadzieję, że nie uważają nas państwo za intruzów. Jesteśmy przyjaciółmi pana Bentona, który upoważnił nas do swobodnego korzystania z tego domu.

- Pan Benton nie żyje - odparła lodowato Eva. - Obecny właścicielem jest ten pan.

Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał na Suttona.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział. - Nie wiedzieliśmy. Odlecimy stąd natychmiast, gdy tylko będzie to możliwe.

- Nie mam nic przeciwko temu - odrzekł Asher - żebyście państwo zostali.

- Pan Sutton - oznajmiła stanowczo Eva - przybył tutaj, aby mieć spokój i ciszę. Chce napisać książkę.

- Książkę! - wykrzyknął mężczyzna. - Jest pan pisarzem?

Sutton miał nieprzyjemne wrażenie, że nieznajomy kpi nie z niego samego, ale z całej trójki.

- Pan Sutton? - powtórzył, udając, że się głęboko zastanawia. - Chyba nie potrafię skojarzyć nazwiska. Ale w końcu nie jestem zbyt namiętnym czytelnikiem.

- Jeszcze niczego nie napisałem - wyjaśnił Asher.

- Ach, tak - obcy roześmiał się z fałszywą ulgą. - To chyba wszystko tłumaczy.

- Jest zimno - wtrącił się nagle Herkimer. - Może lepiej chodźmy do środka.

- Oczywiście - przytaknął mężczyzna. - Owszem, jest zimno, ale tego nie zauważyłem. A przy okazji: nazywam się Pringle, a mój kolega - Case.

Nikt mu nie odpowiedział, więc po paru sekundach odwrócił się i poszedł przed nimi, jak zadowolony pies wskazujący drogę.

Sutton zorientował się, że domek myśliwski jest większy, niż to wyglądało z doliny, w której wylądowali. Rysował się - wielki i czarny - na tle oproszonego gwiazdami nieba, tak że bez trudu można go było wziąć za naturalną formację skalną.

Kiedy ich stopy zadudniły na potężnym stopniu, drzwi otworzyły się i pojawił się w nich drugi mężczyzna. Stał sztywny, wyprostowany, wysoki i szczupły, a w jego podświetlonej od wewnątrz czarnej sylwetce wyczuwało się skupioną, skoncentrowaną siłę.

- Przedstawiam ci nowego właściciela, Case - oznajmił Pringle, i Sutton odniósł wrażenie, że powiedział te słowa nieco zbyt głośno, jakby starając się je zaakcentować. Jakby chciał, aby stały się ostrzeżeniem.

- Benton zmarł, wiesz? - dodał, Case odparł natychmiast: - Och, rzeczywiście? Niezwykłe.

Dość dziwne sformułowanie, pomyślał Asher.

Mężczyzna odsunął się na bok, aby ich wpuścić, a potem zamknął za nimi drzwi.

Pokój był ogromny, oświetlony tylko jedną lampą. Z mrocznych kątów i spod przypominającego jaskinię belkowanego sufitu wypełzały cienie.

- Obawiam się - powiedział Pringle - że muszą państwo sami zadbać o siebie. Case i ja żyjemy tu w bardzo prosty sposób i nie przywieźliśmy ze sobą żadnych robotów. Mogę jednak coś przygotować, jeżeli są państwo głodni. Może jakiś gorący napój i kilka kanapek?

- Jedliśmy tuż przed wylądowaniem - odparła Eva - a Herkimer zajmie się tymi kilkoma rzeczami, które do nas należą.

- Proszę więc usiąść - nalegał Pringle. - Ten fotel jest bardzo wygodny. Porozmawiamy trochę.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Podróż była trochę męcząca.

- Jest pani nieuprzejmą młodą damą - oznajmił Pringle, a w jego głosie pobrzmiwały zarówno kpina, jak i gniew.

- Jestem zmęczoną młodą damą. Pringle podszedł do ściany i wcisnął włączniki. Zapłonęło światło.

- Sypialnie są na górze. Za balkonem. Case i ja zajmujemy pierwszą i drugą od lewej. Państwo mogą wybierać spośród pozostałych.

Ruszył przodem, prowadząc ich schodami w górę, kiedy odezwał się Case. Pringle stanął, z dłonią opartą na dolnej części balustrady.

- Panie Sutton - powiedział Case. - Wydaje mi się, że słyszałem już pańskie nazwisko.

- Nie przypuszczam - odparł Asher. - Jestem nic nie znaczącym człowiekiem.

- Ale zabił pan Bentona.

- Nikt nie mówił, że go zabiłem.

Case nie roześmiał się, to nie było w jego stylu.

- Jednakże musiał go pan zabić. Tak się składa, że wiem, iż był to jedyny sposób, w jaki ktoś mógł wejść w posiadanie asteroidy. Benton ją uwielbiał i nigdy w życiu nie pozbyłby się swej posiadłości.

- No cóż, skoro pan nalega, istotnie - zabiłem Bentona.

Case pokręcił głową.

- Niezwykłe - skomentował. - Zupełnie niezwykle.

- Dobranoc, panie Case - odezwała się Eva, a potem zwóciła się do Pringle'a. - Nie musi się pan trudzić. Znajdziemy drogę.

- Żaden trud - odpowiedział tenże. - Absolutnie żaden kłopot.

Znowu brzmiało to tak, jakby się z nich śmiał.

Lekko wbiegł po schodach.

Pringle i Case byli jacyś nieautentyczni. Krył się w nich bliżej nieokreślony fałsz. Sam fakt, że znajdowali się tutaj, w domku myśliwskim, stwarzał sytuację zagrożenia.

W głosie Pringle'a brzmiała kpina. Przez cały czas się z nich wyśmiewał, naigrawał się z szyderczym rozbawieniem, jakby sprawiał mu radość słabo maskowany żart, którego sensu nie znali.

Pringle był gadułą, bufonem... Case natomiast trzymał się sztywno i zachowywał poprawnie, a kiedy mówił, każde słowo brzmiało ostro i wyraźnie. Było w nim coś takiego... jakiś szczegół... jakieś podobieństwo skądś znane, ale chwilowo dla Suttona nieuchwytnie.

Siedzący na krawędzi łóżka Asher zmarszczył brwi.

Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć, pomyślał. Gdybym mógł określić tę manierę, ten sposób, w jaki Case rozmawia, chodzi, trzyma się prosto. Gdybym mógł go skojarzyć z czymś znajomym, wiele bym wyjaśnił. Może nawet zdołałbym się zorientować, kim jest, czym jest, a nawet dlaczego się tu znalazł.

Case wiedział, że zabiłem Bentona. Wie również, kim jestem. Powinien więc siedzieć cicho, a tymczasem wyraźnie to manifestuje. Być może w ten sposób się dowartościowuje.

Eva im również nie ufa, bo próbowała mi coś przekazać, kiedy się rozstawaliśmy koło jej drzwi. Nie bardzo mogłem zrozumieć ruch jej warg, wydaje mi się jednak, że chciała powiedzieć: "Nie wierz im".

Jakbym mógł komukolwiek zaufać...

Poruszył palcami u nóg i popatrzył na nie zafascynowany. Próbował ruszyć kilkoma naraz i zupełnie mu się to nie udawało. Próbował porównać ich ruch, powtarzając tę czynność z każdym palcem oddzielnie, ale efekt nigdy nie był jednakowy.

Nie potrafię nawet zapanować nad swoim ciałem, pomyślał, i była to dość zabawna refleksja.

Przyszło mu do głowy, że Pringle i Case czekali na nich, po czym zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ulega swojej wyobraźni. W jaki sposób mogliby tu na niego czekać? Przecież nie mogli przewidzieć, że Herkimer i Eva podążą właśnie na asteroidę.

Potrząsnął głową, ale przekonanie, że ci dwaj ludzie oczekiwali ich przybycia, nie ustąpiło... Myśl trzymała się uparcie jak rzep.

W końcu nie było to takie niemożliwe. Adams przecież już wcześniej wiedział o jego powrocie na Ziemię po dwudziestu latach nieobecności. Wiedział i nawet zastawił na niego pułapkę. Skąd zdobył tę informację, skoro w żaden sposób nie powinien był jej uzyskać?

I dlaczego zastawił na niego pułapkę?

Dlaczego Buster uciekł i osiedlił się na jakiejś planecie?

Dlaczego ktoś zmusił Bentona, aby wyzwał go na pojedynek?

Dlaczego Eva i Herkimer przywieźli go na asteroidę?

Żeby napisał książkę, wyjaśnili.

Ale książka była już napisana.

Książka...

Sięgnął do kieszeni marynarki wiszącej na oparciu krzesła. Wydobył z niej egzemplarz książki w okładce ze złotymi literami, a wraz z nią list, który upadł na dywan. Podniósł kopertę i położył ją obok siebie na biurku, następnie otworzył książkę i

spojrzał na stronę tytułową:

OTO PRZEZNACZENIE.

A nad tytułem: Asher Sutton.

Pod spodem zaś, na samym dole strony, widniała jedna linijka drobnego druku.

Sutton podniósł egzemplarz bliżej oczu i przeczytał:

Wersja oryginalna.

I to wszystko. Bez daty wydania. Bez znaku praw autorskich. Bez nazwy wydawnictwa. Tylko nazwisko autora, tytuł i linijka drobnego druku informująca, że jest to “wersja oryginalna”. A może. pomyślał, może ta książka jest tak doskonale znana, stanowi tak ważny element życia każdej istoty, że wszystko, oprócz autora i tytułu, byłoby zbędne? Odwrócił dwie puste strony, potem jeszcze jedną i wreszcie pojawił się tekst:

Nie jesteśmy sami.

Nikt nigdy nie jest sam.

Nigdy, od pierwszego słabego impulsu życia na pierwszej planecie w Galaktyce, żadna istota nie szła, nie pełzała ani nie sunęła po ścieżce życia samotnie.

To jest właśnie to, pomyślał. Tak chciałem napisać.

Tak napisałem.

Bo przecież musiałem napisać te słowa. Kiedyś, gdzieś, bo trzymam tę książkę w dłoniach. Zamknął ją i włożył z powrotem do kieszeni marynarki, którą powiesił na oparciu krzesła. Nie mogę tego czytać, pomyślał. Nie mogę przeczytać i dowiedzieć się, jak to zrobiłem. W przeciwnym bowiem razie napiszę wszystko tak, jak przeczytałem, a to byłoby niewłaściwe. Muszę

napisać wszystko tak, jak myślę, jak miałem zamiar zrobić, bo jest to jedyny sposób. Muszę być uczciwy, ponieważ kiedyś rasa ludzka... a może także rasa innych istot... pozna tę książkę. Każde słowo musi w niej być doskonałe, a przy tym dla każdego zrozumiałe. Odchylił koc i wślizgnął się pod niego. Nagle zauważył list i wziął go do ręki. Pewnym ruchem wsunął paznokieć pod zamknięcie koperty i przesunął nim wzdłuż krawędzi. Klej rozsypał się i miniaturową chmurą pyłu opadł na prześcieradło. Wyjął list i starannie go rozłożył, uważając, aby się nie pokruszył. Stwierdził, że jest napisany na maszynie, a cały tekst upstrzono zaiksowanymi błędami, jakby piszący nie był przyzwyczajony do korzystania z tego sprzętu.

Rozłożył częściowo arkusz papieru, podsunął go pod lampę i oto co przeczytał:

“Bridgeport, Wiś.
lipca 1987 r.

Piszę ten list do siebie, a stempel pocztowy niech będzie niepodważalnym dowodem dnia i roku, w którym to czynię. Nie otworzę go, ale umieszczę między swoimi rzeczami, aby czekał na dzień, w którym ktoś, członek mojej rodziny, jeżeli Bóg pozwoli, będzie mógł go przeczytać. A czytając, pozna coś, w co wierzę i o czym myślę, ale póki żyję nie odważę się o tym powiedzieć, by nie uznano mnie za pomyłonego.

Nie pozostało mi bowiem wiele życia. Darowano mi go więcej niż przeciętnie i choć jestem wciąż zdrowy na ciele oraz umyśle, dobrze wiem, że dłoń czasu, która może ominąć człowieka przy jednych żniwach, zetnie go przy następnych.

Nie obawiam się śmierci ani nie odczuwam sentymentalnego pragnienia nieśmiertelności, jaką może dać poświęcona mi myśl. Myśl będzie ulotna, a ten, kto ją sformułuje, sam nie ma przed sobą zbyt wielu lat, albowiem krótki jest żywot człowieka... O wiele za krótki, aby dokładnie zrozumieć jakikolwiek problem, który stawia przed nami życie.

Chociaż jest bardziej niż prawdopodobne, że list ten przeczytają moi bezpośredni potomkowie, którzy dobrze mnie znają, to jednak nie wykluczam, że na skutek jakiegoś dziwnego zrządzenia losu może on zostać otwarty wiele lat po mojej śmierci, nawet przez całkowicie obcą osobę.

Wydaje mi się, że sprawy, o których chciałbym opowiedzieć,

są wyjątkowo interesujące, zamieszczę więc w tym liście pewne podstawowe informacje o sobie, o miejscu, w którym się znajduję, oraz o mojej sytuacji, podejmując ryzyko, że mogą to być sprawy dobrze znane czytającej to pismo osobie.

Nazywam się John H. Sutton i jestem członkiem licznej rodziny. Jej korzenie znajdują się na Wschodzie, ale jedna gałąź zamieszkała w tej okolicy mniej więcej sto lat temu. Jeżeli czytelnik niniejszego listu nie zna Suttonów, muszę prosić, aby uwierzył mi na słowo, że my, Suttonowie, jesteśmy trzeźwo patrzącymi na życie ludźmi, niezbyt skłonny do żartów i nigdy nikt nie kwestionował naszej uczciwości i prawości.

Chociaż skończyłem prawo, bardzo szybko się przekonałem, że niezbyt mnie ono interesuje. Przez ostatnie czterdzieści lat zajmowałem się więc rolnictwem, znajdując w nim o wiele więcej radości niż w prawie. Rolnictwo jest uczciwe i raduje duszę, dając kontakt z podstawami życia. Z tego prostego, ale tajemniczego procesu uzyskiwania żywności z gleby czerpałem niemal pełną zrozumiłości satysfakcję.

Ostatnio nie mogę już podołać cięższym pracom na farmie, ale jestem dumny z faktu, że wciąż wykonuję większość codziennych czynności i zajmuję się zarządzaniem. Mam zwyczaj obchodzenia gospodarstwa i obserwowania, co się w nim dzieje.

Z upływem lat pokochałem ten kraj, chociaż jest surowy i pod wieloma względami ziemia nie nadaje się tutaj do uprawy. Prawdę mówiąc, czasami przyłapywałem się na współczuciu dla ludzi mających rozległe równe pola, bez wzgórz, na których mogłoby spocząć oko. Ich ziemie są może bardziej urodzajne i łatwiejsze do uprawy niż moje, ale za to ja mam coś, czego im brakuje - spędzam swoje życie w miejscu, w którym doskonale uświadamiam sobie całe piękno natury i zmian pór roku.

W późnych latach mojego życia, kiedy zacząłem poruszać się wolniej i przekonałem się, że każdy dodatkowy wysiłek mnie męczy, przywykłem podczas moich wędrówek po farmie odpoczywać w pewnych wybranych miejscach. Nie przypadkiem każde z nich jest punktem, który raduje oko i duszę. Prawdę mówiąc, bardziej chyba cieszy mnie perspektywa spędzenia czasu w tych miejscach wypoczynku niż sprawdzanie stanu pól i pastwisk, chociaż. Bóg mi świadkiem, wędrówki te dostarczają mi wiele zadowolenia pod wszelkimi względami.

Jest jeden zakątek, który od samego początku uważałem za szczególny. Gdybym był dzieckiem, pewnie nazwałbym go zaczarowanym.

Mieści się on w głębokiej rozpadlinie w urwisku opadającym w dolinę rzeki, w pobliżu północnego krańca pastwiska. Na szczycie szczeliny stoi duży głaz, znakomicie nadający się do siedzenia. Może to jeden z powodów, dla których go lubię, jestem bowiem człowiekiem ceniącym wygodę.

Z tego właśnie głazu, dzięki wysokiemu położeniu mojego punktu obserwacyjnego, a także przejrzystości powietrza, widzę rozległą dolinę rzeki jak wielki trójwymiarowy obraz. Niekiedy zaś całą scenerię spowija błękitna mgiełka o szczególnie zwodniczej i czystej klarowności.

Widok jest doprawdy czarujący, toteż często siedziałem tam przez całą godzinę, nic nie robiąc, o niczym nie myśląc, w zgodzie ze światem i samym sobą.

Jest jednak w tym miejscu coś dziwnego, ale trudno mi to zjawisko wytłumaczyć. Nie mogę bowiem znaleźć odpowiednich słów, które pozwoliłyby dokładnie wyrazić i opisać sytuację, w której się znalazłem.

Otóż odniosłem wrażenie, że całe to miejsce jakby delikatnie

wibrowało... czekając na coś, co powinno się zdarzyć. Zupełnie jak gdyby kryły się w nim ogromne możliwości tworzenia sytuacji dramatycznych albo... objawienia. Tak, choć “objawienie” może się tu wydać dosyć niezwykłym określeniem, to jednak dochodzę do wniosku, że najwierniej oddaje ono uczucie, które wielekroć mi towarzyszyło, kiedy siedziałem na głazie i patrzyłem na dolinę.

Często wydawało mi się, jakby na tym skrawku ziemi miało - czy też powinno - zdarzyć się coś, co nie mogłoby zaistnieć nigdzie indziej na całej planecie. I niekiedy próbowałem sobie wyobrazić owo zdarzenie. Waham się przed opisaniem pewnych wyimaginowanych możliwości, choć w gruncie rzeczy, w innych sprawach, raczej nie odznaczam się nadmiarem wyobraźni.

Aby dojść do głazu, przecinałem dolną część pastwiska, gdzie trawa jest zawsze bardziej zielona niż gdzie indziej, ponieważ bydło niechętnie zapuszcza się w to miejsce. Pastwisko zamyka rząd rzadko rosnących drzew, stanowiących zapowiedź gęstej zielonej masy listowia spływającej ze stoku urwiska. Głaz znajduje się między drzewami i dzięki temu zawsze, bez względu na porę dnia, jest ocieniony. Nic jednak nie zasłania widoku, nieco dalej bowiem grunt gwałtownie opada.

Pewnego dnia przed około dziesięcioma laty, a mówiąc ściśle - czwartego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, w dolnej części pastwiska, tuż przed pierwszymi drzewami, dostrzegłem człowieka i dziwną maszynę.

Powiedziałem “maszynę”, ponieważ przedmiot ten najbardziej ją przypominał, choć - prawdę powiedziawszy - nie bardzo mogłem się zorientować, co to takiego. Przypominała jajo, na obu końcach lekko zaostrome. Jakby ktoś na nie nastąpił i nie rozgniół, ale rozpłaszczył, dzięki czemu oba końce bardziej się

uwidocznily. Na zewnątrz nie miała żadnych ruchomych części i - o ile mogłem zauważyć - również okien.

Mężczyzna otworzył coś w rodzaju drzwi, stanął na zewnątrz i pracował nad czymś, co mogło być silnikiem, chociaż - kiedy przyjrzałem się dokładniej - nie przypominało żadnego ze znanych mi silników. Właściwie nie udało mi się dobrze przyjrzeć ani silnikowi, ani żadnemu innemu fragmentowi dziwnego urządzenia, kiedy bowiem ów człowiek mnie zauważył, bardzo zdecydowanie odprowadził na bok i zajął tak przyjemną i inteligentną rozmową, że nie mogłem, nie popełniając poważnego nietaktu, zmienić jej tematu. Nie miałem więc szansy zwrócenia uwagi na wszystko, co budziło moją ciekawość. Przypominam sobie obecnie, że chciałem dowiedzieć się od niego o wielu rzeczach, ale ani razu nie udało mi się zadać pytania, ponieważ mój rozmówca z niezmierną zręcznością nie dopuścił do tego. Teraz wydaje mi się, że przewidywał wszystko, o co chciałem go zapytać, i rozmyślnie, bardzo sprytnie potrafił odwieść mnie od tego zamiaru.

Tak więc właściwie nie powiedział mi ani kim jest, ani skąd przybył, ani też dlaczego znalazł się na moim pastwisku. Myłne byłoby jednak przypuszczenie, że zachowywał się niegrzecznie. Okazał się bowiem tak czarującą osobą, iż trudno go było mierzyć tą samą miarką co innych ludzi.

Niewątpliwie dobrze znał się na rolnictwie, chociaż wcale nie sprawiał wrażenia farmera. Nie mogę sobie również dokładnie przypomnieć jego wyglądu, ale chyba zauważyłem, że ubrany był w sposób, z jakim dotąd się nie spotkałem. Nie barwnie czy egzotycznie albo jak cudzoziemiec - chodzi o to, że jego odzież wyróżniała się pewnymi subtelnymi szczegółami nie dającymi się jednak sprecyzować.

Pogratulował mi dobrego stanu pastwiska i zapytał, ile sztuk bydła na nim trzymam, jaki mam udój, interesował się też metodami uzyskiwania dobrego mięsa. Odpowiadałem mu najlepiej, jak potrafiłem, ponieważ bardzo mnie ciekawił temat tej rozmowy. On zaś podtrzymywał naszą pogawędkę odpowiednimi komentarzami i pytaniami, w których często zawarte było delikatne pochlebstwo. Wtedy tego nie dostrzegałem, ale teraz wyraźnie to sobie uświadamiam.

Trzymał w dłoni coś w rodzaju narzędzia i w pewnej chwili wskazał nim znajdujące się za ogrodzeniem pole kukurydzy, pytając, czy uważam, że do czwartego lipca wyrośnie ona do kolan. Odpowiedziałem mu, iż dzisiaj właśnie jest czwarty, a kukurydza sięga już powyżej kolan, co bardzo mnie cieszy, bo po raz pierwszy próbuję nową odmianę ziarna. Nieco się tym zmieszał, a później się roześmiał i powiedział: “A więc to dzisiaj jest czwarty”, potem zaś dodał, że ostatnio był zajęty i stracił rachubę czasu. Nie zdążyłem się nawet zdziwić, bo już zmienił temat.

Zainteresował się, od jak dawna tu mieszkam, a kiedy mu odpowiedziałem, spytał, czy moja rodzina od dawna przebywa w tej okolicy, ponieważ już kiedyś słyszał to nazwisko. Następnie zaczął mówić o naszych rodzinnych sprawach, nawet przypomniał pewne anegdotki, których zazwyczaj nie opowiadamy poza własnym kręgiem, jako że nie są to historyjki, które chciałoby się rozpowszechniać. Chociaż zasadniczo jesteśmy konserwatywni i godni szacunku, ponieważ pod wieloma względami górujemy nad innymi, to jednak jak wszyscy mamy swoje rodzinne sekrety.

Rozmawialiśmy aż do godzin poobiednich, a kiedy to zauważyłem, zaprosiłem go do domu na posiłek. Podziękował

jednak, informując, że kończy naprawę i rusza dalej. I dodał, że prawie już skończył pracę w chwili, gdy się zjawiałem. Wyraziłem zatem obawę, że zabrałem mu zbyt wiele czasu, ale zaprotestował i oznajmił, iż z przyjemnością spędził ze mną czas.

Opuszczając go, zdołałem jednak zadać jedno pytanie. Intrygowało mnie narzędzie, które trzymał w dłoni w czasie naszej rozmowy, zapytałem więc, do czego służy. Pokazał mi je i wyjaśnił, że to klucz francuski. Trochę przypominało klucz, ale nie bardzo.

Po obiedzie i drzemce wróciłem na pastwisko, postanowiwszy wydobyć od przybysza jakieś wiadomości. Maszyna jednak zniknęła razem z obcym i tylko odcisk na trawie wskazywał, gdzie stała. Ale na ziemi leżał klucz. Kiedy się pochyliłem, aby go podnieść, zobaczyłem, że jeden koniec jest czymś ubrudzony. Po bliższym badaniu okazało się, iż jest to krew. Później miałem wyrzuty sumienia, że nie kazałem zrobić analizy, by ustalić, czy krew była ludzka, czy też zwierzęca.

Wielokrotnie zastanawiałem się, co się właściwie stało. Kim był ten człowiek, dlaczego zostawił ten przedmiot i dlaczego cięższy koniec narzędzia był zaplamiony krwią?

Głaz wciąż jest jednym z moich ulubionych miejsc wypoczynku. Nadal znajduje się w cieniu, widok z niego jest taki sam, a powietrze nad doliną jak dawniej nadaje pejzażowi ów niezwykle trójwymiarowy charakter. I wciąż w tym miejscu odczuwa się jakby wibrujące oczekiwanie. Być może jest to zapowiedź innych, nie mniej zaskakujących wydarzeń, a moja przygoda była zaledwie jedną z wielu spośród wcześniejszych i niezliczonych mających jeszcze nastąpić. Straciłem jednak nadzieję, że przeżyję jeszcze jedno z takich zdarzeń, albowiem żywot człowieka jest zaledwie sekundą w porównaniu z losami

planet.

Klucz, który wtedy podniosłem, jest wciąż w posiadaniu rodziny i okazał się wyjątkowo przydatny. Prawdę mówiąc, pozbyliśmy się większości naszych narzędzi i korzystamy niemal wyłącznie z niego, ponieważ dostosowuje się on prawie do każdej śruby czy nakrętki, a także jest doskonałym imadłem do wszelkiego rodzaju prętów czy rur. Nie trzeba go wcale regulować, zresztą nie ma czym. Wystarczy dotknąć nim do kawałka metalu, który chce się uchwycić, a narzędzie samo dopasowuje się do jego kształtu. Nie trzeba też wielkiej siły, aby się nim posługiwać, ponieważ wydaje się on przekształcać delikatny nawet nacisk w siłę niezbędną do odkręcenia nakrętki czy powstrzymania prętu przed obrotem. Staramy się jednak używać go tylko wtedy, gdy nie obserwuje nas nikt obcy, jako że jego działanie zauda przypomina magię lub czary, aby chwalić się nim przed postronnymi. Z całą pewnością stałoby się to przedmiotem niepożądanych komentarzy sąsiadów. A ponieważ jesteśmy uczciwą i szanowaną rodziną, nie możemy do tego dopuścić.

Nigdy nie rozmawiamy o człowieku i maszynie. Przezornie bowiem uznaliśmy, że jest to temat niezbyt pasujący do naszego stylu życia trzeźwych, pozbawionych wyobraźni farmerów.

Ja sam jednak bardzo często o nim myślę. Nie wiem dlaczego, ale spędzam też teraz więcej niż dawniej czasu przy głazie, może w słabej nadziei, że w jakiś sposób odnajdę dowód, który albo potwierdzi, albo całkowicie zaneguje teorię, którą stworzyłem na jego temat.

Wierzę bowiem, choć nie mam na to żadnego dowodu, że człowiek ten przybył z przyszłości, a maszyna była machiną czasu, klucz zaś narzędziem odkrytym lub wynalezionym za

więcej lat, niż odważyłbym się o tym pomyśleć.

Wierzę, że kiedyś w przyszłości człowiek odkryje metody poruszania się w czasie. Będzie to na pewno obwarowane ścisłym kodeksem etycznym oraz regułami postępowania mającymi zapobiec paradoksom wynikającym z nieograniczonych podróży w czasie. Uważam, że pozostawienie klucza w moim czasie jest jednym z takich paradoksów, który - aczkolwiek prosty - w innych okolicznościach mógłby doprowadzić do wielu komplikacji. Z tego powodu wymogłem na rodzinie rygorystyczne przestrzeganie dotychczasowego sposobu życia, aby nasze odkrycie pozostało w tajemnicy.

Doszedłem też do wniosku, niestety również nie popartego żadnymi dowodami, że szczelina na urwisku, w której znajduje się gład, może być drogą przez czas albo przynajmniej jej fragmentem, pojedynczym punktem, gdzie obecny czas styka się z innym, oddalonym od naszych dni. Może to być miejsce w czasoprzestrzennym kontinuum, gdzie wędrówki w czasie napotykają mniejszy opór, i dlatego jest często wykorzystywane. A może to po prostu droga w czasie z głębszymi koleinami, częściej eksploatowana niż inne, wskutek czego materia rozgraniczająca jeden czas od drugiego przetarła się lub nieco odkształciła czy coś w tym rodzaju. To by tłumaczyło ową dziwną wibrację wyczuwalną w tym miejscu, ten nastrój ciągłego oczekiwania.

Czytelnik musi oczywiście pamiętać, że jestem bardzo starym człowiekiem. Przeżyłem więcej, niż wynosi przeciętny wiek, i egzystuję jedynie na skutek jakiegoś kaprysu ludzkiego przeznaczenia. Choć sam nie mam takiego wrażenia, bardzo możliwe, że mój umysł me jest już tak sprawny, tak przenikliwy ani tak analityczny jak niegdyś i dlatego jestem bardziej skłonny

do wymyślania wyjaśnień, które inni całkowicie by odrzucili.

Jedynym dowodem na poparcie moich teorii - jeżeli można to nazwać dowodem - jest fakt, że człowiek, którego spotkałem, mógł być równie dobrze z przyszłości, jak i z jakiejś o wiele bardziej rozwiniętej cywilizacji. Dla każdego, kto kiedykolwiek przeczyta ten list, musi być oczywiste, że w czasie naszej rozmowy przybysz wykorzystał mnie do swoich celów iabrał równie łatwo jak człowiek z moich czasów oszukałby Greka z czasów Homera lub jakiegoś członka plemion Attyli. Był, jestem pewien, bardzo wykształcony w semantyce i psychologii. Kiedy cofam się pamięcią, widzę, że zawsze wyprzedzał mnie przynajmniej o jedną długość.

Zapisuję swoje przemyślenia, bo nie chciałbym, aby moje teorie bezpowrotnie przepadły. Może w przyszłym czasie bardziej rozwinięta wiedza uczyni z nich jakiś użytek. I mam nadzieję, że czytający te słowa nie będzie się śmiał, chociaż ja już nie będę żył. Bo gdyby tak się stało, obawiam się, że nawet po śmierci usłyszałbym jego śmiech.

Jest to nasza, Suttonów, słabostka - nie znosimy stawać się obiektem szyderstwa.

A gdyby ktoś doszedł do wniosku, że pomieszało mi się w głowie, załączam wystawione zaledwie trzy dni temu świadectwo lekarskie, stwierdzające, że badający mnie lekarz znalazł mnie zdrowym na ciele i umyśle.

Ale to jeszcze nie koniec historii, którą chciałem opowiedzieć. Te dodatkowe wydarzenia powinienem był opisać nieco wcześniej, ale nie znalazłem miejsca, w którym by logicznie pasowały. Dotyczą one dziwnego przypadku kradzieży ubrań i przybycia Williama Jonesa.

Kradzież zdarzyła się kilka dni przed spotkaniem na

pastwisku. Martha zrobiła pranie wczesnie rano, zanim rozpocznie się letni upał, i rozwiesiła je na sznurku. Gdy wyszła je zebrać, okazało się, że brakuje mojego starego kombinezonu, koszuli Rolanda i kilku par skarpetek, które nie pamiętam już, do kogo należały.

Ten incydent bardzo nas zaniepokoił, ponieważ kradzież nie była częstym zjawiskiem w naszej społeczności. Z uczuciem pewnego zakłopotania przejrzelśmy listę sąsiadów, nie wyrażając jednak podejrzeń na głos, gdyż w głębi serca wiedzieliśmy, że posądzanie bliskich znajomych o jakikolwiek związek z tą sprawą byłoby ogromną niesprawiedliwością.

Przez parę dni dyskutowaliśmy na ten temat. Wreszcie doszliśmy do wniosku, że kradzieży musiał dokonać jakiś włóczęga. Było to jednak mało przekonujące wytłumaczenie, ponieważ mieszkaliśmy z dala od utartych szlaków i włóczędzy pojawiali się tu bardzo rzadko. A ten rok, pamiętam dobrze, był niezwykle pomyślny, przeto wędrowało ich po gościńcach mniej niż zazwyczaj.

Jakieś dwa tygodnie po kradzieży ubrań do naszego domu przybył William Jones i zapytał, czy nie potrzebujemy pomocnika do żniw. Zatrudniliśmy go z przyjemnością, brakowało bowiem rąk do pracy, a zapłata, której zażądał, była poniżej przeciętnej. Przyjęliśmy go na jedno tylko żniwa, ale okazał się tak zręczny, że zatrzymaliśmy go na stałe. Nawet gdy piszę te słowa, Jones znajduje się w stodole i przygotowuje snopowiązałkę do małych żniw.

Z Williamem Jonesem wiąże się pewna dziwna historia. Otóż w tym kraju człowiek szybko zyskuje sobie jakieś przyzwisko albo przynajmniej zdrobnienie imienia. Ale William Jones zawsze był Williamem, nigdy zaś Willem, Billem czy Willyrn. Ani

też Spike'em, Budem czy Kidem. Cechowała go jakaś spokojna godność, która zmuszała wszystkich do okazywania mu szacunku, a dzięki jego pracowitości i cichemu, inteligentnemu zainteresowaniu rolnictwem szybko zdobył w naszej społeczności pozycję o wiele wyższą, niż zazwyczaj przysługuje to najemnemu pracownikowi.

Jest całkowitym abstynentem i nigdy nie pije, za co jestem mu wdzięczny, chociaż raz miałem co do tego pewne wątpliwości. Kiedy bowiem do nas przybył, miał zabandażowaną głowę, bo - jak mi wyjaśnił ze wstydem - oberwał w czasie bójki w knajpie gdzieś po drugiej stronie rzeki w hrabstwie Crawford.

Nie wiem, kiedy zacząłem się zastanowić nad Williamem Jonesem. Z całą pewnością nie na samym początku, ponieważ przyjąłem go takim, za jakiego się podawał, czyli za kogoś poszukującego pracy. Jeżeli nawet było jakieś podobieństwo między nim a człowiekiem, z którym rozmawiałem na łące, wówczas tego nie zauważyłem. Teraz jednak, kiedy tak późno zwróciłem na to uwagę, zastanawiam się, czy mój umysł nie płata mi figli, czy moja wyobraźnia, rozbudzona rozmyślaniami o podróżach w czasie, nie ukierunkowała mnie do tego stopnia, że widzę tajemnicę za każdym drzewem.

Utwierdzałem się w tym przekonaniu przez lata mojej znajomości z Jonesem. Mimo bowiem że stara się on zachowywać zgodnie ze swoją pozycją, stosować takie same zwroty i wyrażenia jak my, niekiedy jego sposób mówienia zdradza wykształcenie i poziom intelektualny raczej nieoczekiwane u człowieka pracującego na farmie za utrzymanie i siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie.

Poza tym cechuje go wrodzona wstydlivość. Można się tego spodziewać po człowieku, świadomie starającym się

zaadaptować w nie swoim społeczeństwie.

I jeszcze sprawa ubrania. Kiedy o tym teraz myślę, nie mam całkowitej pewności co do kombinezonu, bo wszystkie one wyglądają tak samo. Ale koszula, którą nosił Jones, była bardzo podobna do skradzionej ze sznurka, choć powtarzam sobie, że przecież jest możliwe, aby dwaj mężczyźni mieli identyczne koszule. Był też boso, co wydaje się dość dziwne nawet jak na tamte czasy. Mówił coś o pechu, więc dałem mu zaliczkę, żeby kupił sobie buty i skarpetki. Skarpetki jednak nie były mu potrzebne, bo miał dwie pary w kieszeni.

Kilka lat temu kilkakrotnie próbowałem o tym porozmawiać, ale za każdym razem zmieniałem zdanie i obecnie wiem, że nigdy go o to nie spytam. Ponieważ lubię Williama Jonesa, on zaś lubi mnie, za nic w świecie nie chciałbym zniszczyć tej wzajemnej sympatii, zadając mu pytanie, które mogłoby go skłonić do opuszczenia farmy.

Jest jeszcze jedna sprawa, która świadczy, że William Jones w niczym nie przypomina innych pracowników farmy. Za pierwsze zarobione u mnie pieniądze kupił maszynę do pisania. Przez dwa czy trzy lata pobytu u nas spędzał długie wieczory w swoim pokoju, pisząc na niej lub chodząc z kąta w kąt jak człowiek zatopiony w myślach.

Aż nagle, wczesnym rankiem pewnego dnia, zanim wszyscy wstali z łóżek, wziął wielki plik papierów, najwidoczniej rezultat długich godzin pracy, i wszystko spalił. Z okna mojej sypialni widziałem, że stał przy ogniu, dopóki nie uzyskał całkowitej pewności, że spłonął każdy, najdrobniejszy nawet, kawałek papieru. Potem wolno wrócił do domu.

Nigdy nie powiedziałem mu, że byłem tego świadkiem, bo czułem, że nie chciał, aby ktokolwiek o tym wiedział.

Mógłbym zapisać wiele jeszcze stron opisami nieważnych, zwyczajnych spraw, które chodzą mi po głowie, ale nie wniosłyby one nic nowego do tych, o których już wspominałem, co najwyżej mogłyby skłonić czytelnika do powątpiewania w moje zdrowe zmysły.

Tego, kto będzie czytać ten list, chciałbym po raz ostatni zapewnić o jednym: nawet jeżeli moja teoria jest mylna, proszę, aby osoba ta uwierzyła, że fakty, które zrelacjonowałem, są prawdziwe. Pragnąłbym, aby dała wiarę, iż widziałem dziwną maszynę na pastwisku i rozmawiałem z dziwnym człowiekiem; że podniosłem zakrwawiony klucz francuski; że skradziono ubrania ze sznurka i że nawet w tej chwili mężczyzna, który nazywa się William Jones, pompuje wodę, aby się napić, bo dzień jest gorący.

Szczerze oddany
John H. Sutton”

Asher Sutton złożył Ust i szelest starego papieru zakłócił ciszę pokoju jak groźny trzask grzmotu. Potem coś sobie przypomniał, znowu rozłożył arkusze papieru i odnalazł wspomniany dokument. Był pożółkły, stary, napisany odręcznie atramentem na papierze gorszej jakości niż sam list. Wyblakłe linijki trudno było odczytać, data się zatarła, oprócz końcowej cyfry 7.

Zdołał go jednak odcyfrować:

W dniu dzisiejszym zbadalem Johna H. Suttona i ustalilem, ze jest zdrowy na cielem i umysle. Podpis byl zygzakiem nieczytelnym nawet w chwili, kiedy atrament jeszcze nie wysechl, ale na jego koncu widnialy dwie wyraźne litery: M.D. (Skrót Medicine Doctor - doktor medycyny). Sutton popatrzył nie widzącym wzrokiem na przeciwległą ścianę pokoju i wyobraził sobie scenę rozgrywającą się w tym odległym dniu.

“Doktorze, postanowiłem sporządzić testament. Czy mógłby pan...”

Bo przecież John H. Sutton nigdy nie powiedziałaby lekarzowi, po co naprawdę potrzebny jest mu ten kawałek papieru, dlaczego chce ustalić, że nie jest szalony.

Asher potrafił go sobie wyobrazić: poruszający się godnie, wolno, z rozwagą, długo zastanawiający się nad wszystkim,

ceniący wartości i iluzje, które już wtedy były zużyte i zdewaluowane. Najprawdopodobniej stary człowiek tyranizujący rodzinę. Zarozumiały w kontaktach z sąsiadami, którzy śmiali się z niego za plecami. Mężczyzna pozbawiony poczucia humoru, ze zmarszczonym czołem roztrząsający najdrobniejsze szczegóły etykiety i etyki.

Kształcił się na prawnika i miał umysł prawnika. To było wyraźnie widoczne w liście. Umysł prawnika, jeśli chodzi o szczegóły, oraz powolność rolnika i gadulstwo starego człowieka.

Nie było jednak wątpliwości, że był całkowicie szczerzy. Wierzył, że widział dziwną maszynę, rozmawiał z dziwnym człowiekiem i podniósł klucz francuski poplamiony...

Klucz!

Sutton usiadł gwałtownie na łóżku.

Klucz francuski, który znajdował się w kufrze! On sam, Asher Sutton, trzymał go w ręku. Wziął go i rzucił na stos śmieci, obok kości obgryzionej przez psa i notatników z college'u!

Ręce mu drżały, gdy wsuwał list z powrotem do koperty. Początkowo zaintrygował go znaczek, znaczek wart Bóg wie ile tysięcy dolarów... Potem list i zagadka, dlaczego pozostał zaklejony... A teraz dochodził jeszcze klucz. Klucz, który połączył wszystko. Klucz, który oznaczał, że rzeczywiście istniała dziwna maszyna i jeszcze dziwniejszy mężczyzna, wystarczająco dobrze znający semantykę i psychologię, aby zagadać rozmownego, egocentrycznego staruszka, powstrzymując go od zadania pytań, które ten sprawdzający swe posiadłości farmer miał na końcu języka.

“Kim pan jest, skąd pan przybył, co to za maszyna i jak działa, nigdy dotąd takiej nie widziałem...”

Gdyby zostały zadane, trudno byłoby na nie odpowiedzieć. Ale

nie zostały sformułowane. John H. Sutton miał ostatnie słowo... zgodnie z jego zwyczajem. Asher Sutton zachichotał na myśl o ostatnim słowie Johna H. Suttona i o tym, w jaki sposób je przekazał. Gdyby starszy mógł się o tym dowiedzieć, na pewno by się ucieszył, ale oczywiście było to niemożliwe.

Niewątpliwie list zagubiono albo zarzucono, potem znowu przepadł... aż wreszcie, po sześciu tysiącach lat, dostał się do rąk innego Suttona.

I wygląda na to, że ów pierwszy Sutton wykonał dobrą robotę. List ten bowiem niewątpliwie łączył i tłumaczył obecne tajemnice.

Ludzie, którzy podróżowali w czasie. Ludzie, których wehikuły czasu ulegały awarii i musieli przymusowo lądować na pastwisku. I inni ludzie, którzy walczyli w czasie, przebijali się przez jego sploty w płonących statkach i rozbijali się na mokradłach.

Umierający młodzieniec mówił o dawnej bitwie w osiemdziesiątym trzecim. Nie o bitwie pod Waterloo czy za orbitą Marsa, ale o dawnej, w osiemdziesiątym trzecim. Potem wykrzyknął jego nazwisko i uniósł się, chcąc wykonać znak dziwnie wykrzywionymi palcami. A więc jestem znany, pomyślał Sutton, w osiemdziesiątym trzecim i poza nim. Chłopiec bowiem powiedział "dawniej", a to oznacza, że w jego czasie moment, który nastąpi za trzy wieki, będzie już historyczną przeszłością.

Znowu sięgnął po marynarkę, wsunął list razem z książką do kieszeni i wstał z łóżka. Następnie zaczął się ubierać. Uświadomił sobie bowiem, że musi wykonać jedną rzecz. A mianowicie odnaleźć statek, którym Pringle i Case dostali się na asteroidę.

Domek myśliwski był wielki i pusty. Pustka ta tchnęła taką obcością, że Sutton, chociaż powinien już przywyknąć do obcości, zadrżał.

Przez chwilę stał przed drzwiami i nasłuchiwał szeptów tego miejsca - słabego, nielogicznego oddechu domu, potrzaskiwania przemrożonych belek, dotknięcia wiatru do szyb okiennych i hałasów, których nie można było tłumaczyć ani zimnem ani wiatrem - żywych dźwięków czegoś, co nie było żywe.

Skierował się w stronę schodów; dywan wyściełający hol tłumiał odgłos jego kroków. Z jednego z dwóch pokoi, które według Pringle'a zajmował on razem z Case'em, dobiegało chrapanie i przez moment Asher się zastanawiał, który to z nich.

Zszedł ostrożnie w dół, przesuając dłonią po balustradzie, aby nie stracić orientacji, a kiedy wreszcie dotarł do rozległego salonu, zatrzymał się i przez chwilę stał nieruchomo, pozwalając oczom przyzwyczać się do jeszcze głębszej ciemności, przyczajonej tu jak kryjące się zwierzęta.

Po chwili zwierzęta przybrały kształty krzeseł i sof, stolików, szafek i gablot, i wówczas na jednym z foteli dostrzegł siedzącego człowieka.

Mężczyzna, jakby uświadamiając sobie, że Sutton go dostrzegł, poruszył się i odwrócił głowę w jego stronę. I chociaż było zbyt ciemno, aby rozróżnić rysy twarzy, Asher wiedział, że w fotelu siedzi Case.

W takim razie, pomyślał, chrapie Pringle, choć na dobrą sprawę nie ma to większego znaczenia.

- A więc, panie Sutton - powiedział wolno Case - postanowił pan wyjść i znaleźć nasz statek.

- Owszem - przytaknął Sutton.

- Doskonale - oznajmił Case. - Lubię, kiedy człowiek mówi to, co myśli. - Westchnął. - Spotyka się tylu nieuczestnych ludzi. Tak wiele osób próbuje okłamywać innych, tak wiele wypowiada półprawdy, uważając, że to bardzo sprytne.

Wstał z fotela, wysoki, prosty jak świeca.

- Panie Sutton - rzekł. - Bardzo mi się pan podoba.

Asher poczuł nagle absurdalność całej sytuacji, ale wewnętrzny chłód i budzący się gniew ostrzegły go, że sytuacja wcale nie jest śmieszna.

Na schodach za jego plecami rozległy się ciche kroki i w pokoju dał się słyszeć szept Pringle'a:

- A więc postanowił spróbować.

- Jak widzisz - odparł Case.

- Mówiłem ci, że tak postąpi. - W głosie Pringle'a pobrzmiwała niemal triumfalna nuta. - Powiedziałem ci, że się zorientuje.

Sutton przełknął duszącą go, pęczniejącą w gardle kulę. Ale gniew nie zniknął... Nie ustępowała wściekłość, że rozmawiają o nim, jakby go tu wcale nie było.

- Obawiam się - zwrócił się do niego Case - że zakłóciliśmy pański spokój. Zachowaliśmy się niezwykle nietaktownie, a pan jest bardzo wrażliwy. Zapomnijmy jednak o wszystkim i przejdźmy do interesów. A zatem chciał pan odnaleźć nasz statek.

Sutton wzruszył ramionami.

- Teraz wasz ruch - odparł.

- Och, źle mnie pan zrozumiał - zaprotestował Case. - Nie

mamy nic przeciwko temu. Proszę iść i go szukać.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nie zdołam go znaleźć?

- Ależ skądże - odparł jego rozmówca. - Nie próbowaliśmy go ukryć.

- Nawet wskażemy panu drogę - dodał Pringle. - Pójdziemy razem z panem. W ten sposób oszczędzi pan czas.

Sutton poczuł pot zbierający się na linii włosów i zwilżający mu czoło.

Pułapka, pomyślał. Pułapka zastawiona w widocznym miejscu i nawet bez przynęty. A ja wszedłem w nią bez namysłu.

Było jednak za późno. Nie mógł się już wycofać. Postarał się, aby jego głos brzmiał beznamiętnie.

- Dobrze - oznajmił. - Zagram z wami.

Statek był prawdziwy. Dziwny, ale zupełnie prawdziwy. I stanowił jedyną realną rzecz. Wszystko pozostałe, cała sytuacja była niewyraźna, nierzeczywista, niemal baśniowa. Sprawiała wrażenie snu, z którego człowiek się budzi i przez kilka sekund z wysiłkiem próbuje rozróżnić omam i jawę.

- Niewątpliwie intryguje pana tamta mapa - odezwał się Pringle. - Nic dziwnego - to mapa czasu.

Zachichotał i mięsistą łapą podrapał się w tył głowy.

- Prawdę mówiąc, sam tego nie rozumiem. Ale Case owszem. Case jest wojskowym, ja zaś tylko propagandystą, a propagandystą nie musi się znać na tym, o czym mówi, pod warunkiem, że mówi przekonująco. Wojskowy jednak powinien być zorientowany, albowiem może się znaleźć w trudnej sytuacji, w której od tej wiedzy będzie zależało jego życie.

Więc tak sprawa wygląda, pomyślał Sutton. To właśnie go niepokoiło, to był ten szczegół, który wciąż mu umykał, nie pozwalając określić Case'a, a przecież ułatwiłoby mu to zrozumienie, kim jest i dlaczego znalazł się na asteroidzie.

Wojskowy. Mogłem się tego domyślić, skonstatował w duchu. Ale myślałem w czasie teraźniejszym, a nie w przeszłym czy przyszłym. Bo w dzisiejszym świecie nie ma wojskowych. Ale istnieli przed moją epoką i zapewne pojawią się w przyszłości.

- Wojna w czterech wymiarach musi być dość skomplikowana - zwrócił się do Case'a.

Tak naprawdę niezbyt interesował się wojną, obojętne w trzech czy czterech wymiarach, ale doszedł do wniosku, że teraz

on powinien zadbać o właściwy rytm tej rozmowy przy herbatce u Szalonego Królika.

Bo tak to właśnie wygląda, rozmyślał dalej - całkowicie nielogiczna sytuacja, szaleństwo, nieco psychopatyczne interidium, które miało swój cel, ale ukryty i złożony.

- *Nadeszła pora - rzeki Mors - by rozmawiać o wielu sprawach. O sobotach i statkach, wosku do pieczętowania, o królach i kapuście...*

Case odezwał się do niego, uśmiechając się skąpym, twardym, wojskowym uśmiechem:

- Zasadniczo jest to sprawa map, wykresów, bardzo specjalistycznej wiedzy oraz przewidywania. Wyobrażamy sobie, gdzie jest nieprzyjaciel, co może planować, i staramy się znaleźć tam pierwsi.

Sutton wzruszył ramionami.

- Zasadniczo zawsze obowiązywała ta zasada - powiedział. - Dostać się jak najszybciej...

- Och - wtrącił się Pringle - ale istnieje tyle miejsc, w które nieprzyjaciel może się udać.

- Ustalamy to za pomocą wykresów myślowych, grafików zachowań i informacji historycznych - ciągnął Case zupełnie tak, jakby nikt mu nie przerwał. - Idziemy po śladach pewnych wydarzeń, a potem cofamy się w czasie i próbujemy zmienić niektóre z nich... Ale tylko trochę, rozumie pan, bo nie można przekształcać ich zanadto. Tylko w takim stopniu, aby ostateczny efekt był nieco inny, nieco mniej korzystny dla nieprzyjaciela. Jedna zmiana tutaj, druga tam - i zmusza się go do ucieczki.

- Można zwariować - oznajmił Pringle tonem pełnym zaufania.
- Bo trzeba mieć pewność, rozumie pan? Wybiera się jakiś sympatyczny historyczny proces, próbuje ustalić jego

najdrobniejsze szczegóły, wyznacza punkt, w który ma nastąpić zmiana, cofa się w czasie i zmienia...

- I nagle - dodał Case - dostaje się kopa w zęby.

- Bo, rozumie pan - wyjaśniał Pringle - historyk się pomylił. Albo część jego materiałów była nieprawdziwa, albo metodologia niewłaściwa, albo wyciągnął niesłuszne wnioski...

- Gdzieś po drodze - wtrącił Case - pominął jakiś szczegół.

- Właśnie - przytaknął Pringle. - Pominął gdzieś jakiś szczegół i nagle, kiedy już dokonaliśmy wszystkich zmian, okazuje się, że zaszkodził bardziej nam niż wrogowi.

- A teraz, panie Bones - rzekł Sutton - zastanawiam się, czy mógłby mi pan powiedzieć, dlaczego kurczę przebiega przez drogę.

- Tak, oczywiście, panie Rozmówco - odparł Pringle. - Dlatego, że chce przejść na drugą stronę.

Mutt i Jeff, pomyślał Sutton. Scena żywcem wzięta z komiksów Krąży Kat. Chociaż mądrzejsza. Pringle był propagandystą, ale na pewno nie durniem. Znał się na semantyce, psychologii i nawet na starożytnych przedstawieniach minstrelów. Wiedział wszystko, co trzeba było wiedzieć o rasie ludzkiej, a wiedza ta pomogła mu zrozumieć historię ludzkości.

Pewnego ranka sześć tysięcy lat temu mężczyzna wylądował na pastwisku, a John H. Sutton Esq. zszedł spacerkiem ze zbocza wzgórza, wymachując laseczką. Był bowiem typem człowieka, który na pewno chodził z laską - mocnym, solidnym hikorowym kijem, własnoręcznie wyciętym i ostruganym. Przybysz rozmawiał z nim, uciekając się do tej samej taktyki myślowej, którą teraz Pringle usiłował stosować wobec jego odległego potomka.

No dalej, pomyślał Asher Sutton. Gadaj, aż zaschnie ci w gardle

i język zeszywnieje. Bo cały problem we mnie, i dobrze o tym wiesz. Wkrótce przejdziemy do sedna sprawy...

Case, jakby czytając w myślach Suttona, odezwał się do Pringle'a.

- Jake, to nie działa.

- Nie, chyba nie - przyznał jego towarzysz.

- Może usiądźmy - zaproponował Case.

Sutton poczuł ogromną ulgę. Teraz, pomyślał, dowie się, czego od niego chcą, zorientuje się, o co tu właściwie chodzi.

Usiadł w fotelu, skąd widział przednią część kabiny - maleńką przestrzeń, w której wszystko świadczyło o doskonałości. Lekko nachylona tablica kontrolna znajdowała się przed fotelem pilota, ale przyrządów na niej było niewiele. Przyciski, jedna lub dwie dźwignie, panel z przełącznikami, które służyły zapewne do operowania światłami i iluminatorami... i to wszystko. Skuteczne i proste, bez żadnych ozdóbek - minimum ręcznego sterowania. A zatem statek, stwierdził Sutton, musiał sterować się niemal sam.

Case również wsunął się w fotel, wyciągnął i skrzyżował swe długie nogi. Pringle przykucnął na krawędzi krzesła i pochylony do przodu, zacierał owłosione dłonie.

- Sutton - zapytał Case - czego pan właściwie chce?

- Przede wszystkim - zaczął Asher - chodzi mi o tę sprawę z czasem...

- Nie zna jej pan? - zdziwił się Case. - Przecież w pańskiej epoce był pewien człowiek, który zapewne żyje teraz...

- Case - wtrącił się Pringle - mamy rok siedem tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąty. Przed osiem tysięcy trzecim Michaelson niewiele dokonał.

Case stuknął się dłonią w czoło.

- No tak, rzeczywiście - przyznał. - Wciąż o tym zapominam.

- Rozumie pan? - zapytał Pringle Suttona. - Rozumie pan, o co mi chodzi?

Asher skinął głową, choć właściwie nawet się nie domyślał, co Pringle chciał przez to powiedzieć.

- Ale w jaki sposób? - dociekał.

- Sprawa umysłu - rzekł Pringle.

- Z całą pewnością - przytaknął Case. - Gdyby pan przestał myśleć na ten temat, zrozumiałby pan, że na tym polega jej istota.

- Po prostu czas jest tylko pojęciem abstrakcyjnym - wyjaśnił Pringle. - Niegdyś szukano go wszędzie, uważano, że jest czwartym wymiarem, zanim wreszcie odnaleziono go w ludzkim umyśle. Pamięta pan Einsteina...?

- Einstein nie mówił, że czas jest czwartym wymiarem - sprostował Case. - A w każdym razie nie takim wymiarem jak długość, szerokość czy wysokość. Uważał go za okres trwania...

- Czyli właśnie czwarty wymiar - przerwał mu Pringle.

- Ależ nie - upierał się Case.

- Panowie - mitygował ich Sutton. - Panowie...

- No cóż - ciągnął Case - w każdym razie ten wasz Michaelson wpadł na pomysł, że czas jest pojęciem istniejącym tylko jako kategoria ludzkiego myślenia i nie ma żadnych fizycznych właściwości. Po prostu umysł ludzki potrafi zrozumieć czas. Zorientował się, że człowiek z jego wystarczająco silnym poczuciem...

- Są osobnicy - przyłączył się Pringle - dysponujący zhipertrofizowanym poczuciem czasu. Mogą określić, kiedy minie dziesięć minut od zakończenia jakiegoś wydarzenia. Mogą odliczyć dziesięć sekund równie dokładnie jak zegarek.

- A więc Michaelson zbudował mózg operujący kategoriami czasu - stwierdził Case. - Mózg, w którym hipertrofia poczucia czasu została zwielokrotniona miliardy razy, i przekonał się, że może on kontrolować czas na określonym obszarze... Że może nim sterować, poruszać się przez czas wraz z przedmiotami, które znajdują się w polu jego oddziaływania.

- I z tego właśnie dzisiaj skorzystaliśmy - rzekł Pringle. - Mózg operujący czasem. Po prostu ustawia się dźwignię, która informuje mózg, dokąd ... czy raczej kiedy chcemy się udać, a on robi całą resztę.

Uśmiechnął się promiennie do Suttona.

- Proste, prawda?

- Nie mam wątpliwości - przytaknął tenże - że to bardzo proste.

- A teraz, panie Sutton - zapytał Case - czego pan jeszcze chce?

- Nic więcej - odparł Asher. - Absolutnie nic.

- Ale to przecież głupie - zaprotestował Pringle. - Musi być coś, czego pan chce.

- Może pewnej drobnej informacji.

- Jakiej?

- Na przykład takiej, o co tu chodzi.

- Ma pan zamiar napisać książkę - powiedział Case.

- Tak - przyznał Sutton - Myślę o tym.

- I chce pan ją sprzedać.

- Chcę ją wydać.

- Książka - zauważył Case - jest towarem. Jest produktem mózgu i mięśni. Ma wartość rynkową.

- Przypuszczam - stwierdził Asher - że jesteście panowie przedstawicielami tego rynku.

- Jesteśmy wydawcami - oznajmił Case. - I szukamy książki.

- Bestsellera - dodał Pringle.

Case wyprostował nogi i poprawił się w fotelu.

- Sprawa jest zupełnie prosta - orzekł. - Chodzi o zwykłą umowę handlową. Chcemy, aby zabrał się pan do roboty i ustalił swoją cenę.

- Niech pan wyznaczy wysoką - nalegał Pringle. - Zapłacimy.

- Żadna cena nie przychodzi mi do głowy - oświadczył Sutton.

- Zastanawialiśmy się już - wyjaśnił mu Case - ile może zażądać pan, a ile my moglibyśmy zaproponować. Uznaliśmy, że planeta mogłaby pana zainteresować.

- Podnieśliśmy cenę do tuzina planet - rzekł Pringle - ale chyba propozycja nie ma sensu. Po co komu tuzin planet?

- Można je wynajmować - wyjaśnił Sutton.

- Czy to znaczy - zapytał Case - że byłby pan zainteresowany tuzinem planet?

- Nie - odparł Sutton. - Odpowiedziałem tylko panu Pringle owi, co człowiek może zrobić z tuzinem planet... Pringle pochylił się tak gwałtownie, że omal nie upadł.

- Proszę posłuchać - oświadczył. - Nie mówimy tu o jednej z tych zacofanych planet gdzieś w jakimś zapomnianym kącie. Oferujemy panu przygotowany świat, wolny od wszelkich niebezpiecznych i obrzydliwych form życia, z umiarkowanym klimatem i przyjaznymi krajowcami, a także ze wszystkimi przyjętymi udogodnieniami i ulepszeniami.

- A także pieniądze - dodał Case - aby mógł pan korzystać z tych przyjemności do końca życia.

- Dokładnie w centrum Galaktyki - uzupełnił Pringle. - Nie będzie się pan musiał wstydzić swojego adresu.

- Nie interesuje mnie wasza oferta - odrzekł Sutton. Cierpliwość Case'a się wyczerpała.

- Dobry Boże, człowieku, czego pan chce?!

- Informacji. Case westchnął.
- A więc dobrze. Damy panu informację.
- Po co wam jest potrzebna moja książka?
- Pańską książką są zainteresowane trzy grupy - wyjaśnił Case.
- Jedna z nich chce pana zabić, aby zapobiec jej napisaniu. I co ważniejsze, najprawdopodobniej zrobi to, jeżeli nie przyłączy się pan do nas.
- A, trzecia grupa?
- Oni, tak jak my, również chcą, żeby napisał pan swoją książkę, ale nie zapłacą za nią ani grosza. Dołożą wszelkich starań, aby ułatwić panu pracę, będą próbowali chronić pana przed zabójcami, lecz nie zapłacą nic.
- Jeżeli więc dobrze zrozumiałem - wtrącił Sutton - pomożecie mi, panowie, napisać tę książkę. Będziecie organizowali spotkania i tak dalej?
- Oczywiście - zapewnił Case. - Jesteśmy w tym zainteresowani. Chcemy, aby wszystko zostało wykonane jak najlepiej.
- W końcu - powiedział Pringle - zależy nam na pańskim dziele tak samo jak panu.
- Bardzo mi przykro - oświadczył Sutton - ale moja książka nie jest na sprzedaż.
- Podniesiemy nieco wysokość zaliczki - zaproponował Pringle.
- Mimo wszystko - nie.
- Czy to pańskie ostatnie słowo? - zapytał Case. - Czy wszystko pan rozważył?
- Sutton kiwnął głową.
- Case westchnął.
- W takim razie - oznajmił - obawiam się, że będziemy musieli pana zabić.
- Wyjął z kieszeni pistolet.

.. 25 ..

Psychodetektor cykał bez przerwy - szybko, to znów wolno, od czasu do czasu opuszczając takt, niczym jakiś oszalały, cierpiący na czkawkę metronom.

W pokoju rozlegał się tylko ten dźwięk i Adams miał wrażenie, że słucha bicia serca, oddechu, łomotania krwi w tętnicy.

Skrzywił się, widząc stos teczek z dokumentami, które przed chwilą jednym wściekłym gestem zmiótł z biurka na podłogę. Nie było w nich nic... zupełnie nic. Wszyscy byli idealni, każdy sprawdzony. Świadczenia urodzenia, cenzurki szkolne, opinie, sprawdziany lojalności, badania psychologiczne - wyniki takie, jak powinny. Nie istniał w nich ani jeden haczyk.

Na tym polegał cały problem... We wszystkich teczkach personelu nie było ani jednego haczyka. Żadnego punktu zaczepienia, nic, co wzbudzałoby jakiegokolwiek podejrzenia.

Biali i czyści jak lilie.

A mimo to ktoś tutaj zatrudniony skradł akta Suttona. Ostrzegł go także o śmiertelnej pułapce zastawionej przy "Herbie Oriona". Ktoś, kto wiedział o tej pułapce, był w pogotowiu i czekał, aby usunąć Ashera poza zasięg zagrożenia. Szpiedzy, orzekł Adams. Uniósł dłoń, zacisnął pięść i wyrznął w blat biurka z taką siłą, że zaboląły go kostki palców.

Bo tylko ktoś z wewnątrz mógł skraść akta Suttona. Nikt inny, tylko ktoś z wewnątrz mógł wiedzieć o decyzji zlikwidowania go oraz o trzech ludziach wyznaczonych do wykonania zadania.

Uśmiechnął się posepnie.

Detektor zachichotał z niego. *Terr-up, terr-up, klik, klik, terr-up.*

Były to oddech i bicie serca Suttona... toczące się gdzieś jego życie. Dopóki Sutton będzie żył, bez względu na to, gdzie się znajdował i co robił, detektor będzie wciąż cykał i postukiwał.

Terr-up, terr-up, terr-up...

Detektor wskazywał pas asteroid, a więc dosyć ogólną lokalizację, ale można ją było skonkretyzować. Już się tym zajmowały statki z detektorami na pokładach. Prędzej czy później... za kilka godzin, dni czy tygodni znajdą Suttona.

Terr-up...

Wojna, powiedział mężczyzna w masce.

A kilka godzin później statek przemknął jak płonąca kometa wzdłuż zbocza pagórka i spadł w mokradła.

Statek, jakiego człowiek jeszcze nie wykonał, na którego pokładzie znajdowała się stopiona broń, nie wynaleziona jeszcze przez człowieka. Statek, którego grzmot w nocy rozbudził śpiących mieszkańców, a płonący metal widać było z daleka na nocnym niebie.

Statek i ciało, i trop prowadzący od pojazdu do ciała leżącego w odległości trzystu jardów od mokradeł. Ślady ludzkich stóp oraz koleiny wyżłobione w błocie przez ciągnięte nogi. Człowiekiem, który niósł martwego, musiał być Asher Sutton, bo odciski jego palców znaleziono na zabłoconym ubraniu mężczyzny znalezionego na skraju bagien.

Sutton, pomyślał ze zmęczeniem Adams. Zawsze Sutton. Nazwisko Suttona na kartce z Aldebarana XII. Odciski palców Suttona na ubraniu nieboszczyka. Mężczyzna w masce, który poinformował, że nie byłoby wypadku na Aldebaranie, gdyby nie Sutton. Sutton, który zabija Ben-tona, trafiając go w ramię.

Terr-up, klik, klik, terr-up.

Niedawno w fotelu po drugiej stronie biurka siedział doktor

Raven i opowiadał o popołudniu, kiedy to Asher odwiedził go na uniwersytecie.

- Odnalazł przeznaczenie - rzekł doktor Raven. - Oznajmił o tym, jakby to było coś oczywistego, coś, czego nie można kwestionować, co może się zdarzać ciągle.

- Nie religia - oświadczył doktor, a popołudniowe słońce lśniło w jego srebrnych włosach. Och nie, mój drogi, nie religia. Przeznaczenie, czy pan tego nie rozumie?

Przeznaczenie - rzeczownik. Przeznaczenie - z góry określony bieg wydarzeń, uważany często za neodpartą siłę lub działanie...

- Przyjęta definicja - wygłosił doktor Raven takim tonem, jakby znajdował się w sali wykładowej - może zostać nieco zmodyfikowana, kiedy Asher napisze swoją książkę.

Ale w jaki sposób Sutton mógł odnaleźć przeznaczenie? Przecież to idea, abstrakcja.

- Zapomina pan - Raven zwracał się do niego łagodnie jak do dziecka - o tym fragmencie definicji, który mówi o neodpartej sile lub działaniu. To właśnie odnalazł: siłę lub działanie.

- Sutton mówił mi o istotach z 61 Łabędzia - oznajmił Adams. - Nie bardzo wiedział, jak najlepiej je opisać. Powiedział, że najwłaściwszym określeniem, jakie przychodzi mu do głowy, jest symbiotyczna abstrakcja.

Doktor Raven kiwnął głową. Zgodził się, że być może jest to najzręczniejsze określenie, choć trudno sobie wyobrazić symbiotyczną abstrakcję.

Jak mogłaby wyglądać... Albo czym mogłaby być?

Na pytanie Adamsa robot informacyjny udzielił bardzo technicznej odpowiedzi:

- No cóż, proszę pana - wyjaśnił. - Symbioza jest czymś bardzo prostym. Są to wzajemnie korzystne wewnętrzne stosunki

między dwoma organizmami odmiennego rodzaju. Wzajemnie korzystne, proszę zauważyć. To niesłychanie ważny fakt - wzajemna korzyść. Nie tylko dla jednej istoty, ale dla obu.

Współbiesiadnictwo natomiast jest czymś zupełnie innym. Przy współbiesiadnictwie w dalszym ciągu istnieje wspólna korzyść, ale stosunki są zewnętrzne, nie wewnętrzne. Jeżeli zaś chodzi o pasożytnictwo, jest to układ korzystny tylko dla jednego partnera - dla pasożyta. Gospodarz nie ma z tego żadnego pożytku. Może brzmi to niezbyt jasno, ale...

- Proszę o bliższe informacje na temat symbiozy - zażądał Adams. - Inne współzależności mnie nie obchodzą.

- To doprawdy - oznajmił robot - bardzo proste. Weźmy na przykład wrzos. Wie pan, oczywiście, że koegzystuje on z pewnym grzybem.

- Nie - odparł Adams - nie wiem.

- Właśnie tak jest - kontynuował robot. - Grzyb ten żyje wewnątrz niego, w jego korzeniach, gałązkach, kwiatach i liściach, nawet w nasionach. Gdyby nie ten grzyb, wrzos nie mógłby egzystować na tego rodzaju glebie, na jakiej rośnie. Żadna inna roślina nie mogłaby się utrzymać, ponieważ, proszę pana, żadna inna roślina nie współżyje z tym właśnie grzybem. Wrzos daje grzybowi miejsce do życia, a grzyb sprawia, że wrzos może rosnąć na ubogiej glebie, gdzie nie ma żadnej konkurencji.

- Nie nazwałbym tego - stwierdził Adams - prostą sprawą.

- No cóż - rzeki robot - są oczywiście jeszcze inne przypadki. Na przykład niektóre porosty są właściwie symbiotycznymi połączeniami alg i grzybów. Nie istnieje zatem coś takiego jak porost, lecz są to dwa różne elementy.

- Jestem zdumiony - stwierdził kwaśno Adams - że nie topisz się pod wpływem świętego ognia własnej wiedzy.

- Są jeszcze gatunki zielonych zwierząt - poinformował robot.
- Żaby - rzekł Adams.

- Nie żaby - zaprzeczył robot. - Pewne proste, pierwotne zwierzęta. Żyją w wodzie. Nawiązują symbiotyczne stosunki z niektórymi algami. Zwierzęta korzystają z tlenu wydzielanego przez rośliny, roślina zaś pobiera dwutlenek węgla wydalany przez zwierzęta.

Są też robaki żyjące w symbiozie z wodorostami, które dopomagają im w procesach trawiennych. Wszystko działa doskonale, oprócz sytuacji, w których robak trawi algę, bo kiedy do tego dochodzi, nie może już trawić pokarmu.

- Wszystko jest bardzo ciekawe - zwrócił się Adams do robota - ale czy możesz mi teraz wyjaśnić, co to takiego symbiotyczna abstrakcja?

- Nie - odparł robot. - Nie mogę.

Odezwał się siedzący przy biurku Adama doktor Raven:

- Byłoby dość skomplikowane określić, czym może być symbiotyczna abstrakcja.

I jeszcze raz podkreślił, że Sutton wcale nie odnalazł nowych form religii. Och nie, tu nie chodzi o religię - zapewnił.

A niewątpliwie, pomyślał Adams, Raven orientuje się najlepiej, ponieważ jest jednym z najlepszych i najbardziej znanych w Galaktyce specjalistów w zakresie religii porównawczej.

Była to jednak, stwierdził doktor, nowa idea. O tak, całkowicie nowa idea. Idee zaś są niebezpieczne, zauważył w myślach Adams. Ludzkość jest bowiem rozproszona po całej Galaktyce. Tak rozproszona, że jedno słowo, jedno jedyne słowo, jedna nieopatrzna myśl może zapoczątkować łańcuch rebelii i przemocy, które zepchną Człowieka z powrotem w granice Układu Słonecznego, z powrotem do ograniczającego go

poprzednio maleńkiego pierścienia krążących planet.

Nie można więc ryzykować. Lepiej, aby jeden człowiek zginął niepotrzebnie, niż żeby cała rasa utraciła panowanie nad Galaktyką. Lepiej, aby nowa idea, choć może i wspaniała, została wytarta z pamięci, niż aby olbrzymi zespół idei reprezentujący całą ludzkość został zmieciony z miliarda gwiazd.

Punkt pierwszy: Sutton nie jest człowiekiem.

Punkt drugi: Nie mówi wszystkiego, co wie.

Punkt trzeci: Ma ze sobą rękopis, którego nie sposób odczytać.

Punkt czwarty: Ma zamiar napisać książkę.

Punkt piąty: Stworzył nową ideę.

Wniosek: Sutton musi zginąć.

Terr-up, klik, klik...

Wojna, powiedział zamaskowany mężczyzna. Wojna w czasie. Ona również będzie rozproszona, jak Człowiek w Galaktyce. Będzie przypominała trójwymiarowe szachy rozgrywane na milionie miliardów pól milionem figur. I przy każdym ruchu będą się zmieniały zasady.

Aby wygrywać bitwy, trzeba się będzie cofać w przeszłość. Trzeba będzie uderzyć w punkty czasu i przestrzeni, w których nikt nawet nie wie, że toczy się wojna. Logicznie biorąc, jej wpływ da się odczuć w ateńskich kopalniach srebra, rzuci ona cień na konia i rydwan Tutmosisa III, na podróżę Kolumba. Oddziała na wszelkie dziedziny ludzkiej działalności i myśli, przemieni sny ludzi, którzy nigdy nawet nie pomyślą o czasie inaczej jak tylko o cieniu przesuwającym się po tarczy zegara słonecznego.

Wezmą w niej udział szpiegzy i propagandyści. Szpiegzy będą badali elementy czasu, aby można je było uwzględnić w strategii

wojennej, propagandyści zaś - aby przerobić materię przeszłości tak, by strategia stała się bardziej skuteczna.

Wojna spowoduje, że wśród personelu Departamentu Sprawiedliwości w siedem tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiątym roku znajdą się agenci i sabotażyści. Tak głęboko zakamuflowani, iż nikt ich nie rozszyfruje.

Podobnie jak w każdej zwykłej, uczciwej wojnie będą w niej punkty strategiczne. I jak w szachach, znajdzie się w niej jedno pole główne.

Takim polem był Sutton. Należało je zająć i utrzymać. Był pionem, blokującym rajdy królowej i laufrów. Pionem, do którego zmierzały obie strony, wywierając nacisk na ten jeden punkt... A kiedy jedna ze stron zyska choć minimalną przewagę, rozpocznie się rzeź.

Adams położył ręce na biurku i oparł na nich głowę. Ramiona mu dygotały, szarpane szlochem, ale w jego oczach nie było łez.

- Ash, chłopcze - powiedział. - Tak bardzo na ciebie liczyłem, Ash.

Cisza sprawiła, że gwałtownie wyprostował się w fotelu.

Przez chwilę nie mógł się zorientować, co się stało... określić, co jest nie tak. I nagle już wiedział: psychodetektor milczał.

Adams pochylił się nad nim i nie usłyszał żadnego dźwięku - ani bicia serca, ani oddechu, ani pulsowania krwi w tętnicy. Ustał dopływ energii poruszającej detektor.

Christopher Adams wolno wstał z fotela, wziął kapelusz i włożył go na głowę. Po raz pierwszy w życiu wychodził do domu przed końcem godzin pracy.

.. 26 ..

Sutton wyprostował się w fotelu, a potem nieco rozluźnił. Przecież oni blefują, powiedział sobie. Nie mogą go zabić. Chcą mieć książkę, a martwi ludzie nie piszą.

Jakby czytając w jego myślach, odezwał się Case:

- Nie może pan liczyć na to, że jesteśmy ludźmi honoru, bo żaden z nas się za takiego nie uważa. Prawda, Pringle?

- Och, z całą pewnością - potwierdził jego kompan. - Honor jest mi do niczego niepotrzebny.

- Wiele by dla nas znaczyło, gdybyśmy mogli zabrać pana do Trevora i...

- Chwileczkę - przerwał mu Sutton. - Kim jest Trevor? Nie było o nim dotąd mowy.

- A, to przeoczenie - stwierdził Pringle. - Trevor stoi na czele korporacji.

- Korporacji - dodał Case - która chce mieć pańską książkę.

- Trevor obsypałby nas zaszczytami - dopowiedział Pringle - i uczynił bogatymi, gdybyśmy tego dokonali, ale skoro nie chce pan współpracować, musimy znaleźć inny sposób, aby osiągnąć swój cel.

- Dlatego zmodyfikujemy sytuację - wtrącił Case - i zastrzelimy pana. Morgan też zapłaci za pana dużo, ale za martwego. Pańskie zwłoki będą dla niego bardzo cenne. O tak, na pewno.

- A więc sprzedacie je Morganowi?

- Z całą pewnością - przytaknął Pringle. - Nigdy nie tracimy okazji.

- Chyba nie ma pan nic przeciwko temu? - mruknął Case.

Sutton pokręcił głową.

- Jest mi absolutnie obojętne, co zrobicie z moim trupem.

- W takim razie - powiedział Case i podniósł pistolet.

- Chwileczkę - powstrzymał go Asher.

Case opuścił broń.

- O co chodzi? - zapytał.

- Chce papierosa - domyślił się Pringle. - Ludzie przed egzekucją zawsze chcą papierosa, kieliszek wina, kurczaka na obiad albo coś w tym rodzaju.

- Chcę zadać pytanie - oznajmił Sutton.

Case skinął głową.

- Zakładam, że w waszym czasie napisałem tę książkę?

- Owszem - przytaknął Case. - I można rzec, że jest to doskonale wykonana, uczciwa praca.

- Czy wydałem ją u was, czy u kogoś innego?

Pringle roześmiał się cicho.

- Oczywiście, że u kogoś innego. Gdyby wydał ją pan u nas, nie wracalibyśmy przecież tutaj.

Sutton zmarszczył brwi.

- Czyli ją napisałem - stwierdził - bez waszej rady czy pomocy... I wydałem ją również bez was. A więc teraz, gdybym napisał ją tak jak chcecie, powstałyby komplikacje.

- Żadne - odparł Case - z którymi nie dalibyśmy sobie rady. Nic, czego nie można by w pełni zadowalająco wytłumaczyć.

- Ale jeśli mnie zabijecie, nie napiszę książki. Jak dacie sobie z tym radę?

Case zmarszczył czoło.

- Będzie trudno - oznajmił - i niedobrze... Niedobrze dla wielu ludzi, lecz jakoś wybrniemy z tego kłopotu.

Znowu uniósł broń.

- Na pewno nie zmieni pan zdania? - zapytał.

Asher pokręcił głową.

Nie będą strzelać, powiedział sobie. To blef. Zagrywka...

Case pociągnął za spust.

Potężna siła jak pięść wyrznęła w ciało Suttona i cisnęła nim do tyłu tak mocno, że fotel przechylił się i zakołysał niczym statek uwięziony w polu magnetycznym...

Wewnątrz jego czaszki błysnął ogień i Asher poczuł gwałtowny wstrząs bólu, który uniósł go i potrząsnął nim tak, że zawibrował każdy nerw, każda kość.

Pojawiła się tylko jedna ulotna myśl, którą chciał schwytać i utrzymać, ale wyslizgnęła się z jego mózgu jak węgorz wymykający się z zakrwawionych palców.

Zmiana, brzmiała myśl. Zmiana. Zmiana.

Poczuł zmianę... Poczuł, jak się zaczyna, nawet wtedy, kiedy umarł.

Śmierć była miękka, miękka i czarna, chłodna, słodka i łaskawa. Wsunął się w nią jak pływak zanurza się w fali. Poczuł, jak zamknęła się nad nim i zatrzymała go. Poczuł jej puls, rytm, poznał jej wielkość i siłę.

Daleko na Ziemi psychodetektor zatrzymał się i Christopher Adams po raz pierwszy w życiu poszedł do domu przed zakończeniem godzin pracy.

Herkimer leżał na łóżku i próbował zasnąć, ale sen nie nadchodził. Zastanawiał się, czy zdoła spać... To znaczy, czy zdoła spać, jeść i pić jak człowiek. Przecież nie był człowiekiem, aczkolwiek podobieństwo było duże, maksymalne, na jakie zdobyły się ludzki umysł i umiejętności.

Był pochodzenia chemicznego człowiek zaś biologicznego. Był imitacją, człowiek zaś autentykiem. Sprawa metodologii, pomysłał, metodologii i terminologii. To one nie pozwalają mi być człowiekiem, wszystko inne bowiem jest takie samo. Metodologia, słowa i wytatatuowany znak na czole.

Jestem równie dobry jak człowiek i niemal tak sprytny jak człowiek, bo wszystko potrafię naśladować. Potrafię też być tak podstępny jak człowiek, tylko muszę mieć szansę. Różnica polega na tym, że mnie oznakowano, jestem własnością i nie mam duszy... chociaż czasami w to wątpię.

Herkimer leżał bardzo spokojnie, patrzył w sufit i usiłował przypomnieć sobie pewne sprawy, ale wspomnienia nie nadchodziły.

Najpierw było narzędzie, potem maszyna, czyli trochę bardziej skomplikowane narzędzie, a zarówno maszyna, jak i narzędzie stanowiły zaledwie przedłużenie ręki. Oczywiście ręki człowieka.

Potem pojawił się robot, będący maszyną poruszającą się jak człowiek. Chodził, wyglądał i mówił jak człowiek, i wykonywał przedmioty zgodnie z życzeniem człowieka, ale był tylko jego karykaturą. Bez względu na to, jak precyzyjnie go wykonano, jak mądrze obmyślono, nigdy nie istniało niebezpieczeństwo, że ktoś

go pomyli z człowiekiem.

A następny etap?

Nie jesteśmy ani robotami, pomyślał Herkimer, ani ludźmi, ani maszynami, ani z krwi i kości. Jesteśmy wykonani chemicznie na kształt i podobieństwo naszych stwórców i obdarowani chemicznym życiem tak zbliżonym do ich życia, że kiedyś któryś z nich ze zdziwieniem się zorientuje, że nie ma między nami żadnej różnicy.

Wykonam na kształt ludzi... Podobieństwo jest tak wielkie, że musimy nosić wytatuowany znak, aby ludzie mogli odróżnić sami siebie.

Tak bliski człowiekowi, a jednak nie człowiek.

Ale istniała nadzieja. Jeżeli zdołamy utrzymać Kolebkę w tajemnicy, jeżeli uda nam się ukryć ją przed wzrokiem człowieka... Kiedyś nie będzie już różnicy. Kiedyś człowiek będzie rozmawiał z androidem w przekonaniu, że rozmawia z drugim człowiekiem.

Herkimer uniósł ręce i podłożył je pod głowę. Próbował zbadać stan swojego umysłu, dotrzeć do motywów uzasadniających tę nadzieję, lecz przychodziło mu to z trudem. Z całą pewnością nie była to uraza. Nie zazdrość. Nie rozgoryczenie. Było to dręczące uczucie niepełnowartościowości, wrażenie, że niemal dotarł do mety i padł przed samą jej linią.

Jest jednak pociecha, pomyślał. Przynajmniej pociecha, jeżeli już nic więcej. Należy ją utrzymać. Utrzymać dla tych maleństw, albowiem one nie będą już gorsze od człowieka.

Długo leżał, myśląc o pocieszeniu, patrząc na ciemny prostokąt oszronionego okna i przebijające przez szron światło gwiazd, słuchając wysokiego świstu słabego, złośliwego wiatru ocierającego się o dach.

Sen nie nadchodził, wstał więc i włączył światło. Dygocząc ubrał się i wyjął z kieszeni książkę. Przysunął się do lampy i przewrócił strony, aby dotrzeć do wyraźnie zaczytanego fragmentu.

Nic, bez względu na to, jak zostało stworzone, zrodzone, poczęte czy wykonane, nic, co zna puls życia, nie jest samotne. Składam wam owo zapewnienie...

Zamknął książkę i trzymał ją zaciśniętą między dłońmi.

“...zrodzone, poczęte czy wykonane...”

Wykonane.

Ważny był jedynie puls życia.

Pociecha.

Trzeba o niej pomyśleć.

Wykonuję swój obowiązek, powiedział sobie. Przyjmowany z chęcią, niemal entuzjazmem, obowiązek. Wciąż go wykonuję...

Odegrałem swoją rolę i chyba odegrałem ją dobrze, kiedy zaniósłem wyzwanie Asherowi Suttonowi. I później, gdy przyszedłem do niego jako część majątku pojedynekowego... Barwna, ciekawa rola każdego zwykłego androida.

Spełniłem wobec niego swój obowiązek... a właściwie nie wobec niego, lecz w imię nadziei i wiary, w imię przekonania, że ani ja, ani żadna inna istota żyjąca, bez względu na to, jak nędzna, nigdy nie będzie samotna.

Uderzyłem go. Uderzyłem celnie, znokautowałem, wziąłem w ramiona i zaniósłem. Był na mnie zły, ale to nie miało znaczenia. Jego gniew bowiem nie może zniszczyć ani jednego słowa z tego, co mi dał. Domem wstrząsnął grzmot i przez chwilę okno rozjarzyło się nagłym purpurowym rozbłyskiem.

Herkimer zerwał się, podbiegł do okna, stanął przy nim, trzymając się mocno parapetu, i patrzył na czerwone błyski

oddalających się dysz raketowych. Poczuł, jak strach zaciska mu gardło. Wybiegł za drzwi i popędził korytarzem do pokoju Suttona.

Nie pukał ani nie naciskał klamki. Uderzył w drzwi, wybijając je z framugi. Skręcony, rozbity zamek zakołysał się na śrubach.

Łóżko było puste i w pokoju nie było nikogo.

Sutton poczuł, że zmartwychwstaje, i zaczął z tym walczyć. Śmierć bowiem była tak wygodna jak miękkie, ciepłe łóżko, a zmartwychwstanie przypominało natarczywy, przenikliwy, doprowadzający do szaleństwa budzik jazgocący chłodnym porankiem w paskudnym, wyziębionym pokoju; obrzydliwy z całym tym swoim życiem, niczym nie zamaskowaną rzeczywistością, ostrym, przyprawiającym o mdłości przypomnieniem, że trzeba wstać i znowu wejść w realny świat.

Ale nie działało się to po raz pierwszy. O nie, przypomniawszy sobie Sutton. Nie pierwszy raz umieram i znowu wracam do życia. Kiedyś byłem bardzo długo martwy i też ożyłem.

Pod nim znajdowała się jakaś twarda, płaska powierzchnia. Leżał na niej twarzą do dołu i jego umysł przez pozornie nie kończący się okres za wszelką cenę starał się pojąć tę twardość i gładkość. Twarda, płaska i gładka. Trzy słowa, które jednak nie pomagały ani zobaczyć, ani zrozumieć określanej przez nie rzeczy.

Czuł, jak siły życiowe powracają, przyspieszają, przesączają się w nogi i ręce. Ale nie oddychał, a jego serce stało.

Podłoga! Tak brzmiała nazwa rzeczy, na której leżał. Płaska, twarda powierzchnia była podłogą! Docierały do mego dźwięki, lecz początkowo nie nazywał ich dźwiękami - po prostu nie znał odpowiedniego słowa, aż nagle, w chwilę później, te dźwięki nabrały znaczenia.

Teraz mógł już poruszyć palcem. Potem drugim.

Otworzył oczy i dostrzegł światło.

Dźwięki były głosami, głosy wypowiadały słowa, słowa zaś odzwierciedlały myśli. Tyle czasu trzeba, aby wszystko pojąć, stwierdził Sutton.

- Powinniśmy byli bardziej się postarać - usłyszał głos - i popróbować trochę dłużej. Cały kłopot w tym, Case, że jesteśmy tacy niecierpliwi.

- Cierpliwość nic by tu nie dała - odparł drugi głos. - Był przekonany, że blefujemy. Bez względu na to, co byśmy zrobili albo powiedzieli, wciąż uważałby, że blefujemy, i nic byśmy nie osiągnęli. Można było zrobić tylko to jedno.

- Tak, wiem - zgodził się z nim Pringle. - Przekonać go, że naprawdę zabijemy.

Westchnął głęboko.

- Ale szkoda - dodał. - Taki inteligentny młody człowiek...

Przez chwilę panowała cisza i teraz w Suttona wstępowało już nie życie, ale siła. Siła wystarczająca, żeby wstać i iść, i podnieść rękę; siła, aby dać upust swojej wściekłości. Siła, aby zabić dwóch ludzi.

- W końcu wyszło nie najgorzej - oświadczył Pringle. - Morgan i jego ludzie dobrze nam zapłacą.

Case miał wątpliwości.

- Nie lubię tego, Pringle. Martwy człowiek jest martwym człowiekiem, jeżeli zostawi się go w spokoju. Kiedy jednak go sprzedajesz, stajesz się po prostu rzeźnikiem.

- Nie to mnie niepokoi - odparł Pringle. - Obawiam się, jaki to wywrze wpływ na przyszłość, Case. Na naszą przyszłość, która w tak wielu punktach opiera się na książce Suttona... Gdyby nam się udało zmienić książkę, wszystko byłoby w porządku... to nie miałyby żadnego znaczenia. Ale teraz Sutton nie żyje. Nie będzie jego książki. Przyszłość stanie się inna.

Sutton wstał.

Odwrócili się gwałtownie i spojrzeli na niego. Case sięgnął po broń.

- No, dalej - zachęcił go Asher. - Podziuraw mnie jak sito. Nie przeżyjesz dzięki temu ani minuty dłużej.

Próbował ich nienawidzić, tak jak nienawidził Bentona w tej jednej ulotnej chwili na Ziemi. Nienawidzić tak silnie i pierwotnie jak wtedy, gdy zniszczył umysł tamtego człowieka.

Ale nie było w nim nienawiści. Tylko potężna, stanowcza wola, aby zabić.

Ruszył do przodu na sztywnych nogach i wyciągnął ręce.

Pringle, piszcząc jak szczur, zaczął się miotać, szukając drogi ucieczki. Pistolet Case'a kaszlnął dwukrotnie, ale kiedy Sutton wciąż szedł do przodu, nie zważając na krew sączącą się z ran i spływającą po jego piersi, Case odrzucił broń i oparł się plecami o ścianę.

To nie potrwa długo.

Nie zdołają uciec.

Nie było dokąd uciekać.

Sutton posadził statek na maleńkiej asteroidzie, wirującym kawałku śmiecia niewiele większym od samego kosmolotu. Poczuł, jak dotyka podłoża, i w tym samym momencie kciukiem przesunął dźwignię przełącznika grawitacji. Pojazd oderwał się i ruszył przez kosmos razem z koziółkującym kawałkiem skały.

Opuścił ręce i siedział spokojnie w fotelu pilota. Przed nim widniała czarna, nieprzyjazna przestrzeń, pokreślona plamkami gwiazd, które przesunęły się przez pole widzenia, pisząc w kosmosie tajemnicze posłania zimnym białym światłem.

- Bezpieczny, szepnął. - Przynajmniej na razie. Być może bezpieczny na zawsze, nikt bowiem nie będzie mnie szukał.

Bezpieczny z dziurą w piersi, krwią plamiącą przód koszuli i spływającą po nogach. To moje drugie ciało jest dosyć wygodne, pomyślał ponuro. Sporządzili je dla mnie Łabędzianie. Utrzyma mnie przy życiu, dopóki... dopóki...

Do kiedy? Do chwili, gdy wróci na Ziemię, wejdzie do gabinetu lekarza i powie:

- Trochę mnie postrzelili. Czy mógłby pan mnie zacerować? Zachichotał. Doktor chyba umarłby z wrażenia.

A może wrócić na Łabędzia? Ale nie wpuszczą mnie.

Albo zjawić się na Ziemi w takim stanie, w jakim jestem, i machnąć ręką na lekarza? Mógłbym zdobyć inną odzież, krwawienie zaś ustanie w chwili, gdy wypłynie ze mnie cała krew. Nie będę jednak oddychał, a to na pewno zauważą.

- Johnny - odezwał się, lecz nie poczuł odpowiedzi, jedynie słabe drgnienie życia w mózgu, znak rozpoznania. Niczym

machanie ogonem psa, dającego do zrozumienia, że słyszał, ale jest zbyt zajęty kością, aby pozwolić się oderwać od tego zajęcia.

- Johnny, czy jest jakieś wyjście?

Mogło przecież istnieć. Potrzebował nadziei, której mógłby się trzymać, myśli, którą mógłby rozważać. Podejrzewał, że jeszcze nawet nie zaczął zgłębiać niezwykłych możliwości zawartych w jego ciele i umyśle. Nie wiedział przecież, że sama jego nienawiść jest zdolna zabijać; nienawiść, która wydobywała się z jego umysłu jak stalowa lanca i zadawała śmiertelny cios. A jednak Benton zginął rażony kulą w ramię... Ale umarł, zanim trafił go pocisk. Ponieważ Benton strzelił pierwszy i nie trafił, a żywy Benton nigdy by nie chybił.

Nie przypuszczał też, że samym tylko wysiłkiem umysłu potrafi kontrolować energię niezbędną do podniesienia masy statku z jego podłoża i pokonania nim jedenastu lat świetlnych przestrzeni. A przecież dokonał tego, czerpiąc energię z płonących gwiazd - tak odległych, że niemal niewidocznych - i z dryfujących w próżni okruchów materii.

I chociaż wiedział, że może na życzenie przechodzić z jednej formy życia do drugiej, nie wiedział jeszcze, co się stanie, gdy jedna forma zginie. Czy ta druga włączy się automatycznie? Tak właśnie się stało. Case go zabił, on umarł, a potem wrócił do życia. Umarł, nim rozpoczęła się zamiana. Tego był całowicie pewien. Pamiętał śmierć i ją poznawał. Pamiętał z poprzedniego razu.

Czuł, jak jego ciało je... Wysysa gwiazdy tak, jak człowiek wysysa pomarańczę, przegryza energią uwięzioną w skale, do której przycumowany był statek, odżywia się drobnymi przeciekami energii z atomowych silników pojazdu.

Jeść, aby się wzmocnić, aby naprawić uszkodzenia.

- Johnny, czy jest jakiś sposób?

Znowu nie było odpowiedzi.

Pochylił głowę do przodu tak, aby opierała się o ukośną tablicę z przyrządami.

Jego ciało w dalszym ciągu jadło, wysysało gwiazdy.

Nasłuchiwał wolnego kapania krwi wyciekającej z niego i spadającej na podłogę.

Umysł zasypiał, ale nie przeciwstawiał się temu, nie miał bowiem nic do roboty... Nie musiał go wykorzystywać, zresztą nawet nie wiedział, jak go wykorzystać. Nie wiedział, co może, a czego nie może robić ani co począć dalej.

Pamiętał, jak spadał z wyciem silników z obcego nieba i przeżywał chwilę szalonego uniesienia, wiedząc, że świat Łabędzia VII leży w zasięgu ręki. Dokonał tego, co okazało się niemożliwe dla wszystkich sił kosmicznych Ziemi.

Planeta pędziła w jego stronę i widział jej skomplikowaną geografie przesuwającą się w szaroczarnych tonach przez ekran wizyjny.

Działo się to dwadzieścia lat temu, lecz w szarej mgłę wypełniającej jego umysł wszystko rysowało się tak, jakby rozgrywało się wczoraj albo właśnie teraz.

Chciał przesunąć dźwignię, ale nawet nie drgnęła. Statek pędził w dół i przez chwilę czuł narastającą w nim panikę, która nagle eksplodowała, przekształcając się w przerażenie.

Jeden dramatyczny, wyrazisty fakt niezmiennie przebijał się przez wszystkie przelatujące przez jego umysł strzępy myśli, planów i modlitw. Jeden brutalny fakt: zaraz się rozbije.

Nie pamiętał samej katastrofy i najprawdopodobniej nawet się nie zorientował, że nastąpiła. Najpierw były tylko lęk i przerażenie, które potem nagle zniknęły. Najpierw świadomość,

pełna percepcja, a potem nicość, która była wypoczynkiem i zapomnieniem.

Świadomość wróciła... po chwili, a może po całej wieczności. Nie potrafił tego ustalić. Ale ta świadomość była inna, wrażliwość jedynie częściowo ludzka, jedynie w małym procencie człowiecza. I wiedza - nowa, ale jakby znana mu od zawsze.

Czuł - a może tylko wiedział, bo na pewno nie widział - swoje ciało leżące na ziemi, rozbite i połamane, skręcone tak, że w niczym nie przypominało ludzkiego kształtu. I chociaż było oczywiste, że to jego ciało, chociaż znał wszystkie jego funkcje i zasady konstrukcji, poczuł pewien podziw dla tej leżącej rzeczy i zdał sobie sprawę, że stanowi problem, który zmusi jego pomysłowość do maksymalnego wysiłku. Należało je bowiem złożyć, wyprostować, połączyć, skoordynować jego funkcje tak, aby mogło działać, aby powróciło do niego życie, które je opuściło.

Pomyślał o Humpty Dumpty i była to dziwna myśl - jakby ten dziecięcy wierszyk był czymś nowym albo dawno zapomnianym.

Humpty Dumpty, oznajmiła druga część jego osoby, nie jest odpowiedzią i zgodził się z tym, ponieważ, jak sobie przypominał, Humpty'ego nie można było złożyć.

Dotarło do niego, że jest ich właściwie dwóch, bo jedna część osoby odpowiadała drugiej. Udzielający odpowiedzi i ten drugi, choć stanowili jedność, byli jednak odrębnymi osobowościami. Istniał między nimi przedział, którego nie pojmował.

Jestem twoim przeznaczeniem, rzekł udzielający odpowiedzi. Byłem z tobą, kiedy zmartwychwstałeś, i pozostanę z tobą, dopóki nie umrzesz. Nie kontroluję cię i nie będę do niczego zmuszał, ale spróbuję tobą niepostrzeżenie kierować. Sutton, a raczej ta niewielka część, która nim była, odrzekła:

- Teraz wiem.

Zdawał sobie z tego sprawę tak, jakby przekonanie o tym istniało w nim zawsze, i było to dosyć dziwne, ponieważ dowiedział się dopiero teraz. Ta świadomość była skomplikowana i przemieszana, w końcu istniało ich dwoje - on i przeznaczenie. Nie mógł natychmiast rozdzielić zasobu informacji na te, którymi dysponował tylko jako Sutton, i te, które znał jako Sutton oraz jego przeznaczenie.

Nie mogę wiedzieć, pomyślał. Nie mógłbym wiedzieć ani wcześniej, ani teraz. Wciąż bowiem tkwią głęboko we mnie dwa aspekty mojej osobowości - człowiek, którym wciąż jestem, i przeznaczenie, które - jeżeli tylko mu pozwolę - poprowadzi mnie do większej chwały i wspanialszego życia. Nie będzie bowiem do niczego mnie zmuszać ani od niczego powstrzymywać. Będzie mi tylko podpowiadać, szeptać do ucha. Być może nazywa się sumieniem, osądem lub przyzwoitością.

Tkwi ono w moim mózgu tak, jak nie tkwi w mózgu żadnej innej istoty, bo jestem z nim jednością, jakiej nie tworzy z nikim innym. Mam tego straszliwą pewność, inne zaś istoty nie wiedzą o jego istnieniu wcale, a jeżeli nawet wiedzą - mogą jedynie domyślać się ogromu zawartej w nim prawdy.

Ale wszyscy muszą to wiedzieć. Wszyscy muszą wiedzieć tak, jak ja wiem. Coś jednak przeszkadza innym w osiągnięciu takiej świadomości, przeszkadza albo ją zafałszowuje. Muszę się zorientować, co to takiego, i naprawić błąd. Tak czy inaczej, muszę sięgnąć w przyszłość. Jestem twoim przeznaczeniem, oznajmił ten, kto udzielał mu odpowiedzi.

Przeznaczeniem, nie fatalizmem.

Przeznaczeniem, a nie predestynacją.

Przeznaczenie - sposób istnienia ludzi, ras i światów.

Przeznaczenie, czyli sposób, w jaki kształtujesz swoje życie... tak, jak powinno się toczyć, jakim powinno się stać, jeżeli będziesz słuchał cichego głosu, podpowiadającego ci w wielu punktach zwrotnych i na krzyżujących się drogach egzystencji.

Były również inne myśli i głosy. Sutton nie potrafił określić, czym są, ale znajdowały się one poza płataniną, którą stanowił on i jego przeznaczenie.

To moje ciało, pomyślał. I jestem gdzieś indziej. Gdzie nie patrzę tak, jak przywykłem... I nie mogę słyszeć, chociaż widzę i słyszę, ale za pośrednictwem zmysłów kogoś innego i w odmienny sposób. Ekran go przepuścił, powiedziała myśl, choć nie użyła słowa "ekran".

A następna stwierdziła: Ekran odegrał swoją rolę.

Kolejna zaś oznajmiła, że była pewna technika, z którą zapoznał się na planecie, chociaż jej nazwa się zatarła, rozplynęła, zamazała i nie miała już żadnego znaczenia.

Jeszcze jedna myśl podkreśliła wyjątkową złożoność i niską wydajność połamanego ciała Suttona i z entuzjazmem zachwalała prostotę i doskonałość bezpośredniego odbioru energii.

Próbował zawołać do nich, żeby na litość boską się pospieszyli, bo jego ciało jest kruche i jeżeli będą zbyt długo zwlekali, nie da się już naprawić. Ale nie mógł nic powiedzieć i jak we śnie słuchał rozmowy myśli, błysków i migotania pojedynczych opinii, które spajały się w jedną wspólną, wyznaczającą ewentualną decyzję.

Starał się domyślić, gdzie jest. usiłował się zorientować, ale zauważył, że nie potrafi nawet określić samego siebie. Nie był już bowiem ani ciałem, ani miejscem w przestrzeni albo czasie, ani nawet zaimkiem osobowym. Była to zwisająca, kołysząca się

rzecz, bez treści, bez umocowania w planie czasowym, nie definiowalna, bez względu na podejmowane próby. Próżnia mająca świadomość istnienia, zdominowana przez coś innego, co równie dobrze mogło być próżnią.

Żył poza swoim ciałem. Ale gdzie i na jakiej zasadzie, nie mógł zrozumieć. Jestem twoim przeznaczeniem, oznajmił udzielający odpowiedzi, który zdawał się częścią jego samego. Ale przeznaczenie było słowem, i niczym więcej. Ideą. Abstrakcją. Subtelną definicją czegoś, co Człowiek stworzył w swoim umyśle, ale czego nie potrafił dowieść... i z chęcią uznał jedynie za nie dającą się udowodnić ideę.

Mylisz się, usłyszał głos przeznaczenia. Przeznaczenie jest rzeczywiste, choć nie możesz go zobaczyć. Jest rzeczywiste dla ciebie i wszystkich innych... dla każdej rzeczy, w której tkwi życie. Zawsze tak było i zawsze będzie.

To nie jest śmierć? - zapytał.

Jesteś pierwszy, który do nas dotarł, odparło przeznaczenie. Nie możemy pozwolić ci umrzeć. Oddamy ci ciało, ale od tej pory będziesz stale żył ze mną. Będziesz częścią mnie, ponieważ zawsze z tobą żyłem, byłem częścią ciebie. Nie chcieliście mnie tutaj, powiedział Sutton. Zbudowaliście ekran, żeby trzymać nas z daleka. Potrzebowaliśmy jednego, odrzekło przeznaczenie. Tylko jednego. Ty nim jesteś i nie będzie już nikogo więcej.

A ekran?

Był nastawiony na umysł, usłyszał wyjaśnienie. Na określony umysł. Na typ umysłu, jaki chcieliśmy.

Ale pozwoliliście mi umrzeć.

Musiałeś umrzeć, odparło przeznaczenie. Dopóki nie umarłeś i nie stałeś się jednym z nas, nie byłeś w stanie wiedzieć. Dopóki przebywałeś w swoim ciele, nie mogliśmy do ciebie dotrzeć.

Musiałeś umrzeć, aby się wyzwolić, ja zaś byłem na miejscu, aby cię wziąć i uczynić częścią mnie. I pomóc zrozumieć.

Nie pojmuję, odparł Sutton.

Z czasem, oznajmiło przeznaczenie, zrozumiesz.

I rzeczywiście, uświadomił sobie Asher: zrozumiałem. Całe jego ciało zadygotało, kiedy przypomniał sobie wszystko, a jego umysłem zawładnęło pełne podziwu oszołomienie ogromnymi, nieprzewidzianymi rozmiarami przeznaczenia... trylionów trylionów przeznaczeń w porównaniu z życiem Galaktyki.

Przed milionem lat przeznaczenie poruszyło się lekko i kosmata mała zatrzymała się, by podnieść złamany kij. Poruszyło się jeszcze raz i mała uderzyła krzemieniem o krzemień. Drgnęło znowu i powstał łuk oraz strzały. Kolejny raz - i stworzono koło.

Przeznaczenie szepnęło i ociekająca wodą istota wypełzła na powierzchnię, a w ciągu następnych lat jej płetwy stały się nogami, skrzela zaś nozdrzami. Symbiotyczne abstrakcje. Pasożyty. Jakkolwiek się je nazwie - były przeznaczeniem. I nadeszła pora, aby Galaktyka dowiedziała się o ich istnieniu.

Jeżeli nawet były pasożytami, to pożytecznymi, gotowymi dawać więcej, niż brały. Ponieważ brały jedynie świadomość życia, poczucie istnienia, a dawały - albo były gotowe dać - o wiele więcej niż tylko życie.

Dla wielu istnień egzystencja musiała być naprawdę nudna. Na przykład dla robaka kompostowego. Albo dla napęczniałej nieinteligencji, która prześlizguje się przez cuchnącą dżunglę.

Dzięki nim jednak pewnego dnia robak kompostowy może będzie czymś więcej niż tylko robakiem... lub większym robakiem kompostowym. A napęczniała nieinteligencja może nawet wznieść się na jeszcze wyższy stopień rozwoju niż istota

ludzka.

Wszystko bowiem, co się porusza - obojętne, szybko czy wolno - w każdym wymiarze i każdym świecie, nie jest jedną istotą, lecz dwiema. Jest sobą samym i własnym, indywidualnym przeznaczeniem.

Czasami przeznaczenie bierze w posiadanie i ogarnia... a czasami nie. Ale tam, gdzie jest przeznaczenie, jest również nadzieja. Przeznaczenie bowiem jest nadzieją. A przeznaczenie jest wszędzie.

Nic nie wędruje samotnie.

Nie pełza, nie skacze, nie pływa, nie fruwa ani się nie toczy. Tylko pewna planeta została wyłączona dla wszystkich umysłów oprócz wybranego, a kiedy przybył, znowu się zasłoniła. Umysł, który ma powiedzieć Galaktyce, kiedy będzie gotowa. Umysł, którego zadaniem jest przekazać jej całą mądrość o przeznaczeniu i nadziei.

I ten umysł, pomyślał Sutton, należy do mnie.

Boże, dopomóż mi.

Bo jeżeli właśnie ja zostałem wybrany, zostałem wezwany, jeżeli ja mam o tym głosić, niechaj to nie będę ja, ale ktoś lub coś innego. Jakiś inny umysł za milion lat. Jakaś inna istota za dziesięć razy po milionie lat.

Zbyt wiele się ode mnie wymaga... zbyt wiele od istoty z intelektem tak wątłym jak Człowieka, abym udźwignął ciężar iluminacji, uniósł brzemień wiedzy.

Ale przeznaczenie wskazało mnie.

Przypadek czy ślepy traf... Tym mogłoby być przeznaczenie. Żyłem z przeznaczeniem, jako przeznaczenie... Byłem jego częścią, chociaż ono powinno być częścią mnie, i poznaliśmy się nawzajem, jakbyśmy byli dwojgiem ludzi... a nawet ściślej, niż

gdybyśmy byli dwojgiem ludzi. Bo przeznaczenie było mną, a ja przeznaczeniem. Nie miało imienia, więc nazwałem je Johnny, i fakt, że musiałem mu nadać imię, jest żartem, z którego przeznaczenie śmieje się do tej pory.

Żyłem z Johnnym, istotną częścią mnie samego, iskrą mnie samego, którą ludzie nazywają życiem, i nie rozumiałem go - do tej pory zresztą nie pojmuję - do chwili, kiedy moje ciało zostało ponownie naprawione. Wtedy powróciłem do niego, ale było to inne, lepsze ciało, ponieważ wiele przeznaczeń dziwiło się, a nawet było przerażone niską wydajnością i kruchą strukturą ludzkiej materii.

Naprawiając uczyniono je więc doskonalszym. Opracowano tak, że mam teraz mnóstwo zdolności, których do tej pory byłem pozbawiony... Wiele przymiotów, o których - jak sądzę - wciąż jeszcze nie wiem i nie będę wiedział, dopóki nie nadejdzie czas, abym z nich skorzystał. A o pewnych chyba nie dowiem się nigdy.

Kiedy powróciłem do mojego ciała, przybyło też przeznaczenie i znowu żyło wraz ze mną, a poznawszy je - nazwałem Johnny. Rozmawialiśmy ze sobą i nigdy nie było sytuacji, abym go nie usłyszał, chociaż w przeszłości bardzo wiele razy Johnny uszedł mojej uwagi...

Symbioza, pomyślał Sutton. Symbioza wyższego rzędu niż wrzosu i grzyba, prymitywnego zwierzęcia i algi. Symbioza intelektualna. Jestem gospodarzem, a Johnny moim gościem. Współpracujemy ze sobą, bo rozumiemy się nawzajem. Johnny daje mi świadomość mojego przeznaczenia, swoją siłę kształtującą moje godziny i dni, ja zaś stwarzam mu szansę egzystencji, której nie mógł uzyskać, istniejąc niezależnie.

- Johnny! - zawołał i znowu nie było odpowiedzi.

Począł chwilę, ale bez pożądanego rezultatu.

- Johnny! - powtórzył, i tym razem w jego głosie zabrzmiały nutki przerażenia. Bo przecież przeznaczenie musiało tu być. Musiało...

Chyba... chyba... - myśl rozwijała się wolno, łagodnie. Chyba że naprawdę nie żył. Chyba że śnił, znajdował się w strefie zmierzchu, w której poczucie istnienia działa jeszcze przez chwilę pomiędzy stanem życia i śmierci.

Głos Johnny'ego był słaby, bardzo słaby i daleki.

- Ash.

- Słucham, Johnny.

- Silniki, Ash. Silniki.

Dźwignął ciało z fotela pilota i stanął na drżących nogach. Prawie nic nie widział - jedynie wyblakłe, rozmyte, kołyszące się kształty otaczającego go metalu. Stopy miał jak obciążone łożem i ledwie mógł nimi poruszać... nie były już jego częścią.

Potknął się, ruszył chwiejnie przed siebie, upadł na twarz. Wstrząs, pomyślał. Wstrząs przemocy, śmierci, wyciekającej krwi, zmasakrowanego, podziurawionego ciała. Istniała siła, przypływ siły, który pozwolił mu się podnieść, widzieć wyraźnie, sprawnie myśleć. Siły wystarczającej, aby zabrać życie dwom ludziom, którzy go zabili. Tą siłą była zemsta. Lecz moc już się wyczerpała i zdawał sobie sprawę, że to siła umysłu, siła woli raczej niż kości i mięśni pozwoliła mu tego dokonać.

Stanął na czworakach i popęzł przed siebie. Zatrzymał się, odpoczął, a potem przepęzł następnych kilka stóp z opuszczoną bezwładnie głową, pozostawiając za sobą na podłodze ślad ściszających się z jego ciała krwi, osocza i soków żołądkowych.

Odnalazł wejście do maszynowni i stopniowo podciągnął się wystarczająco wysoko, aby odsunąć rygiel. Palce odnalazły go,

pociągnęły, ale nie było w nich dosyć siły, więc się ześlizgnęły. Upadł bezwładnie na twardą, zimną podłogę.

Leżał długo, a potem spróbował znowu. Tym razem, mimo że palce ponownie ześlizgnęły się z metalu, rygiel ustąpił ze szczękiem. Upadł na próg.

Wreszcie, kiedy już zdawało mu się, że nigdy nie zdoła tego dokonać, stanął na czworakach i cał po cał popęzł przed siebie.

Asher Sutton obudził się w ciemności.

Ciemności i niewiedzy.

Niewiedzy i ogarnięty powolnym, badawczym zdziwieniem. Leżał na twardej, gładkiej powierzchni i tuż nad jego głową znajdował się metalowy sufit. Obok niego znajdowała się rzecz, która mruczała i dudniła. Jedno ramię miał zarzucone na ową rzecz i w jakiś sposób wiedział, że spał, obejmując ją w ramionach i przytulając do siebie tak, jak dziecko mogłoby spać z ukochanym pluszowym misiem.

Nie miał poczucia czasu, miejsca ani poprzedniego życia. Jakby nagle, dzięki jakiejś magii, jako w pełni ukształtowana istota, został obdarzony życiem, inteligencją i wiedzą.

Leżał nieruchomo i jego oczy powoli przywykały do ciemności. Zobaczył otwarte drzwi i ciemną, teraz już suchą plamę, ciągnącą się przez próg do znajdującego się w głębi pomieszczenia. Coś się wtedy przeczołgało, z tamtego pomieszczenia tutaj, i zostawiło za sobą ten ślad. Leżał tak dłuższy czas, zastanawiając się, co to mogło być, i czuł ogarniający go lęk. Przecież to coś mogło się tu jeszcze znajdować i mogło być niebezpieczne.

Jednocześnie jednak miał wrażenie, że jest sam; wyczuwał tę samotność w pulsowaniu maszyny przy jego boku... i wreszcie zorientował się, czym jest ten mruczący przedmiot. Nazwa i rozpoznanie wślizgnęły się do jego umysłu bez udziału świadomości, zupełnie jakby to była rzecz, którą znał przez cały czas. Zdawało mu się jednak, że nazwa poprzedziła rozpoznanie

i to, pomyślał, jest dość dziwne.

A więc rzecz znajdująca się przy nim była silnikiem, on sam zaś leżał na podłodze, a metal nad jego głową był jakiegoś rodzaju sufitem. Ciasne pomieszczenie, oszacował. Ciasne pomieszczenie, w którym znajduje się silnik i drzwi prowadzące do drugiego pomieszczenia.

Statek. Tak. Jest w statku. Pozostaje jeszcze sprawa ciemnego śladu ciągnącego się przez próg. Początkowo sądził, że coś, jakieś wyimaginowane coś, pełzło, wydzielając śluz, którym znaczyło swą drogę, ale teraz sobie przypomniał. To był on sam... On sam czołgał się do silników.

Leżąc spokojnie, przypominał sobie wszystko i ze zdziwieniem sprawdził swój stan. Podniósł rękę i dotknął piersi. Ubranie było spalone, jego zwęglone brzegi kruszyły się pod palcami, ale tors miał cały... cały, gładki i elastyczny. Dobre ludzkie ciało. Żadnych dziur.

A więc jest możliwe, pomyślał. Pamiętam, że się zastanawiałem, jak by to było... gdyby Johnny nie miał w zanadrzu paru sztuczek, gdyby moje ciało nie dysponowało pewnymi umiejętnościami, których nawet nie podejrzewałem.

Jego ciało wysysało gwiazdy, gryzło asteroidę, ciągnęło je do silników. Pragnęło energii. A silniki dysponowały energią o wiele silniejszą niż odległe gwiazdy, silniejszą, niż mogła mu dać zimna, zamarznęta asteroida.

Dopełzłem więc do silników, pozostawiając za sobą ciemny ślad śmierci, i spałem z silnikiem w objęciach. Moje ciało zaś, moje bezpośrednio żywiące się energią ciała, czerpało ją z gorącego rdzenia stosu atomowego.

I znowu jestem cały.

Znowu jestem w moim ciele z krwi i kości, i mogę wrócić na

Ziemię.

Wyczołgał się z maszynowni i stanął na nogach.

Z ekranów wizyjnych sączyło się słabe światło, padając jak diamentowy pył na podłogę i ściany. W kabinie leżały dwa skulone kształty - jeden pośrodku podłogi, a drugi w kącie.

Jego umysł skierował się do nich i dotknął ich tak, jak pies dotyka nosem kość, i po chwili przypomniał sobie, kim byli. Jego ludzka część zadrżała na widok tych czarnych nieruchomych kształtów, ale druga część - chłodny i twardy rdzeń, pozostała spokojna, niewzruszona w obliczu śmierci.

Zbliżył się powoli i równie wolno przyklęknął przy jednym z ciał. To musi być Case, pomyślał, bo właśnie on był wysoki i szczupły. Nie mógł jednak dostrzec twarzy i wcale nie miał ochoty jej zobaczyć, wciąż bowiem w jakimś zakamarku jego umysłu tkwił dawny wygląd obu tych twarzy.

Opuścił ręce i zaczął szukać, przetrząsając ubranie leżącego. Ułożył niewielki stosik ze znalezionych przedmiotów, gdy wreszcie znalazł to, czego szukał.

Przysiadł na piętach, otworzył książkę na stronie tytułowej i spostrzegł, że jest to egzemplarz podobny do spoczywającego w jego kieszeni. A właściwie identyczny. Wszystko w nim było takie samo, oprócz jednej linijki druku, króciutkiej linijki na samym dole strony.

Oznajmiała ona:

Wydanie poprawione

A więc to tak. Informacja ta wyraźnie wiązała się ze słowem, które go intrygowało: Rewizjoniści.

Książkę zatem poprawiono. Ci, którzy żyli zgodnie z poprawionym wydaniem, byli Rewizjonistami. A inni? Zastanawiał się, odczytując nazwy: Fundamentalisci, Prymityw!,

Ortodoksi, Radykałowie. Był pewien, że istnieli jeszcze inni, ale nie miało to znaczenia. Właściwie nieważne, jak ci inni się nazywali.

Dwie karty były puste, a dalej zaczynał się tekst:

Nie jesteśmy sami.

Nikt nigdy nie jest sam.

*Nigdy, od pierwszego słabego impulsu życia na pierwszej planecie w Galaktyce, żadna istota nie szła, nie pełzła ani nie sunęła po ścieżce życia samotnie.**

Popatrzył na dół strony, na pierwszy przypis.

**Pierwsze z wielu twierdzeń, niewłaściwie zinterpretowane, spowodowało, że wielu czytelników błędnie mniemało, iż Sutton twierdził, jakoby każde życie, bez względu na swoją inteligencję lub wartości moralne, jest obdarzone przeznaczeniem. Pierwszy wers jednak wykazuje całkowitą niesłuszność takiego rozumowania, albowiem Sutton użył domyślnie zaimka osobowego “my”, a wszyscy specjaliści w zakresie semantyki są zgodni, że każdy człowiek - mówiąc o sobie - stosuje zaimek osobowy jako powszechny idiom. Gdyby Sutton miał na myśli wszystkie formy życia, napisałby „wszystkie formy życia”. Stosując jednak zaimek osobowy, niewątpliwie odnosił go do własnego gatunku, tylko i wyłącznie do rasy ludzkiej. Najwidoczniej mylnie sądził - a była to wówczas nader popularna opinia - że Ziemia stanowiła pierwszą planetę w Galaktyce, która poznała przyspieszenie impulsu życia. Nie ma też wątpliwości, że jego rewelacje na temat przeznaczenia uległy zafałszowaniu. Żmudne badania i analizy wykazały ponad wszelką wątpliwość, które części jego nauki są autentyczne, które zaś nie. Fragmenty w oczywisty sposób zmienione będą zaznaczone, a przyczyny genezy*

takich poglądów zostaną starannie rozważone i szczerze podane.

Sutton szybko przerzucił kartki. Ponad połowę książki zajmowały wydrukowane *petitem* przypisy. Na niektórych stronach znajdowały się zaledwie dwie lub trzy linijki właściwego tekstu, a pozostałą część zajmowały obszerne komentarze i polemiki.

Zatrzasnął książkę i przez chwilę trzymał ją zaciśniętą w dłoniach.

Tak bardzo się starałem, pomyślał. Powtarzałem, powtarzałem wielokrotnie i podkreślałem: nie tylko ludzkie życie, ale wszystkie przejawy życia. Wszystko, co jest obdarzone świadomością. A oni przekręcili moje słowa.

Toczą wojnę, aby moje słowa nie były słowami, które napisałem, wskutek czego wszystko, co chciałem powiedzieć, mylnie zinterpretowano. Intrygują, walczą i mordują, aby wielki płaszcz przeznaczenia okrył tylko jedną rasę... aby najbardziej występna rasa zwierząt, jaka kiedykolwiek zaistniała, mogła ukraść coś, co było przeznaczone nie tylko dla niej, ale dla każdej istoty żyjącej.

Muszę więc przeciwdziałać zafałszowaniem moich myśli i zadbać, aby wszyscy mogli je przeczytać i poznać bez zasłony dymnej małościowego teoretyzowania, bez chytrej interpretacji i pokrętnej logiki. I raz na zawsze sobie uświadomić: wszystkie formy życia mają przeznaczenie, nie tylko ludzie.

Jedno przeznaczenie dla każdej istoty żyjącej i dla tych organizmów żywych, które powstaną. Przeznaczenie czeka na życie, które ma się zmaterializować, i za każdym razem, gdy tak się dzieje, jedno z przeznaczeń jest na miejscu i pozostaje do chwili, kiedy to konkretne życie dobiegnie końca. Nie wiem, w

jaki sposób ani dlaczego. Nie wiem, czy mój konkretny Johnny mieści się w moim ciele i umyśle, czy też utrzymuje ze mną kontakt z Łabędzia. Ale wiem, że jest ze mną. Wiem, że pozostanie.

Rewizjoniści jednak przekręcą moje słowa i skompromitują mnie. Zmieniają moją książkę i wygrzebią stare skandale rodziny Suttonów, aby wielokrotnie powiększone błędy moich przodków zhańbiły moje nazwisko.

Wysłali w przeszłość człowieka, by porozmawiał z Johnem H. Suttonem, a ten opowiedział im historie, które mogli wykorzystać. Stary, gadatliwy John Sutton słusznie przyznał, że w każdej rodzinie są wstydlive tajemnice, a mimo to zdradził je przybyszowi.

Ale tych sekretów nie wykorzystano w przyszłości, ponieważ człowiek, który ich wysłuchał, nadszedł drogą - z zabandażowaną głową i na bosaka. Coś się stało i nie mógł powrócić.

Coś się stało.

Coś...

Sutton wstał powoli.

- Coś się stało, powiedział do siebie na głos. - I wiem, co...

Sześć tysięcy lat temu, w miejscu, które nazywało się Wisconsin.

Ruszył w stronę fotela pilota.

Asher Sutton wyruszał do Wisconsin.

Christopher Adams wszedł do gabinetu i powiesił płaszcz oraz kapelusz.

Odwrócił się, wysunął fotel z za biurka i kiedy już siadał, znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać.

Psychodetektor warknął na niego.

Terrr-up, zachichotał, terr-up, klik, klik terr-up.

Adams podniósł się ze swojej dziwnej, na wpół siedzącej pozycji, i znowu włożył płaszcz i kapelusz.

Wychodząc z gabinetu, trzasnął drzwiami.

Nigdy dotąd nie trzasnął drzwiami.

Sutton pokonał rzekę, płynąc wolnymi, równymi ruchami. Woda obmywająca jego ciało była ciepła, przemawiała do niego głębokim, poważnym głosem. Pomyślał: próbuje mi coś powiedzieć, tak jak pragnęła przekazać ludziom swą wiedzę przez wszystkie wieki. Potężne usta mówiące wzdłuż całego brzegu, plotkujące same ze sobą, jeżeli nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby ich słuchać, i zawsze pełne rozmaitych wieści przeznaczonych dla człowieka. Być może niektórzy uzyskali od rzeki jakieś prawdy, jakąś filozofię, ale nikt nie pojął jej języka, jest to bowiem mowa nieznana.

Mowa moich notatek, pomyślał. Ponieważ musiały być sformułowane w języku, którego nikt inny nie mógłby przeczytać; w języku zapomnianym wśród eonów Galaktyki, zanim jakikolwiek istniejący obecnie język zaczął w ogóle raczkować; w języku zapomnianym albo nigdy nieznanym.

Nie znam języka moich notatek, powiedział do siebie Sutton. Nie wiem, skąd się wziął, kiedy powstał ani jak. Pytałem, lecz nie chcieli mi odpowiedzieć. Johnny próbował raz mi go objaśnić, ale niczego nie zrozumiałem, ponieważ umysł Człowieka nie jest w stanie go pojąć.

Znam jego symbole i ich znaczenie, nie wiem jednak, jakim dźwiękom odpowiadają. Być może mój aparat głosowy nie potrafiłby ich odtworzyć. Wiem tylko, że równie dobrze może to być język, którym mówi rzeka, jak i język rasy, którą spotkała jakaś katastrofa i zmieniła się w pył przed milionami lat.

Czerń nocy opadła na ciemne wody rzeki. Księżyc jeszcze nie

wstał, jeszcze nie wstanie przez wiele godzin. Światło gwiazd odbijało się maleńkimi diamentowymi punkcikami od pomarszczonych fal płynącej rzeki, a na brzegu przed nim światła domów tworzyły nierówne wzory.

Herkimer ma notatki, pomyślał Sutton, i mam nadzieję, że okaże dość rozsądku, aby je ukryć. Będę ich potrzebował później, jeszcze nie teraz. Chciałbym się z nim zobaczyć, ale nie mogę ryzykować, bo może być obserwowany. I nie ma wątpliwości, że nastroili na mnie detektor, jeśli jednak będę się poruszał wystarczająco szybko, prawdopodobnie uda mi się ich uniknąć.

Jego stopy dotknęły zwirowatego dna. Staął i zaczął brodzić w kierunku łagodnie opadającego brzegu. Owiał go nocny wiatr i Sutton zadrżał, bo choć rzeka zachowała jeszcze ciepło słonecznego dnia, w wietrze wyczuwało się tchnienie zimna.

Herkimer, oczywiście, mógłby być jednym z tych, którzy cofnęli się w przeszłość, aby dopilnować napisania książki w jej właściwej postaci. Herkimer i Eva... Z tej dwójki, pomyślał, bardziej mogę zawierzyć Herkimerowi. Android bowiem walczyłby, walczyłby i umarł za prawdy zawarte w mojej książce. Android i pies, koń i pszczoła, i mrówka. Ale pies, koń, pszczoła i mrówka nigdy się tego nie dowiedzą, bo nie umieją czytać.

Znalazł porośnięty trawą stok, usiadł i zdjął ubranie, aby je wyżyć. Potem włożył je z powrotem. Następnie ruszył przez łąkę w stronę szosy biegnącej wzdłuż doliny.

Nikt nie znajdzie statku na dnie rzeki... przynajmniej przez jakiś czas. A przecież potrzebuje zaledwie kilku godzin. Kilku godzin, aby zapytać o coś, co musi wiedzieć, kilku godzin do powrotu na statek.

Nie może jednak tracić czasu. Musi zdobyć informację jak

najszybciej. Bo jeżeli Adams nastroił na niego detektor, a na pewno tak zrobił, już wiedzą o jego powrocie na Ziemię.

Znowu pojawiła się dawna, dręcząca, pełna zdziwienia myśl o Adamsie. Skąd wiedział, że wraca, i dlaczego zastawił na mego pułapkę? Co sprawiło, że wydał rozkaz jego natychmiastowego zabicia?

Ktoś do Adamsa dotarł... Ktoś, kto mógł okazać mu i dowody. Adams nie zadowoliliby się byle czym - musiał mieć niezbite dowody. Jediną osobą, która mogłaby udzielić mu takich informacji, był ktoś z przyszłości. Może jeden z tych, którzy uznali, że książka nie powinna zostać napisana, nie może zaistnieć i zawartą w niej wiedzę trzeba zatrzeć na zawsze? A czyż mogło być prostsze rozwiązanie niż śmierć człowieka, który miał ją napisać?

Ale jednak książka została napisana. Ona już istnieje, zawarte w niej przesłanie poznała już cała Galaktyka.

Byłoby katastrofą, pomyślał Sutton, gdyby nie została napisana, nigdy nie zaistniała i cały olbrzymi fragment przyszłości, na który miała jakikolwiek wpływ, zostałyby zmaszany razem z nią - książką, której nie było.

Nie można do tego dopuścić, postanowił.

A to oznacza, że Asher Sutton nie powinien, nie może umrzeć, zanim nie powstanie jego dzieło.

Albo cała przyszłość okaże się kłamstwem.

Wzruszył ramionami. Zagmatwany labirynt logiki przekraczał jego zdolności rozumowania. Nie było punktu zaczepienia, precedensu, na którym można by było oprzeć całą strukturę przyczyn i skutków.

Alternatywna przyszłość? Może, ale to mało prawdopodobne. Alternatywna przyszłość była fantazją wykorzystującą

semantyczne kręactwa. Sprytnie zamaskowanym sofizmatem.

Przeszedł przez drogę i ruszył ścieżką w stronę domu stojącego na wzgórzu.

Na mokradłach w dole rzeki żaby rozpoczęły swój koncert, gdzieś daleko dzika kaczka zakwakała w ciemności. Wśród wzgórz gromadziły się na noc lelki. Aromat świeżo skoszonej trawy wisiał ciężko w powietrzu, a zapach nocnej mgły znad rzeki wpełzał między pagórki.

Ścieżka kończyła się przy patio i Sutton zaczął przez nie iść.

Za jego plecami rozległ się męski głos.

- Dobry wieczór panu.

Odwrócił się gwałtownie.

Dopiero teraz zauważył tego człowieka. Mężczyznę siedzącego w fotelu i palącego fajkę pod wieczornymi gwiazdami.

- Przykro mi, że pana niepokoję - oznajmił Sutton - ale czy mógłbym skorzystać z pańskiego widofonu?

- Oczywiście, Ash - odparł Adams. - Oczywiście. Co tylko sobie życzysz.

Sutton popatrzył, oszołomiony.

Adams!

Spośród wszystkich domów nad rzeką wybrał należący do Adamsa!

- Przeznaczenie działa przeciwko tobie, Ash - roześmiał się cicho gospodarz. Sutton ruszył przed siebie, znalazł fotel i usiadł.

- Ma pan przyjemny dom.

- Bardzo przyjemny - zgodził się Adams.

Wystukał popiół z fajki i włożył ją do kieszeni.

- A więc znowu umarłeś - stwierdził.

- Zostałem zabity - wyjaśnił Asher. - I niemal natychmiast ożyłem.

- Któryś z moich chłopców? - spytał Adams. - Polują na ciebie.

- Paru obcych. Z gangu Morgana.

Gospodarz pokręcił głową.

- Nie znam tego nazwiska.

- Pewnie się nie przedstawił - zakpił Sutton “ - Powiedział panu, że wracam.

- Tak właśnie było - przytaknął Adams. - Człowiek z przyszłości. Zaniepokoiłeś go, Ash.

- Muszę skorzystać z widofonu.

- Bardzo proszę.

- I potrzebuję godziny.

Adams pokręcił głową.

- Nie mogę ci jej dać.

- W takim razie pół godziny. Może mi się udać. Pół godziny od momentu, gdy skończę rozmowę.

- Ani nawet pół godziny.

- Nigdy nie grałeś, Adams?

- Nigdy.

- A ja tak - odparł Sutton i wstał. - Gdzie jest wizor? Mam zamiar zaryzykować.

- Siadaj, Ash - polecił niemal łagodnym tonem Adams. - Usiądź i powiedz mi coś.

Asher uparcie stał.

- Czy możesz dać mi słowo - kontynuował Adams - że cała ta historia z przeznaczeniem nie zaszkodzi Człowiekowi? Czy możesz obiecać, że nie pomoże i nie udzieli wsparcia naszym nieprzyjaciołom?

- Człowiek nie ma nieprzyjaciół - odparł Sutton. - Oprócz tych, których sam stworzył.

- Galaktyka tylko czyha na naszą słabość - stwierdził jego

rozmówca. - Czekaj, aby się na nas rzucić.

- Bo tego właśnie ich nauczyliśmy - odrzekł Sutton. - Obserwowali, jak wykorzystywaliśmy przeciw nim ich własną słabość.

- Co uczyni przeznaczenie?

- Nauczysz człowieka pokory. Pokory i odpowiedzialności.

- To nie religia - ciągnął Adams. - Powiedział mi o tym Raven. Ale przypomina religię... z tym całym gadaniem o pokorze.

- Doktor Raven miał rację - przytaknął Sutton. - To nią jest religia. Jednakże przeznaczenie i religia mogą koegzystować w idealnej zgodzie. Nie rywalizują ze sobą. Raczej się uzupełniają. Przeznaczenie głosi te same treści co większość systemów religijnych, lecz nie obiecuje życia przyszłego. Pozostawia to właśnie religii.

- Ash - zapytał cicho Adams - czy znasz historię?

Sutton skinął głową.

- Pomyśl o niej. Przypomnij sobie krucjaty. Przypomnij powstanie islamu. Wspomnij Cromwella w Anglii. Niemcy i Amerykę. Rosję i Amerykę. Religie i idee, Ash. Religie i idee. Człowiek będzie walczył o ideę, kiedy nie zechce kiwnąć palcem za kraj, życie czy honor. Ale idea... to coś innego.

- Pan się boi idei.

- Nie stać nas na idee, Ash. Przynajmniej nie teraz.

- Ale przecież - odparł Sutton - istniały idee, dzięki którym ludzkość się rozwijała. Nie mielibyśmy kultury ani cywilizacji, gdyby nie idee.

- Teraz jednak - oznajmił z goryczą Adams - ludzie w przyszłości walczą z powodu twojego przeznaczenia.

- Dlatego właśnie muszę zadzwonić - stwierdził Asher. - Dlatego potrzebuję godziny.

Gospodarz wstał ciężko z fotela.

- Może popełniam błąd - powiedział. - Nie zrobiłem tego nigdy w życiu, lecz ten jeden jedyny raz zagram.

Poprowadził go przez patio do słabo oświetlonego pokoju zastawionego starymi meblami.

- Jonathon! - zawołał.

W korytarzu rozległy się kroki i do pokoju wszedł android.

- Przynieś parę kostek - oznajmił głucho Adams. - Pan Sutton i ja mamy zamiar zagrać.

- Parę kostek, proszę pana?

- Tak, te, w które grasz z kucharzem.

- Słucham, proszę pana - odparł Jonathon.

Odwrócił się i wyszedł. Sutton słuchał, jak w głębi domu cichną jego kroki.

Adams odwrócił się i popatrzył na niego.

- Każdy ma po jednym rzucie - zdecydował. - Wyższe wygrywają.

Sutton z napięciem kiwnął głową.

- Jeżeli wygrasz, dam ci godzinę - oświadczył Adams. - A jeśli wygram ja, spełnisz moje rozkazy.

- Chętnie zagram na takich warunkach - przystał Asher.

Myślał:

Wystartowałem zniszczonym statkiem z Łabędzia VII i przeleciałem nim przez kosmos. Byłem silnikiem i pilotem, dyszami rakietowymi i nawigatorem. Energia generowana przez moje ciało poruszyła kosmolot i przeniosła go przez przestrzeń... przez jedenaście lat świetlnych przestrzeni. Dziś w nocy, aby nikt mnie nie zauważył, sprowadziłem pojazd przez atmosferę, unieruchamiając silniki, i wylądowałem w rzece. Mogę bez dotknięcia ręką wyjąć książkę z regału i przenieść na stół, mogę

też przewracać kartki bez użycia palców.

Ale kostki? Kostki są inne. Toczą się tak szybko.

- Bez względu na to, czy wygrasz, czy przegrasz - usłyszał - będziesz mógł skorzystać z wizora.

- Jeżeli przegram - odparł Sutton - nie będzie mi potrzebny.

Jonathon wrócił i położył kostki na blacie stołu. Zawahał się przez chwilę, ale szybko się zorientował, że powinien opuścić pokój, odwrócił się więc i wyszedł.

Asher niedbałym gestem wskazał kostki.

- Pan pierwszy - zaproponował.

Adams wziął je, zamknął w dłoni i potrząsnął nimi; ich grzechotanie przypominało suche szczęknięcie zębów przestraszonego człowieka.

Jego pięść uniosła się nad stołem, palce się rozchyliły i po wypolerowanym blacie potoczyły się, wirując, małe białe sześciaki. Zatrzymały się. Na jednej kostce było pięć oczek, na drugiej sześć.

Adams podniósł oczy i popatrzył na Suttona. Nie było w nich niczego. Żadnego triumfu. Absolutnie nic.

- Twoja kolej - powiedział.

Ideał, pomyślał Asher. Tylko ideał. Dwie szóstki. Muszą być dwie szóstki.

Wyciągnął rękę, wziął kostki, potrząsnął nimi w pięści, a kiedy toczyły się w zagłębieniu dłoni, sprawdzał ich kształt i rozmiar.

A teraz obejmij je swoim umysłem, rozkazał sobie... Obejmij je umysłem, tak jak zrobiłeś to dłonią. Trzymaj je w umyśle, spraw, aby stały się częścią ciebie, zrób z nimi to samo co z dwoma statkami, którymi wędrowałeś przez przestrzeń, co możesz zrobić z krzesłem, książką czy kwiatem, który chciałbyś zerwać.

Zmienił się na chwilę; jego serce zamarło, krew wolniej

popłynęła w tętnicach i żyłach, oddech ustał. Poczuł, jak kontrolę nad nim przejmuje system energetyczny, drugie ciało czerpiące energię ze wszystkiego, co mogło ją mieć.

Jego umysł sięgnął, wziął kostki i potrząsnął nimi w zamknięciu dłoni. Opuścił łukiem rękę, rozłożył palce i kostki zatańczyły na stole.

Tańczyły również w jego mózgu i zobaczył je - a może wyczuł czy uświadomił sobie - tak, jakby były częścią jego samego. Wyobraził sobie po kolei boki z sześcioma punktami i wszystkie pozostałe.

Ale kostki ledwo poddawały się kontroli, były nieposłuszne, z trudem toczyły się tam, gdzie chciał, i przez kilka koszmarnych sekund wydawało mu się, że wirujące sześciiany mają własne umysły i osobowości.

Na jednej wypadła już szóstka, druga zaś wciąż jeszcze była w ruchu. Wprawdzie pojawiła się szóstka, ale kostka zakołysała się na krawędzi, grożąc, że potoczy się dalej. Dotknięcie, pomyślał Sutton. Tylko maleńkie dotknięcie. Ale siłą umysłu, nie zaś palcem. Pojawiła się szóstka. Obie kostki leżały obok siebie i na obu widniały szóstki. Asher, niemal łkając, nabrał powietrza w płuca i jego serce znowu zaczęło bić, a krew płynąć w żyłach. Przez chwilę stali w milczeniu, patrząc na siebie nad stołem. Pierwszy odezwał się Adams. Mówił spokojnie i z jego tonu trudno byłoby odgadnąć, co przeżywa.

- Wizor jest tam - wskazał.

Sutton skłonił się lekko, czując się dość idiotycznie, jak bohater jakiegoś niewiarygodnie starego i niedobrego romansidła.

- Przeznaczenie - powiedział - wciąż działa na moją korzyść. Kiedy sytuacja staje się trudna, do akcji wkracza przeznaczenie.

- Twoja godzina - rzekł Adams - zacznie się w chwili, gdy

skończysz mówić.

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł przez patio, sztywny i wyprostowany.

Teraz, kiedy już zwyciężył, Sutton poczuł się nagle słabo. Idąc do widofonu, miał wrażenie, że nogi ma jak z waty. Usiadł przed wizorem i wziął potrzebny tom książki numerów. INFormacja. Podrozdział: Geografia historyczna, Ameryka Północna. Odnalazł numer, wybrał go i ekran przed nim się rozjarzył.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał robot.

- Chciałbym się dowiedzieć - poprosił - gdzie leżał Wisconsin.

- Jaka jest pańska obecna lokalizacja?

- Rezydencja pana Christophera Adamsa.

- Pana Adamsa z Galaktycznego Wydziału Śledczego?

- Tak.

- W takim razie - odparł robot - jest pan właśnie w Wisconsin.

- A Bridgeport?

- Znajdował się nad rzeką Wisconsin, na jej północnym brzegu, siedem mil powyżej ujścia do Missisipi.

- Co to za rzeki? Nigdy o nich nie słyszałem.

- Niedaleko od pana. Wisconsin wpada do Missisipi tuż poniżej punktu, w którym pan przebywa.

Sutton wstał niepewnie, przeciął pokój i wyszedł na patio.

Adams zapalał fajkę.

- Udało ci się? - zapytał.

Asher skinął głową.

- No, to ruszaj - oznajmił gospodarz. - Twoja godzina się zaczęła.

Sutton się zawahał.

- O co chodzi, Ash?

- Zastanawiam się - odrzekł - zastanawiam się, czy poda mi

pan rękę.

- Ależ oczywiście - odparł Adams.

Wstał majestatycznie i wyciągnął rękę.

- Doprawdy nie wiem - powiedział. - Albo jesteś najwspanialszym człowiekiem, albo największym durniem, jakiego widziałem w całym swoim życiu.

Bridgeport spał w otoczonej skałami niszy, nad wartko płynącą rzeką. Słońce napełniało przestrzeń między pokrytymi drzewami zboczami żarem, który zdawał się wypalać z wszystkiego ostatnią kroplę życia i energii: z nadszarpniętych zębem czasu domów, z pyłu pokrywającego ulice, z krzaków o zwiniętych liściach i klombów z podwiędłymi kwiatami.

Tory kolejowe okręzały urwisko i wchodziły do miasta, a potem okręzały następne i znikaly; ich krótki, prowadzący znikąd donikąd odcinek lśnił w słońcu jak świeżo naostrzony nóż. Między torami i rzeką drzemała stacja kolejowa, prostokątny budynek, który zdawał się garbić dla ochrony przed letnim upałem i zimowym mrozem od tak wielu już lat, że obecnie - zapuszczony i stary - chylił się ku ruinie, czekając na następny kaprys pogody lub losu.

Sutton stał na peronie i przysłuchiwał się rzece: pluskowi i bełkotaniu maleńkich wirów tańczących wzdłuż brzegu, bulgotaniu wody opływającej ukrytą pod nią kłodę drewna, delikatnych szelestów wodnych palców chwytających witki zwisającej nad powierzchnią gałęzi. A przede wszystkim przebijającego się przez pozostałe dźwięki prawdziwego głosu rzeki... mowy skierowanej do lądu, dźwięku składającego się z wielu innych dźwięków, głębokiego, stłumionego ryku, który mówił o sile i zdecydowaniu.

Uniósł głowę i, zmrużywszy oczy, popatrzył pod słońce, aby dostrzec potężne metalowe przęsło, które spinało kłamrą rzekę, sięgając od szczytu urwiska do znajdującej się na drugim brzegu

nasypu szosy biegnącej wzdłuż wznoszącej się lekko doliny.

Człowiek spinał rzekę wielkimi klamrami ze stali i nigdy nie wsłuchiwał się w jej głos. Człowiek przeskakiwał morze na skrzydłach napędzanych gładkimi, smukłymi silnikami i grzmot fal ginał pod pustą kopułą nieba. Człowiek przekraczał kosmos w metalowych cylindrach, które zniekształcały czas i przestrzeń, i przenosiły go wraz z jego cudownymi machinami po szlakach matematyki teoretycznej, o których nawet nie marzono w tym świecie Bridgeportu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku.

Człowiek spieszył się i docierał za daleko i za szybko. Tak daleko i tak szybko, że nie zauważał wielu rzeczy... Spraw, których studiowanie wymagało czasu... Problemów, którym kiedyś w przyszłości poświęci czas. Któregoś dnia Istota Ludzka cofnie się po przebytych szlaku i spróbuje ogarnąć myślą wszystko, czego niegdyś nie dostrzegą, i przemyśli lata utracone przez swoją niewiedzę..

Sutton zszedł z peronu i odnalazł ledwo widoczną ścieżkę, prowadzącą w dół, do rzeki. Stąpał po niej ostrożnie, bo jej grunt był miękki, osypywał się i sterczały w nim kamienie, które trzeba było omijać, żeby się nie potknąć.

A na końcu ścieżki spotkał starego człowieka.

Staruszek siedział na niewielkim głazie, tkwiącym w przybrzeżnym mule, i trzymał na kolanach bambusową wędkę. Cuchnąca fajka sterczała pomiędzy dwutygodniowym siwiejącym zarostem, a gliniany dzban zatkany kaczanem kukurydzy zamiast korka stał obok niego, w zasięgu ręki.

Sutton usiadł ostrożnie na brzegu nie opodal głazu i napawał się chłodem cienia rzucanego przez drzewa i krzewy, jakże przyjemnym po okrutnym żarze słońca w miasteczku oddalonym

zaledwie o kilka prętów od tego miejsca.

- Złowił pan coś? - zapytał.

- Nie - odparł staruszek.

Pykał fajkę i Asher przyglądał się temu w pełnym fascynacji milczeniu. Można by przysiąc, powiedział sobie w duchu, że jego splątany zarost płonie.

- Wczoraj też niczego nie złowiłem - oświadczył starzec.

Wyjął fajkę z ust wolnym, pełnym namysłu gestem i ze skoncentrowaną miną splunął w sam środek rzeczno-wiru.

- I przedwczoraj też nic - dodał.

- A chciałby pan złowić? - spytał Sutton.

- Nie - odparł dziadek.

Opuścił rękę, podniósł dzban, wyciągnął kaczan kukurydzy i starannie wytarł szyjkę naczynia brudną ręką.

- Łyknij pan - zaproponował, podając dzbanek.

Sutton wziął naczynie i, patrząc na brudną dłoń, poczuł, że go mdli. Ostrożnie jednak podniósł je do ust.

Płyn chlusnął mu w usta i spłynął w głąb gardła. Przypominał zaprawiony gorczyczą płynny ogień, z uzupełniającym bukiet lekkim posmakiem siarki.

Asher oderwał dzbanek od warg i odstawił go na bok. Siedział z szeroko otwartymi ustami, aby je ochłodzić i usunąć z nich koszmarny smak.

Stary człowiek zabrał naczynie, a Sutton otarł łyzy spływające mu po policzkach.

- Nie jest taki, jaki powinien być - oznajmił przeproszającym tonem staruszek. - Ale nie mam czasu się z tym bawić.

Pociągnął łyk, wytarł usta grzbietem dłoni i sapnął z zadowoleniem. Przelatujący nie opodal motylek padł martwy na ziemię. Dziadek wysunął nogę i odepchnął go.

- Słabiak - oświadczył.

Odstawił dzban i zatkał go korkiem.

- Jesteś pan obcy, no nie? - zapytał. - Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek tu pana widział.

Asher skinął głową.

- Szukam kogoś, kto się nazywa Sutton. John H. Sutton.

Staruszek zachichotał.

- Starego Johna, co? Razem wyrastaliśmy. Najsprytniejszy drań, jakiego kiedykolwiek znałem. Nie dałbym za starego Johna nawet złamanego centa. Poszedł na prawo i skończył nauki. Ale nic z tego nie miał. Siedzi teraz na swojej farmie za rzeką, tam na łańcuchu wzgórz.

Zerknął na przybysza.

- Nie jesteś pan jakimś jego krewniakiem, co?

- No cóż - odparł Asher. - Niezupełnie. W każdym razie niezbyt bliskim.

- Jutro będzie czwarty - oznajmił staruszek. - Pamiętam, jak kiedyś czwartego wysadziliśmy razem z Johnem dren w dolinie Campbella. Znaleźliśmy trochę dynamitu, którego drogowcy używali do wysadzania przeszkód. Przyszło nam do głowy, że huk będzie większy, jak to zamkniemy. Napchaliśmy więc dynamitu do rury po drenie i zapaliliśmy długi lont. Panie, ale rypnęło. Pamiętam też, jakie manto spuścili nam za ten wyczyn nasi ojcowie.

Prosto w dziesiątkę, pomyślał Sutton. John H. Sutton jest tam, za rzeką, a jutro jest czwarty lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, tak jak napisał w liście. I nawet nie musiałem pytać. Stary sam mi o wszystkim opowiedział.

Żar słońca odbijał się od powierzchni rzeki, ale tu, pod drzewa,

docierała zaledwie znikoma jego część. Po wodzie płynął liść, na którym siedział konik polny. Owad próbował skoczyć na brzeg, ale mu się nie udało - porwał go prąd i połknął.

- Nie miał najmniejszej szansy - orzekł starzec. - Mówię o pasikoniku. Najzłośliwsza rzeka w całych Stanach Zjednoczonych, ta stara Wisconsin. Nie można jej ufać. Dawno temu usiłowali puszcząć po niej parowce, ale im się nie powiodło, bo w miejscu, w którym jednego dnia był tor wodny, następnego znajdowała się mielizna. Prąd strasznie przesuwa piasek. Kiedyś facet z rządu napisał o niej raport. Uznał, że jedynym sposobem na wykorzystanie Wisconsin do żeglugi byłoby ją przykryć i zacementować.

Z góry dobiegł łoskot samochodów przejeżdżających przez most. Sapiąc i zgrzytając, przetoczył się długi pociąg towarowy przemierzający całą dolinę. Jeszcze długo potem Asher słyszał jego syrenę porykującą przed jakimś niewidocznym przejazdem jak potępiona dusza.

- Przeznaczenie - odezwał się znów starzec - na pewno nie sprzyjało temu pasikonikowi, no nie?

Sutton wyprostował się gwałtownie i wykrztusił:

- Co pan powiedział?

- Nie zwracaj pan na mnie uwagi. Ciągle coś do siebie mruczę. Czasami ludzie mnie słyszą i myślą, że jestem wariat.

- Przeznaczenie? Wspomniał pan coś o przeznaczeniu.

- Interesuję się nim, chłopcze. Kiedyś napisałem o nim opowiadanie. Niewiele było warte. To opowiadanie. Bo musisz wiedzieć, że w młodości bawiłem się pisaniem.

Sutton rozluźnił się i odchylił do tyłu.

Ważka przeleciała tuż nad lustrem wody. Daleko przy drugim brzegu mała rybka wyskoczyła nad wodę, pozostawiając

rozszerzające się kręgi na powierzchni.

- A jeżeli chodzi o łowienie ryb - rzekł Asher - wygląda na to, że nie zależy panu na tym, by coś złapać.

- Raczej nie - odparł staruszek. - Jak się coś złowi, trzeba zdjąć rybę z haczyka, potem założyć przynętę i znowu zarzucić wędkę. A potem oczyścić rybę. Cholernie dużo roboty.

Wyjął fajkę z ust i splunął do wody.

- Czytałeś kiedyś Thoreau, synu?

Sutton pokręcił głową, intensywnie myśląc. Przypomniał sobie nazwisko. W wypisach z historii literatury starożytnej w college'u był jakiś jego fragment. Tylko tyle pozostało z czegoś, co uważano za wartościowe dzieło.

- Powinieneś, wiesz? - stwierdził staruszek. - Ten Thoreau miał dobry pomysł.

Asher wstał i otrzepał spodnie.

- Posiedź pan jeszcze - zaproponował stary. - Wcale mi pan nie przeszkadzasz. Ani trochę.

- Muszę już iść - odparł Sutton.

- Odszukaj mnie pan kiedyś - powiedział staruszek. - Moglibyśmy trochę pogadać. Mam na imię Cliff, ale wołają mnie teraz Stary Cliff. Po prostu spytaj pan o Starego Cliffa. Każdy mnie zna.

- Któregoś dnia - obiecał uprzejmie Sutton - na pewno tak zrobię.

- A może jeszcze jeden łyceczek, zanim pan pójdzie?

- Nie, dziękuję - odparł, cofając się przezornie. - Bardzo dziękuję.

- No cóż - rzekł staruszek. Podniósł dzbanek i pociągnął z bulgotem długi łyk. Odstawił naczynie i odetchnął głęboko, ale tym razem nie wyglądało to tak widowiskowo - w pobliżu

bowiem nie było żadnego motyla.

Sutton wspiął się na zbocze, w słoneczny żar.

- Oczywiście - potwierdził zawiadowca stacji. - Suttonowie mieszkają po drugiej stronie rzeki, w hrabstwie Grant. Można tam dojść kilkoma drogami. Którą pan wybiera?

- Najdłuższą - odpowiedział Asher. - Nie spieszy mi się.

Księżyc już wstawał, kiedy wszedł na wzgórze, kierując się w stronę mostu.

Nie spieszył się. Miał przed sobą całą noc.

Okolica była dzika... dziksza niż wszystko, co Sutton kiedykolwiek widział na jego rodzinnej Ziemi, pełnej strzyżonych trawników, przyciętych drzew, podlewanych parków. Spadzisty teren wyglądał, jakby spoczywał na ostrzu noża. Pokrywały go wielkie głazy, sprawiające wrażenie rzuconych gniewną ręką jakiegoś giganta w zapomnianych już czasach. Potężne urwiska piętrzyły się w górę, osłaniane przez olbrzymie drzewa, które kiedyś chyba próbowały dorównać ogromowi skalistych zboczy. Teraz jednak stały zwyciężone, zadowolając się tym, że są niższe od urwisk, ale wciąż trwają z cierpliwością i dumą, których nauczyły się niewątpliwie w minionych czasach. Letnie kwiaty gnieździły się między porzrzuconymi głazami albo tuliły się do pokrytych mchem pagórków na korzeniach wielkich drzew. Gdzieś na gałęzi siedziała wiewiórka i trajkotała na wpół ze złością, na wpół z zachwytem do wstającego słońca.

Sutton zmierzał od nadrzecznej drogi, pnąc się w górę wzdłuż skalistego wąwozu. Niekiedy szedł wyprostowany, ale głównie posuwał się na czworakach, niemal czołgając się po zboczu.

Często się zatrzymywał i odpoczywał, wbijając obcasy w ziemię, opierając plecami o pień drzewa i ocierając pot ściekający mu po twarzy. Płynąca w dolinie rzeka, która zdawała się brudna i mulista, kiedy szedł drogą, teraz nabrała błękitu rywalizującego z kolorem odbijającego się w niej nieba. Powietrze nad jego głową było krystalicznie czyste; czystsze, niż kiedykolwiek widział. Sokół zanurkował przez przestrzeń oddzielającą błękit nieba od błękitu rzeki i Asherowi wydało się,

że dostrzega każde pióro złożonych skrzydeł.

W pewnym momencie ujrzał między drzewami szczelinę w stoku urwiska i zorientował się, że jest to miejsce, o którym stary John Sutton wspominał w swoim liście.

Słońce stało nisko nad horyzontem, ale miał jeszcze czas. Wciąż miał czas, ponieważ John Sutton rozmawiał z mężczyzną tylko mniej więcej przez dwie godziny, a potem poszedł na obiad.

Od tego momentu, widząc już miejsce, do którego zmierzał, Asher przestał się spieszyć. Dotarł do szczytu i odnalazł nadający się do siedzenia gład, o którym wspominał jego dawny przodek.

Usiadł na nim i popatrzył na dolinę, rozkoszując się cieniem. Wokoło panował spokój, tak jak opisywał John Sutton. Spokój i kojący majestat rozpościerającego się przed nim widoku... Dziwny trójwymiarowy charakter przestrzeni, która jak żywa wisiała nad doliną rzeki. A także uczucie dziwności, dziwności oczekiwanych... i nieoczekiwanych... wydarzeń.

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że jest dopiero wpół do dziesiątej. Wstał z gładu, położył się wśród zarośli i zaczął. Niemal natychmiast rozległ się cichy, łagodny syk silnika i mały jednomiejscowy statek zniżył się ukośnym lotem nad drzewami, a potem wylądował na pastwisku, tuż przy ogrodzeniu.

Wysiadł z niego mężczyzna i oparł się o burtę, spoglądając na niebo i drzewa, jakby upewniając się, że istotnie dotarł do celu.

Sutton roześmiał się cichutko do siebie. Scenografia gotowa. Nieoczekiwane lądowanie uszkodzonego statku... i nie trzeba wyjaśniać swojej obecności. Wystarczy poczekać na człowieka, który tu przyjdzie, i porozmawiać z nim. Zupełnie oczywista sytuacja. Nie trzeba go szukać, sam cię zauważy, podejdzie i oczywiście zacznie rozmowę. Nie musisz przychodzić drogą, pukać do drzwi i mówić:

“Przybyłem zebrać wszystkie skandale, wszelkie brudy o rodzinie Suttonów. Czy mógłbym usiąść i porozmawiać z panem?”

Zamiast tego możesz wylądować uszkodzonym statkiem na pastwisku i pogadać najpierw o kukurydzy, pastwisku, pogodzie i trawie, a potem przejść do osobistych i rodzinnych spraw. Mężczyzna wyjął już klucz francuski i zaczął krzątać się przy statku.

Pewnie zbliżała się właściwa pora.

Asher uniósł się na łokciach i popatrzył przez gęste gałęzie krzewu leszczyny.

John H. Sutton schodził ze wzgórza. Był tęgi, z podstrzyżoną białą brodą i w starym czarnym kapeluszu, a jego kołyszący się chód miał w sobie coś lekko wyzywającego.

A więc niepowodzenie, pomyślała Eva Armour. Tak właśnie odczuwamy niepowodzenie: suchość gardła, ciężkie serce i zmęczony umysł.

Jestem rozgoryczona, powiedziała sobie, i mam do tego prawo. Ale zmęczenie próbami i niepowodzeniem przyćmiło to uczucie.

- Psychodetektor w gabinecie Adamsa przestał funkcjonować - oznajmił Herkimer i wyłączył wizor. Ekran zgasł.

Nie było śladu Ashera, a detektor przestał działać. Oznaczało to, że Sutton nie żyje, ale przecież nie mógł umrzeć, bo napisanie przez niego książki było historycznym faktem. A jeszcze jej nie napisał.

Z drugiej jednak strony historii nie należało do końca ufać. Mogły nastąpić pomyłki, coś mogło być źle przepisane, źle zinterpretowane albo ktoś upiększył wydarzenia, powodowany bujną, choć niewłaściwie ukierunkowaną fantazją. Tak trudno jest trzymać się prawdy, lecz mity i fałszerstwa łatwo ożywić i sprawić, by były bardziej logiczne i łatwiejsze do przyjęcia niż rzeczywistość.

Eva zdawała sobie sprawę, że połowa historii Suttona musi być apokryfem. Ale na pewno zawierała wiele autentycznych faktów..

Ktoś napisał książkę - na pewno Asher, ponieważ nikt inny nie zdołałby odcyfrować języka, w którym napisano notatki, słowa zaś tchnęły szczerością jego samego.

Sutton umarł, ale nie na Ziemi ani w Układzie Słonecznym i nie w wieku sześćdziesięciu lat, lecz na planecie krążącej wokół

jakiejś odległej gwiazdy wiele, wiele lat później.

Istniały prawdy, których nie sposób było zafałszować. Istniały prawdy, które trwały, dopóki ktoś ich nie obalił.

Detektor jednak przestał działać.

Eva wstała z fotela, przeszła przez pokój i stanęła przy oknie, z którego rozpościerał się widok na wypielęgnowane otoczenie "Herbu Oriona". Świetliki rozbłyskiwały w krzewach krótkimi zimnymi płomykami, a późny księżyc wyłaniał się zza chmury przypominającej łagodne wzgórze.

Tyle pracy, pomyślała. Tak wiele lat planowania. Androidy ze znakami na czole, stworzone tak, aby dokładnie przypominały ludzi, których zastępowały. I inne androidy, które wprawdzie miały tatuaż na czołach, ale nie zostały wykonane w laboratoriach osiemdziesiątego wieku. Przemysłne szpiegowskie sieci czekające na dzień powrotu Suttona. Lata deszyfrowania informacji z przeszłości, połączone z próbami oddzielenia prawdy od półprawd i absolutnych pomyłek.

Lata obserwacji i oczekiwań, walki z kontrwywiadem Rewizjonistów, przygotowywanie wszystkiego na dzień akcji. I ostrożność, wieczna ostrożność. Osiemdziesiąty wiek nie mógł o niczym wiedzieć ani nawet się domyślać.

Ale istniały nieprzewidziane czynniki. Morgan cofnął się w czasie i powiedział Adamsowi, że Suttona należy zabić. Na asteroidzie umieszczono dwóch ludzi. Z drugiej jednak strony te dwa czynniki nie były wyłącznie odpowiedzialne za wszystko, co się zdarzyło. Gdzieś musiał zaistnieć jeszcze jeden.

Stała przy oknie, patrząc na wstający księżyc, i zmarszczyła z namysłem czoło. Ale była zbyt zmęczona. Nic nie przychodziło jej do głowy. Oprócz myśli o przegranej. Przegrana tłumaczyłaby wszystko.

Sutton mógł zginąć i byłoby to klęską, ostateczną klęską. Zwycięstwo biurokracji, zbyt ostrożnej i podstępnej, aby wzmóc wysiłki w walce o książkę. Biurokracji, która dążyła do zachowania status quo, pragnąc jednocześnie zatrzymać intelektualny dorobek stuleci tylko po to, aby bezpiecznie utrzymać swoją dominację w Galaktyce.

Zdawała sobie sprawę, że taka klęska byłaby gorsza niż zwycięstwo Rewizjonistów. W razie bowiem ich wygranej książka mimo wszystko by istniała, razem z zawartą w niej nauką o przeznaczeniu Człowieka. A to, powiedziała do siebie, byłoby lepsze niż całkowity brak świadomości przeznaczenia. Za jej plecami zabrzączał widofon. Odwróciła się gwałtownie i szybkim krokiem przeszła przez pokój.

- Dzwonił pan Sutton - oznajmił robot. - Pytał o Wisconsin.

- Wisconsin?

- Dawna nazwa geograficzna - wyjaśnił robot. - Pytał o miejscowość Bridgeport w Wisconsin.

- Sprawiał wrażenie, że się tam wybiera?

- Raczej tak - stwierdził robot.

- Powiedz szybko - poleciała Eva - gdzie jest ten Bridgeport?

- W odległości pięciu czy sześciu mil i przynajmniej czterech tysięcy lat.

Westchnęła głęboko.

- W czasie?

- Tak, proszę pani, w czasie.

- Powiedz mi dokładnie - poprosiła, ale robot pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie zdołałem ustalić. W jego umyśle panował wielki zamęt. Przed chwilą przeżył bardzo trudne chwile.

- A więc nie wiesz?

- Nie przejmowałbym się na pani miejscu - oznajmił robot. -

Sprawiał wrażenie człowieka, który dobrze wie, co robi. Na pewno mu się uda.

- Jesteś tego pewien?

- Całkowicie - stwierdził robot.

Eva wyłączyła wizor i wróciła do okna.

Ash, pomyślała. Ash, kochanie, po prostu musisz być bezpieczny. Musisz wiedzieć, co robisz. Musisz wrócić do nas i napisać książkę, i...

Nie tylko dla mnie, snuła swe myśli dalej. Nie tylko dla mnie, bo ja mam najmniej praw do ciebie. Prawo do ciebie ma Galaktyka, a kiedyś może cały wszechświat. Małe egzystencje czekają na twoje słowa, na nadzieję i godność, które ze sobą niosą. Tak, przede wszystkim godność. Bo godność jest ważniejsza od nadziei. Godność równości i przekonanie, że wszystkie formy życia istnieją na równych prawach. Życie jest jedyną liczącą się sprawą i świadczy o większym braterstwie, niż kiedykolwiek umysł Człowieka mógł sobie wyobrazić.

A ja, powiedziała do siebie, nie mam prawa tak myśleć, tak czuć.

Ale nic nie mogę na to poradzić, Ash.

Nie mogę nic poradzić, że cię kocham, Ash.

Któregoś dnia, pomyślała. Kiedyś...

Stała wyprostowana, samotna, a spod jej powiek płynęły po policzkach łzy. Nie podniosła jednak ręki, aby je otrzeć.

Marzenia, powiedziała. Zniweczone marzenia są przykre. Ale beznadziejne marzenia... marzenia skazane w zarodku... takie są najgorsze.

Suchy patyk trzasnął pod nogą Suttona i mężczyzna z kluczem francuskim powoli się odwrócił. Na jego twarzy natychmiast pojawił się układny uśmiech, by ukryć zaskoczenie, które błysnęło w jego oczach.

- Dobry wieczór - odezwał się Asher Sutton.

John H. Sutton był maleńkim punkcikiem, który prawie już dotarł do szczytu wzgórza. Słońce przekroczyło zenit i opadało ku zachodowi. W głębi doliny rzeki krakało pół tuzina wron i dźwięk ten dobiegał jakby spod ziemi.

Mężczyzna wyciągnął do niego rękę - Pan Sutton, prawda? - zapytał. - Sutton z osiemdziesiątego.

- Odłóż klucz - zażądał Asher.

Mężczyzna udał, że go nie dosłyszał.

- Nazywam się Dean - oznajmił. - Arnold Dean. Jestem z osiemdziesiątego czwartego.

- Rzuć klucz - powtórzył Sutton i Dean upuścił narzędzie na ziemię. Asher przesunął je czubkiem buta tak, by znalazło się poza zasięgiem rozmówcy.

- Tak będzie lepiej - powiedział. - A teraz usiądźmy i porozmawiajmy.

Dean zrobił gest kciukiem.

- Starszy pan tutaj wróci - ostrzegł. - Zacznie się zastanawiać i wróci. Ma mnóstwo pytań, których zapomniał zadać.

- Zajmie mu to trochę czasu - odparł Sutton. - Najpierw zje obiad i utnie sobie drzemkę.

Dean mruknął i usiadł, opierając się plecami o burtę statku.

- Czynniki losowe - stwierdził. - Oto, co zakłóca szczegóły. Jest pan takim właśnie czynnikiem losowym, Sutton. Nie takie były plany.

Asher przysiadł i podniósł klucz francuski. Zważył go w ręku. Krew, pomyślał. Zanim dzień się skończy, będzie z jednej strony zakrwawiony.

- Proszę mi powiedzieć - zaczął Dean. - Teraz jest pan tutaj, co zamierza pan dalej?

- Spokojnie - odparł Sutton. - Najpierw ty mi coś powiesz. Coś, co mnie interesuje.

- Dobrze - zgodził się Dean.

- Powiedziałaś, że przybyłaś z osiemdziesiątego czwartego. Którego roku?

- Osiemdziesiątego trzeciego - osiemdziesiątego szóstego. Na pańskim jednak miejscu wybrałbym się trochę dalej. Znalazłby pan tam nieco więcej interesujących spraw.

- Ale według ciebie nie uda mi się dostać nawet tam? Sądzisz, że wygracie?

- Oczywiście - odparł Dean.

Sutton grzebał kluczem w ziemi.

- Kiedyś - rzekł - natknąłem się na człowieka, który nieco później umarł. Rozpoznał mnie i zrobił palcami znak.

Dean Splunął.

- Android - stwierdził. - Uwielbiają pana, Sutton. Modlą się do pana, bo pan ich rozumie, bo dał im pan nadzieję, której mogą się trzymać. Bo dał im pan szansę dorównania Człowiekowi.

- Sądzę - powiedział Asher - że nie wierzy pan w to, co napisałem.

- A czy powinienem?

- Ja wierzę.

Dean milczał.

- Wzięliście napisaną przeze mnie książkę - stwierdził spokojnie Sutton - i próbujecie dzięki niej stworzyć jeszcze jeden szczebel w drabinie próżności Człowieka. Nic z tego nie zrozumieliście. Nie macie poczucia przeznaczenia, bo nie daliście przeznaczeniu najmniejszej szansy.

Mówiąc te słowa, poczuł się strasznie głupio, ponieważ za bardzo przypominało to kazanie. Tak się niegdyś mówiło się o wierze, która wtedy była jedynie słowem; dopiero później stała się siłą, z którą należy się liczyć. Zachowywał się jak jeden ze starodawnych, wymachujących Biblią kaznodziejów, którzy nosili wysokie buty, mieli rozczochrane szpakowate włosy i rozłożyste brody poplamione tytoniowym sokiem.

- Nie mam zamiaru cię pouczać - dodał, zły, że Deanowi tak łatwo udało się zepchnąć go do defensywy. - Nie chcę wygłaszać kazań. Albo wierzy się w przeznaczenie, albo nie. Jeżeli o mnie chodzi, nie kiwnę nawet palcem, żeby przekonać choć jednego człowieka. Możesz je przyjąć lub odrzucić... Dla mnie jest to zupełnie obojętne.

- Sutton - odezwał się mężczyzna - bije pan głową w mur. Nie ma pan najmniejszych szans. Walczy pan z rodzajem ludzkim. Cała rasa ludzka jest przeciwko panu. Popiera pana tylko grupa zakichanych androidów i kilku ludzkich renegatów... takich, którzy zawsze skupiali się wokół dawnych kultów.

- Imperium opiera się na androidach i robotach - oznajmił Asher. - One mogą was doprowadzić do zguby, kiedy tylko zechcą. Bez nich nie zdołalibyście utrzymać ani centymetra ziemi poza granicami Układu Słonecznego.

- W dalszym ciągu pomagają nam w sprawach imperium - odparł pewnym siebie tonem Dean. - Mogą z nami walczyć, jeżeli

chodzi o przeznaczenie, ale trzymają się nas, ponieważ inaczej nie daliby sobie rady. Wie pan przecież, że nie potrafią się rozmnażać. I nie potrafią tworzyć siebie nawzajem. W podtrzymaniu swojej rasy i zastępowaniu tych, którzy zostali wyeliminowani, zależą od nas, ludzi. Dopóki android nie będzie mógł stworzyć drugiego androida, będą się nas trzymać i dla nas pracować. W przeciwnym razie zginą.

- Nie mogę pojąć - rzekł Sutton - w jaki sposób odróżniacie te, które z wami walczą, od tych, które z wami współpracują.

- Na tym polega cały ten cholerny problem - westchnął Dean. - Nie rozróżniamy. Gdyby nam się to udało, szybko zakończylibyśmy tę paskudną wojnę. Android, który wczoraj z nami walczył, dzisiaj może nam czyścić buty. Ale w jaki sposób go zidentyfikować? Nie mamy szans.

Podniósł kamyczek i cisnął go w trawę pastwiska.

- Sutton, to wystarczy, żeby dostać kręćka. Właściwie nie toczą się żadne bitwy. Tylko podjazdowe potyczki tu i ówdzie, kiedy jedna niewielka grupa bojowa wysłana w celu dokonania korektury czasowej zostaje przechwycona przez inną grupę bojową, wysłaną przez drugą stronę, aby jej przeszkodzić.

- Tak jak ja przechwyciłem ciebie - stwierdził Asher.

- Aha... - mruknął Dean i nagle się rozpromienił. - No tak - powiedział. - Tak jak mnie pan przechwycił.

Siedział, opierając się plecami o maszynę, i rozmawiał spokojnie, jakby tylko na tym mu zależało, aż nagle jego ciało rozmazało się w błyskawicznym ruchu do góry i do przodu, w skoku skierowanym w stronę trzymanego przez Suttona klucza.

Asher zareagował instynktownie. Oparł mocniej stopy o ziemię, napiął mięśnie nóg, chcąc się podnieść; jego dłoń zaczęła cofać narzędzie.

Ale Dean miał bezcenny ułamek sekundy przewagi.

Sutton poczuł, że wyrwano mu klucz z ręki, i zobaczył, jak błyska teraz w słońcu, wzniesiony do ciosu. Próbował zrobić unik, osłonić ramionami głowę, dostrzegł przy tym, jak wargi Deana poruszają się, mówiąc:

- I myślał pan, że to się uda!

W jego głowie eksplodowała fala bólu i w jednej, pełnej zaskoczenia chwili zorientował się, że pada, a ziemia pędzi mu prosto w twarz. Potem nie było już ziemi, tylko mrok, przez który leciał całą wieczność.

Wyprowadzony w pole!

Wyprowadzony w pole przez cwaniaka z przyszłości oddalonej o pięćset lat.

Oszukany przez list sprzed sześciu tysięcy lat.

Oszukany wskutek własnej głupoty!

Usiadł, ściskając głowę dłońmi, i poczuł zachodzące słońce grzejące go w plecy, usłyszał drozda popiskującego w kępie jeżyn i szelest wiatru w łanach zbóż. Wyprowadzony w pole i schwytany w pułapkę, powiedział do siebie.

Odsunął dłonie od twarzy i zobaczył leżący w trawie zakrwawiony klucz francuski. Rozłożył palce i spostrzegł, że również pokryte są krwią... ciepłą i lepłą. Delikatnie dotknął głowy i poczuł sklezione włosy.

Wzór, myślał. Wszystko toczy się według wzoru.

Jestem tutaj w to wspaniałe popołudnie czwartego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku, obok mnie leży klucz francuski, a tuż za ogrodzeniem znajduje się pole wysokiej powyżej kolan kukurydzy.

Statek zniknął, mniej więcej za godzinę John H. Sutton zejdzie kaczkowatym krokiem z pagórka, aby zadać pytania, których nie postawił poprzednio. A za dziesięć lat od tego dnia napisze list, w którym odnotuje wszystkie podejrzenia na mój temat, ja zaś będę w tym czasie na podwórzu farmy pompował wodę ze studni, żeby się napić.

Podniósł się niepewnie i stał w pustce popołudnia, z rozległym niebem nad linią wzgórz i wijącą się rzeką daleko u stóp

urwiska.

Czubkiem buta dotknął klucza i pomyślał: Mógłbym przełamać wzór. Mógłbym wziąć ten klucz, a wtedy John H. nie znalazłby go, gdyby zaś zmienił się jeden element wzoru, ostateczny efekt mógłby być zupełnie inny.

Źle zrozumiałem list, pomyślał. Zawsze wyobrażałem sobie, że będzie to ten drugi, nie ja. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że na kluczu może być moja krew i że to ja skradnę ubranie ze sznurka.

Chociaż nie wszystkie elementy pasowały do wzoru... Ciągle przecież miał swoje ubranie, nie będzie więc musiał go kraść. Jego statek wciąż spoczywał na dnie rzeki, nie musi tu zatem zostać.

Zdarzenia opisane w liście powinny jednak zaistnieć. Dlaczego? Ponieważ to jego treść spowodowała, że się tu znalazł. Z kolei list został napisany dlatego, że się tu pojawił... A w tamtym czasie pozostał tutaj, bo nie miał innej możliwości. Ale tym razem wróci. Tym razem nie musi zostawać.

Druga szansa, pomyślał. Mam drugą szansę,

Coś jednak było nie w porządku. Przecież gdyby wszystko zdarzyło się powtórnie, stary John H. Wiedziałby o tym. A nie mogło zdarzyć się ponownie, ponieważ to właśnie był dzień, w którym rozmawiał on z człowiekiem z przyszłości.

Asher Sutton pokręcił głową. Epizod zaistniał tylko raz i oczywiście to był właśnie ten jeden raz. A więc coś się stanie, powiedział do siebie. Coś, co nie pozwoli mi wrócić i zmusi do kradzieży ubrania. W końcu rzeczywiście przyjdę na farmę i zapytam, czy potrzebują pracownika do żniw. Ponieważ wzór został ułożony. Musiał być ułożony. Dotknął klucza czubkiem buta i zamyślił się głęboko.

Potem odwrócił się i ruszył w dół zbocza. Zanim wszedł między drzewa, obejrzał się przez ramię i zobaczył starego Johna H. schodzącego ze wzgórza.

Przez trzy dni Sutton starał się uwolnić statek od ton piasku, którym zasypał go zdradziecki, wartki nurt rzeki. Potem uznał, że jest to beznadziejne zadanie, ponieważ prąd nanosił piasek szybciej, niż nadążał go usuwać.

Od tej chwili skoncentrował się wyłącznie na oczyszczeniu dojścia do luku wejściowego i po upływie kolejnego dnia i wielu osunięciach gruntu udało mu się osiągnąć cel.

Zmęczony, oparł się o metalową burtę statku.

To gra, stwierdził w duchu.. Ale ja podejmę.

Nie było możliwości uwolnienia statku za pomocą silników. Wiedział, że dysze są zapchane piaskiem i każda próba odpalenia silników grozi tym, że on, pojazd i duża część okolicy wyparuje w atomowym błysku.

Wystartował z planety w systemie Łabędzia i prowadził kosmolot przez jedenaście lat świetlnych jedynie siłą umysłu. Wyrzucił dwie szóstki.

Może, pomyślał. Może...

Statek spoczywał pod tonami piasku, on zaś był śmiertelnie zmęczony, mimo że jego nieludzki system przemiany materii działał sprawnie i wydajnie.

Wyrzuciłem dwie szóstki, powiedział do siebie. A było to zdecydowanie trudniejsze zadanie od tego, które muszę wykonać teraz. Chociaż tamto wymagało zręczności, obecne zaś siły... Założmy, tylko założmy, że mi jej nie starczy...

Przecież potrzeba będzie ogromnego wysiłku, aby wydobyć tę masę stali zakopaną w hałdzie piasku. I wcale nie siły mięśni,

lecz umysłu. Oczywiście, pomyślał, gdybym nie zdołał podnieść statku, wciąż jeszcze będę mógł skorzystać z przełącznika czasu i przenieść się sześć tysięcy lat w przyszłość. Podniósł rękę do szyi, aby dotknąć łańcuszka, na którym zawieszony był klucz.

Ale łańcuszka nie było!

Czując, jak umysł zamiera mu z nagłego przerażenia, stał przez chwilę, skamieniały ze zgrozy. Kieszenie, pomyślał, lecz jego dłonie błędziły z koszmarną pewnością, że nie ma już nadziei. Nigdy przecież nie wkładał klucza do kieszeni... zawsze nosił go na łańcuszku zawieszonym na szyi, w najbezpieczniejszym miejscu. Szukał, najpierw gorączkowo, a potem z ponurą, zimną precyzją.

W kieszeniach nie było klucza.

Łańcuszek pękł, pomyślał z nagłą rozpaczą. Pękł i klucz wpadł pod ubranie. Obmacał je starannie od góry do dołu - bez pożądanego rezultatu. Zdjął koszulę i starannie, ostrożnie sprawdził, potem odrzucił ją na bok, usiadł, zdjął spodnie, spenetrował wszystkie fałdy i w końcu wywrócił je na drugą stronę.

Nic nie znalazł.

W skąpym świetle, przefiltrowanym przez szybko płynącą wodę, przeszkukał na czworakach piasek, obmacując każdy skrawek dna rzeki.

Godzinę później dał za wygraną.

Niesiony wodą piasek zasypał już wykop, który prowadził do luku, i nie było sensu trudzić się ponownie, ponieważ i tak nie zdołałby otworzyć wejścia. Jego koszula i spodnie zniknęły, uniesione prądem.

Zmęczony, przegrany, skierował się w stronę brzegu, walcząc z oporem wody. Gdy jego głowa wychynęła nad powierzchnię,

zobaczył pierwsze wieczorne gwiazdy świecące na wschodzie.

Kiedy znalazł się na łodzi, usiadł, opierając się o pień drzewa. Odetchnął głęboko raz, potem drugi, zmusił serce do pierwszego uderzenia, drugiego i trzeciego... aż wreszcie przywrócił działanie ludzkiego systemu przemiany materii.

Rzeka bulgotała, wyśmiewając się z niego w swoim języku. W zadrzewionej dolinie zaczęły przekrzykiwać się basowo lelki. W czerni krzewów tańczyły świetliki. Ugryzł go komar i Sutton klepnął się odruchowo w miejsce ukąszenia.

Muszę gdzieś przenocować, pomyślał. Może na sianie w oborze? I ukraść z ogródka coś, czym zdołałbym wypełnić pusty żołądek. Później zaś zdobyć ubranie.

Wiedział przynajmniej, gdzie je znajdzie.

W niedziele czuł się samotny.

W inne dni tygodnia była praca - oparta na fizycznym wysiłku - którą trzeba było wykonać. Nie kończący się kierat zajęć niezbędnych, aby ziemia przyniosła zapewniający utrzymanie dochód. Pola należało zaorać, ziarno zasiać, doglądać dorastających zbóż i wreszcie je zebrać; trzeba było rąbać drewno, stawiać i remontować ogrodzenia, naprawiać maszyny rolnicze. A wszystko to wykonać pracą mięśni, pokrytymi odciskami rękami, z bólem grzbietu i karkiem to prażonym słońcem, to znów chłostanym zimnym wiatrem przenikającym do szpiku kości.

Przez sześć dni farmer pracował i praca stępiała bolesną pustką wspomnień, a w nocy sen nadchodził łaskawie szybko. Niekiedy praca nie tylko stanowiła źródło ukojenia, ale i sama z siebie wzbudzała zaciekawienie i przynosiła satysfakcję. Kiedy obejrzał się za siebie, prosta linia wkopanych palików ogrodzenia była dlań drobnym triumfem. Kurz ścierniska na butach, zapach słońca w złotej słomie i terkotanie snopowiązałki wędrującej po polu przekształcały się w symbol dostatku i zadowolenia. Zdarzały się również chwile, kiedy różowy rumieniec kwiatów jabłoni przebłyskujący przez srebrzyste nitki wiosennego deszczu stawał się dzikim, pogańskim hymnem zmartwychwstania Ziemi po zimowych chłodach.

Przez sześć dni w tygodniu człowiek pracował i nie miał czasu myśleć. Siódmego dnia odpoczywał i stawiał czoło samotności i rozpacz, które przychodziły wraz z bezczynnością.

Źródłem tej samotności nie byli ludzie, świat czy też sposób życia, jaki prowadził, ponieważ ten świat był bardziej przyjazny, bliższy Ziemi i życia oraz bezpieczniejszy - o wiele bezpieczniejszy - niż świat, który pozostawił. Dręcząca oskarżycielska samotność przypominała mu o czekającej na niego pracy, o zadaniu, które powinien wykonać, a teraz być może nigdy już nie wykona...

Początkowo miał nadzieję.

Na pewno, myślał, zaczną mnie szukać. Na pewno znajdą sposób, aby do mnie dotrzeć.

Myśl przynosiła pociechę i uspokojenie umysłu, uczucia, których starał się nie analizować zbyt dokładnie. Nawet bowiem hołubiąc je, uświadamiał sobie, że jest to tylko uogólnienie. Że może nie wytrzymać próby dokładniejszej analizy, ponieważ opiera się wyłącznie na wierze i pobożnych życzeniach, a całe bogactwo płynące z tej pociechy może okazać się kruchą błyskotką.

Przeszłość nie powinna być zmieniona jako całość, dyskutował sam ze sobą. Może być podretuszowana - delikatnie. Daje się przygiąć, wyszczerbić, podstrugać, ale jako całość pozostaje niezmienna. I dlatego tu jestem, dlatego muszę tu przebywać i pozostać tak długo, aż John H. napisze list do samego siebie. Do tego zdarzenia wzór musi być utrzymany, bo do tego momentu w przeszłości ja i moje z nim powiązania są znaną i utrwaloną rzeczywistością. Ale od chwili, gdy list zostanie napisany, przeszłość stanie się elementem nieznanym, domyślnym i nie wypełni żadnego znanego wzoru. Od tego momentu wszystko może się zdarzyć.

Czasami jednak założenia te wydawały mu się wątpliwe. Bez względu na to bowiem, czy przeszłość jest znana czy nie, uznana

czy nie, tworzy ona określony wzorzec. Po prostu przeszłość już się zdarzyła. Żył obecnie w czasie utrwalonym i zamkniętym.

Mimo wszystko myśl ta zawierała w sobie cień nadziei. Nawet w fakcie niepoznawalności przyszłości oraz nieodwracalności zdarzeń kryła się pewna nadzieja, ponieważ gdzieś, kiedyś jednak napisał książkę. Książka istniała i dlatego to wszystko się stało, chociaż - jeśli o niego chodziło - jeszcze nie zaistniało. Ale na własne oczy widział dwa egzemplarze książki, co oznaczało, że w jakimś przyszłym stuleciu była ona elementem składowym wzoru przeszłości.

Kiedyś, pomyślał Sutton, znajdą mnie. Kiedyś, zanim będzie za późno.

Oni? - zapytał uczciwie sam siebie.

Herkimer, android.

Eva Armour, kobieta.

Oni... dwoje ludzi.

Ale nie tylko oni. Z całą pewnością nie są sami. Za nimi, jak armia cieni, stoją wszystkie inne androidy i wszystkie roboty, które Człowiek kiedykolwiek wyprodukował. A także, tu i ówdzie, ludzie, zdający sobie sprawę, że Człowiek nie może uzurpować sobie prawa do wyjątkowości. Rozumiejący, że pod każdym względem wśród innych form życia większą chwałę przyniesie mu status zwykłej istoty. Istoty, która będzie przewodzić, uczyć, która będzie przyjacielem, nie zaś trzymającym się w dumnym odosobnieniu zdobywcą, władcą.

Oczywiście, będą go szukali, ale gdzie?

Skoro jest tyle czasów i przestrzeni do sprawdzenia, w jaki sposób dojdą, kiedy i gdzie się teraz znajduje?

Przypomniał sobie, że pytał robota w centrum informacyjnym o starodawne miasto Bridgeport. Dzięki temu dowiedzą się,

gdzie. Ale nie będą wiedzieli, kiedy.

Nikt bowiem nie wiedział o liście.... absolutnie nikt. Pamiętał, jak biały pył suchego, starego łuszczącego się kleju posypał mu się na dłonie, gdy podważył paznokciem róg koperty. Z całą też pewnością nikt nie poznał treści listu od dnia, kiedy został napisany, do momentu, gdy on sam go otworzył.

Uświadomił sobie obecnie, że powinien pozostawić komuś wiadomość o tym, gdzie i kiedy się udaje i co ma zamiar zrobić. Był jednak tak pewny siebie, wszystko wydawało mu się tak proste, a plan tak wspaniały...

Plan doskonały sam w sobie... Przechwycić Rewizjonistę, ogłuszyć go, zabrać jego statek i przesunąć w przyszłość, aby zająć jego miejsce. Wszystko było wykonalne, nie miał co do tego żadnej wątpliwości. Gdzieś znalazłby się android, który dopomógłby mu w przebraniu się, w statku byłyby dokumenty, a androidy z przyszłości przekazałyby mu wszystko, co powinien wiedzieć. Wspaniały plan. Miał tylko jeden maleńki mankament - nie powiódł się.

Trzeba było powiedzieć o wszystkim robotowi informacyjnemu, stwierdził Sutton. Z całą pewnością był jednym z nas. Mógłby przekazać wiadomość dalej.

Usiadł, opierając się plecami o drzewo, i popatrzył na dolinę rzeki zasnutą błękitną mgiełką babiego lata. Pod nim, na polach, zboże stało w brązowych i złotych kopytkach, przypominając wioskę wigwamów ustawionych blisko siebie, jakby w przeczuciu nadchodzącej zimy. Na zachodzie urwiska Missisipi były fioletową chmurą nisko nawisłą nad ziemią. Na północy złocisty krajobraz wznosił się ku górze szeregami tarasowatych wzgórz, aż do owego zamglonego punktu, gdzie kończyła się ziemia i zaczynało niebo, choć nie sposób było odnaleźć jakiegoś

konkretnego miejsca podziału, jakiejś wyraźnej linii, która by je rozgraniczała.

Sójka opadła z nieba i usiadła na paliku ogrodzenia. Machała ogonkiem i skrzeczała, urągając wszystkiemu, co mogło się znaleźć w zasięgu jej głosu.

Mysz polna wybiegła z kopki zboża, popatrzyła przez chwilę na Suttona swoimi paciorkowatymi oczyma, a następnie pisnęła z nagłym przestraczem i umknęła z uniesionym ponad grzbiet ogonem z powrotem między snopki.

Prosty ludek, pomyślał. Mały, prosty, puszysty ludek. Gdyby tylko wiedziały, stanęłyby po mojej stronie. Sójka, mysz polna, sowa, sokół i wiewiórka. Braterstwo, powiedział do siebie... Braterstwo życia.

Usłyszał, jak mysz szeleści w stogu, i spróbował sobie wyobrazić, czym dla myszy jest jej życie. Oczywiście, przede wszystkim lękiem, wiecznie obecnym, wszechogarniającym strachem przed innym życiem - przed sową, jastrzębiem, łasicą, lisem i skunksem. Strachem przed człowiekiem, psem i kotem. Tak, strachem przed człowiekiem, pomyślał. Człowiek sprawił, że wszyscy się go boją.

Jest w życiu myszy również głód albo przynajmniej lęk przed nim i ciągła jego groźba. I potrzeba rozmnażania się. Istnieje także szczęście życia, radość z szybko poruszających się stóp, zadowolenie z wypełnionego brzucha, rozkosz snu... I co jeszcze? Co jeszcze mogłoby wypełniać życie tego polnego gryzonia?

Skulił się w bezpiecznym miejscu, posłuchał i upewnił się, że wszystko jest w porządku. Miał pożywienie i kryjówkę przed nadchodzącymi chłodami. Wiedział o nich nie tyle na podstawie doświadczenia innych zim, ile raczej dzięki przekazywanemu mu z pokolenia na pokolenie instynktowi, mówiącemu o drzeniu

i umieraniu z zimna.

Do jego uszu dobiegły ciche szelesty - to pobratymcy przebiegali po snopku w jakichś swoich sprawach. Poczłł słodki zapach wysuszonej słońcem trawy, w której znajdowały się gniazdzka zapewniające ciepły i przyjemny sen. Poczłł również zapach ziaren, soczystych nasion traw, które napełnią ich żołądki.

Wszystko jest w porządku, pomyślał. Tak jak powinno być. Ale trzeba uważać, zawsze mieć się na baczności, ponieważ bezpieczeństwo może nagle zostać nam zabrane. Jesteśmy tacy mięccy... mięccy i delikatni, i łatwi do zjedzenia. Pazurzasta łapa w ciemności to szybkie i pewne nieszczęście. Trzepot skrzydeł jest pieśnią śmierci. Zamknął oczy, podkulił łapy i owinął się ogonem...

Sutton siedział, oparty plecami o pień drzewa, i nagle zeszywniał, uświadamiając sobie, co mu się przydarzyło.

Zamknął oczy, podkulił łapy i owinął się ogonem... Znał lęki i pozbawione ambicji, prościutkie przyjemności innej istoty... istoty, która ukrywała się w kopce zboża przed pazurzastymi łapami i skrzydłami, która spała w pachnącej słońcem trawie i czuła radość z niezachwianej fundamentalnej wiedzy, że jest jedzenie, ciepło i schronienie.

Nie było to tylko wrażenie czy wiedza... On był tą małą istotką, był myszą ukrytą w snopku zboża. A jednocześnie był Asherem Suttonem, który siedzi, opierając się plecami o prosty pień hikorowego drzewa i patrzy na dolinę w barwach jesieni.

Jest nas dwoje, pomyślał. Ja-Sutton i ja-mysz. Istniejemy jednocześnie i każde z nas jest oddzielną istotą. Mysz, prawdziwa mysz. nic nie wie, ponieważ gdyby wiedziała albo domyślała się tylko, już bym się zorientował, bo jestem w równym stopniu nią,

jak i sobą.

Siedział spokojnie, nieruchomo, nie poruszając ani jednym mięśniem, i intensywnie się zastanawiał. Ogarniały go zdziwienie i lęk, lęk przed uszpioną w jego mózgu obcością. Sprowadził statek z Łabędzia, zmartwychwstał, wyrzucił dwie szóstki.

A teraz to!

Człowiek rodzi się, ma ciało i umysł, które mogą spełniać rozmaite, często złożone, czynności. Uczy się wykonywać latami, jeszcze więcej lat zajmuje mu ich pełne opanowanie. Upływa wiele miesięcy, zanim zrobi pierwszy niepewny krok, jeszcze więcej miesięcy - nim wypowie pierwsze słowo; mijają lata, zanim logiczne myślenie stanie się doskonałym narzędziem.... A niekiedy, niekiedy nigdy tego nie osiąga.

I wszystko to się dzieje pod okiem doświadczonych wychowawców... Najpierw rodziców, potem nauczycieli, uczonych, kościołów, wszystkich ludzi, z którymi się stykamy. I wszyscy ci ludzie, różne kontakty, rozmaite siły tworzą z jednostki istotę społeczną zdolną do wykorzystania swoich talentów dla dobra jej samej i społeczeństwa, które nią kieruje i prowadzi po swoich ścieżkach.

A także dziedzictwo, snuł swe refleksje Sutton... Wrodzona wiedza oraz chęć myślenia i wykonywania określonych rzeczy w określony sposób. Tradycja dokonań innych ludzi i ukształtowany mądrością wieków sposób percepcji.

Normalny człowiek ma jedno ciało i jedną duszę, i - Bóg mi świadkiem - myślał dalej, w zupełności mu to wystarcza. A ja, w gruncie rzeczy, mam drugie ciało i być może nawet drugą duszę, ale nie mam dla tego ciała nauczycieli ani nie znam jego dziedzictwa. Jeszcze nie wiem, jak korzystać ze swych

możliwości; na razie wykonuję pierwszy krok, poznaję je powoli, stopniowo. Później, jeżeli będę żył wystarczająco długo, może nawet dowiem się, jak je dobrze spożytkować.

Ale przecież popełnia się błędy. Dziecko potyka się w czasie nauki chodzenia, jego pierwsze słowa są tylko podobieństwem mowy, nie ma dość wiedzy, żeby nie poparzyć sobie palców, zapalając zapałkę.

- Johnny - wyszeptał. - Johnny, odezwij się.

- Słucham cię, Ash.

- Czy jest coś jeszcze, Johnny?

- Czekaj cierpliwie - odparł głos. - Nie mogę ci powiedzieć.

Musisz cierpliwie czekać.

Prowadzący dochodzenie android stwierdził:

- Sprawdziliśmy Bridgeport do dwutysięcznego roku i jesteśmy przekonani, że nic się tam nie stało. To mała wioska leżąca na uboczu światowych wydarzeń.

- Nie musiało być nic wielkiego - odparła Eva Ar-mour. - Jakiś drobiazg. Maleńka poszlaka. Możliwe, że słowo wyrwane z kontekstu przyszłości. Słowo mimowolnie wypowiedziane przez Suttona, które ktoś przejął i upowszechnił. W ciągu kilku lat mogło się stać częścią dialektu tej społeczności.

- Sprawdziliśmy również drobiazgi - wyjaśnił android. - Szukaliśmy jakiegokolwiek anomalii, śladu, który mógłby świadczyć, że Sutton tam przebywał. Zastosowaliśmy sprawdzone metody i przeprowadziliśmy szczegółowe badania. Ale nic nie znaleźliśmy, absolutnie nic. W tym miejscu nie ma żadnych wskazówek.

- Musiał się tam udać - upierała się Eva. - Rozmawiał z nim robot z centrum informacyjnego. Sutton pytał o Bridgeport. A więc z jakiegoś powodu interesował się tą miejscowością.

- Co nie dowodzi, że się tam udał - zauważył Herkimer.

- Dokądś jednak poleciał - rzekła Eva. - Ale dokąd?

- Zaangażowaliśmy tylu śledczych, ilu tylko było możliwe bez wywoływania podejrzeń zarówno w lokalnym czasie, jak i w przyszłości - poinformował android. - Nasi ludzie niemal potykali się o siebie. Rozesłaliśmy ich jako akwizytorów książek, ludzi ostrzących noże i nożyczki, także jako bezrobotnych szukających pracy. Dotarliśmy do każdego domu w promieniu dwudziestu

mil - najpierw w odstępach dwudziestoletnich, a kiedy nic nie znaleźliśmy, co dziesięć, a potem co pięć lat. Gdyby było jakieś słowo czy plotka, na pewno byśmy na nie trafili.

- Powiedział pan, że sprawdziliście do dwutysięcznego roku - zauważył Herkimer. - Dlaczego nie do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego albo tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego?

- Musieliśmy wprowadzić jakąś datę graniczną - odparł prowadzący dochodzenie.

- Rodzina Suttonów mieszkała w tej okolicy - trwała w uporze Eva. - Sądzę, że powinniście zbadać ich dokładniej.

- Nasi ludzie pracowali na farmie Suttonów - wyjaśnił android.
- Kiedy tylko rodzinie potrzebna była pomoc, zawsze pojawiał się jeden z naszych i najmował się do pracy. Gdy Suttonowie nie potrzebowali pracowników, umieszczaliśmy ich na sąsiednich farmach. Jeden z naszych ludzi zakupił w tej okolicy spory kawał lasu i przez dziesięć lat zajmował się wyrębem... Mógłby działać tam o wiele dłużej, ale obawialiśmy się, że wzbudzi podejrzenia.

Przeprowadziliśmy badania od dwutysięcznego roku do trzy tysiące sto pięćdziesiątego, kiedy to ostatni członek rodziny wyprowadził się z tej okolicy.

Eva popatrzyła na Herkimera.

- Czy całą rodzinę dokładnie sprawdzono? - zapytała.

Skinął głową.

- Do dnia, w którym Asher odleciał na Łabędzia. Nie ma nic, co mogłoby nam pomóc.

- Sytuacja wygląda więc absolutnie beznadziejnie. On gdzieś jest. Coś mu się stało. Może w przyszłości?

- O tym właśnie myślałem - przytaknął Herkimer. - Mogli go przechwycić Rewizjoniści. I może nadal go przetrzymują.

- Nie byliby w stanie go więzić... Nie Ashera Suttona - zaprotestowała Eva. - Nie udałoby im się to, gdyby wiedział, jakimi siłami dysponuje.

- Ale on nie wie - przypomniał jej Herkimer, - A nie mogliśmy mu wtedy o nich powiedzieć ani wrócić na nie jego uwagę. Powinien przecież sam je odkryć. Znaleźć się w stresowej sytuacji i nagle odkryć je dzięki naturalnej reakcji. Nie można go było ich nauczyć, musiały się w nim wykształcić.

- Tak dobrze nam szło - westchnęła Eva. - Tak dobrze. Zmusiliśmy Morgana do podjęcia nie przemyślanego działania. Kiedy Adams nie poparł planu zabicia Asha, skłonił Bentona do rzucenia mu wyzwania. Pojedynek miał go szybko uwolnić od Ashera. Ale zdarzenie z Bentonem wzmogło czujność Suttona, my zaś nie musieliśmy go ostrzec, że powinien być ostrożny. A teraz...

- Książka została napisana - zauważył Herkimer.

- Lecz wcale nie musi się tak stać - zauważyła Eva. - A może oboje jesteśmy zaledwie marionetkami w jakimś hipotetycznym świecie, który zniszczy nasze jutro?

- Ubezpieczymy wszystkie strategiczne punkty przyszłości - oznajmił jej przyjaciel android. - Zintensyfikujemy pracę naszego wywiadu przeciwko Rewizjonistom, prześledzimy działania wszystkich grup bojowych z przeszłości. Może zdołamy się czegoś dowiedzieć.

- To czynniki przypadkowe - orzekła Eva. - Nigdy nie będziesz miał całkowitej pewności. Przecież tyle jest czasów i przestrzeni do skontrolowania. Skąd będziemy wiedzieli, gdzie patrzeć, w którą stronę się zwrócić? Czy, aby osiągnąć nasz cel, będziemy musieli przedzierać się przez każde prawdopodobne wydarzenie?

- Zapomniałaś o jednym czynniku - odparł spokojnie Herkimer.

- O jednym czynniku?

- Tak. O samym Suttonie. On gdzieś się znajduje i bardzo w niego wierzę. W niego i przeznaczenie. Bo Sutton przywiązuje wielką wagę do swojego przeznaczenia i w ostatecznym rachunku to mu się opłaci.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, Williamie Jonesie - powiedział John H. Sutton. - I dobrym. Przez wszystkie lata, odkąd zajmuję się farmą, nigdy nie miałem lepszego pracownika. Żaden inny nie chciał pozostać dłużej niż rok albo dwa lata. Zawsze odchodzili, zawsze dokądś szli.

- Nie mam dokąd iść - odparł Asher Sutton. - Nie ma takiego miejsca, do którego chciałbym pójść. To jest równie dobre jak każde inne.

Jest nawet lepsze, pomyślał, niż przypuszczałem, ponieważ mam tu spokój, poczucie bezpieczeństwa i żyję tak blisko natury jak żaden człowiek w moim stuleciu.

Stali, oparci o ogrodzenie, i obserwowali migoczące światła domów i samochodów na drugim brzegu rzeki. Na pogrążonym w ciemności zboczu pod nimi poruszało się wolno bydło, wypuszczone po wieczornym udoju; słychać było ciche, delikatne odgłosy kopyt, chrzęst ostatnich pęków trawy przeżuwanych przed zapadnięciem w sen. Chłodny powiew przeleciał wzdłuż stoku, a jego dotknięcie było przyjemne i odświeżające po upale dnia.

- Zawsze w nocy są tu te chłodne powiewy - oświadczył stary John H. - Po dziennym upale lepiej się śpi.

Westchnął.

- Niekiedy się zastanawiam - powiedział - do jakiego stopnia można się cieszyć życiem. Zastanawiam się, czy nie jest to przypadkiem... no cóż, jakoś prawie grzeszne uczucie. Bo Człowiek ze swej natury nie jest zadowolonym zwierzęciem. Jest

niespokojny, niezadowolony i właśnie to niezadowolenie zmusza go, jak uderzenie bata, do wspaniałych osiągnięć.

- Zadowolenie z życia - odparł Asher Sutton - jest świadectwem pełnego dostosowania się do otoczenia. Niezbyt często się je odnajduje... a właściwie bardzo rzadko. Kiedyś Istota Ludzka, a także inne stworzenia, będą wiedziały, jak osiągnąć ten stan, i wtedy w całej Galaktyce zapanuje pokój i szczęście.

John H. zachichotał.

- Masz rozległe horyzonty, Williamie.

- Właśnie tak bym to ujął, w szerokiej perspektywie - stwierdził Asher Sutton. - Kiedyś Człowiek podąży do gwiazd.

Stary John H. skinął głową.

- Tak, przypuszczam, że tak zrobi. Ale zanim podąży do gwiazd, powinien się nauczyć, jak żyć na Ziemi.

Ziewnął i rzekł:

- Chyba sobie pójdę. Starzeję się i muszę wypoczywać.

- A ja jeszcze trochę pospaceruję - odparł jego rozmówca.

- Dużo spacerujesz, Williamie.

- Po zmroku - wyjaśnił Asher Sutton - otoczenie wygląda inaczej niż w świetle dnia. Inaczej pachnie. Słodyczą, świeżością i czystością, jakby je dopiero co umyto. W ciszy można usłyszeć dźwięki, których nie słyszy się za dnia. Idziesz i wydaje ci się, że jesteś sam w tym kraju, który należy tylko do ciebie.

John H. pokręcił głową.

- To nie kraj jest inny, Williamie, ale ty. Nieraz wydaje mi się, że widzisz i słyszysz rzeczy, z których istnienia my nie zdajemy sobie sprawy. Prawie, Williamie... - zawahał się, ale potem skończył zdanie - ...prawie jakbyś był z innego świata.

- Czasami myślę, że tak właśnie jest - odparł Asher.

- Pamiętaj o jednym - zwrócił się do niego John H. - Jesteś

jednym z nas... kimś jak z rodziny. Poczekaj, ile już lat tu jesteś?

- Dziesięć - padła odpowiedź.

- Słusznie - przytaknął John H. - Dokładnie pamiętam dzień, w którym przyszedłeś, ale czasami zapominam, jak dawno to było. Niekiedy mam wrażenie, jakbyś tu był zawsze. A czasami wydaje mi się, że po prostu jesteś Suttonem.

Odchrząknął i splunął w kurz.

- Kiedyś pożyczyłem twoją maszynę do pisania, Williamie - przyznał się. - Musiałem napisać list. Bardzo ważny. I zależało mi, aby zrobić to porządnie.

- Nic nie szkodzi - rzekł Asher. - Cieszę się, że się panu przydała.

- Piszesz coś obecnie, Williamie?

- Nie. Zrezygnowałem. Nic nie mogę zrobić. Wie pan, straciłem swoje notatki. Miałem już wszystko przemyślane i zapisane, i sądziłem, że zdołam sobie przypomnieć, ale mi się nie udało. Nie ma sensu próbować dalej.

Dobiegający z ciemności głos Johna H. przypominał delikatny pomruk.

- Masz jakieś kłopoty, Williamie?

- Nie. Właściwie nie mam.

- Czy mogę ci w czymś pomóc?

- Nie.

- Powiedz mi, jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić. Uczynimy dla ciebie wszystko.

- Może kiedyś będę musiał odejść - rzekł Asher Sutton. - Dość nagle. Jeżeli tak się stanie, chciałbym, abyście zapomnieli, że kiedykolwiek tu byłem.

- Tego sobie życzysz, chłopcze?

- Tak.

- Nie możemy cię zapomnieć, Williamie - zapewnił stary John H. - Nigdy nie zapomnimy. Ale nie będziemy o tobie mówili. Gdyby ktoś przyszedł i pytał o ciebie, zachowamy się tak, jakby nigdy cię tutaj nie było.

Przerwał na chwilę.

- Czy tego właśnie chcesz, Williamie?

- Tak. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, tego właśnie chcę.

Przez jakiś czas stali w milczeniu, patrząc na siebie w ciemności, aż wreszcie stary człowiek odwrócił się i poszedł w stronę oświetlonych okien domu. Asher Sutton również się odwrócił, oparł przedramiona na ogrodzeniu i zapatrzył na drugą stronę rzeki, gdzie baśniowe światelka migotały w krainie nigdy-nigdy.

Minęło dziesięć lat, pomyślał, i list został napisany. Dziesięć lat i spełniły się warunki przeszłości. Teraz przeszłość może już realizować się beze mnie, ponieważ zostałem tylko dlatego, aby John H. mógł napisać swój list, ja zaś odnaleźć go po sześciu tysiącach lat w starym kufrze i odczytać na bezimiennej asteroidzie przypadłej mi po śmierci człowieka, którego zabiłem w miejscu, które będzie się nazywało Domem Zaga.

Dom Zaga, pomyślał, będzie stał po drugiej stronie rzeki, daleko na prerii, powyżej starożytnego miasta Prairie du Chien. Uniwersytet Północnoamerykański i jego niezrównane piękne wieże znajdą się na wzgórzach na północy, a dom Adamsa - nieopodal miejsca, w którym Wisconsin wpada do Missisipi. Wielkie statki będą wzbijały się w niebo z prerii Iowy i kierować ku gwiazdom, które nawet w obecnej chwili migoczą w górze... i innym, których nie uzbrojone oko ludzkie nie może dojrzeć.

Dom Zaga będzie tam, daleko za rzeką. I tam właśnie, któregoś dnia, za sześć tysięcy lat, spotkam dziewczynkę w fartuszkach w

kratkę. Jak w książce dla dzieci, pomyślał. Chłopak spotyka dziewczynkę. Chłopiec jest bosy, ma blond włosy, których kosmyk spada mu na czoło, a dziewczynka bawi się fartuszkami i mówi, że się nazywa...

Wyprostował się i zacisnął dłonie na ogrodzeniu.

- Eva - powiedział na głos - gdzie jesteś?

Jej włosy przypominały miedź, a jej oczy... Jakiego koloru były jej oczy? "Badałam cię przez dwadzieścia lat" - oznajmiła i pocałował ją, nie wierząc w ani jedno jej słowo, ale gotów uwierzyć w to, co mówiły jej twarz i ciało.

Eva na pewno gdzieś istnieje, gdzieś w czasie i przestrzeni. Może w chwili, gdy myśli o niej, ona myśli o nim? Gdyby bardzo się starał, niewykluczone, że mógłby się z nią skontaktować. Przesłać jej swoje pragnienie przez labirynt czasu i przestrzeni; przekazać jej, że wciąż ją pamięta, że gdzieś, kiedyś wróci do niej.

Ale nawet gdy o tym myślał, wiedział, że nie ma szans. Utonął w otchłani zapomnianego czasu, jak człowiek tonie w głębinach morza. To nie on dotrze do niej, ale Eva, Herkimer lub ktokolwiek inny dotrze do niego... Jeżeli kiedykolwiek tak się stanie.

W ciągu dziesięciu lat, snuł swoje rozważania, zapomnieli o mnie. A może nie mogli mnie odnaleźć lub, odnalazłszy, nie byli w stanie się ze mną skontaktować? Albo może postąpiono tak celowo? Lecz dlaczego?

Czasami miał wrażenie, jakby był obserwowany; czuł charakterystyczne, nieprzyjemne zimne dotknięcia między łopatkami. A pewnego razu ktoś przed nim uciekał, kiedy wieczorem, późnym latem, wędrował po lesie, szukając wiecznie gdzieś przepadającej zezowatej jałówki.

Oddalił się od ogrodzenia pastwiska i przeszedł przez

podwórze, poruszając się w ciemności niczym w dobrze znanym pokoju. Od szopy dolatywał zapach świeżo skoszonego siana, a od strony kurników dobiegało senne gdakanie młodych ptaków.

Kiedy przechodził obok, jego myśl włączyła się i dotknęła umysłów zaniepokojonych kurcząt.

Niejasna obawa przez czymś nieznanym... Zza granicy snu docierały jakieś dźwięki. A dźwięk oznaczał niebezpieczeństwo, był sygnałem nieokreślonego zagrożenia. Dźwięk - i nie ma drogi ucieczki. Ciemność i dźwięk. Poczucie strachu.

Sutton wycofał swoją myśl i poszedł dalej. Kurcząt nie cechuje szczególna stabilność umysłów, stwierdził w duchu. Krowa jest zadowolona, a jej myśli i zamiary są równie powolne jak sposób odżywiania. Pies jest ruchliwy i przyjazny, kot zaś, bez względu na stopień oswojenia, zawsze porusza się na skraju dżungli.

Znam je wszystkie, pomyślał. Byłem każdym z nich. Ale niektóre nie są zbyt sympatyczne. Na przykład szczur albo łasica, albo okoń czający się pod liśćmi grążela. A skunks... skunks jest przyjazny. Życie pod postacią skunksa mogło być przyjemne.

Ciekawość czy trening? Być może ciekawość, przyznał, ludzka skłonność do wdzierania się w miejsca, na których wisiały ostrzeżenia: "Nie wchodzić", "Wstęp wzbroniony", "Posiadłość prywatna", "Nie przeszkadzać". Ale był to również trening, nauka korzystania z jednego z narzędzi, których dostarczało mu drugie ciało. Uczenie się, jak przechodzić do innego umysłu i poznawać najdrobniejsze przejawy jego intelektualnych i emocjonalnych reakcji.

Istniała jednak granica, granica której nigdy nie przekroczył - albo z wrodzonej przyzwoitości, albo z obawy, że może zostać dostrzeżony. Nie bardzo mógł się zdecydować, co właściwie nim kierowało.

Droga była białym, pełnym kurzu paskiem i biegła wzdłuż grzbietu, wijąc się wśród plam mroku widocznych w miejscach, gdzie istniały głębokie kotliny. Sutton szedł powoli, a kurz tłumiał odgłos jego kroków. Wokół było czarno, droga była biała, a gwiazdy na letnim niebie - duże i łagodne. Tak odmienne, pomyślał, od gwiazd w zimie. Wtedy wycofywały się one wysoko i płonęły stalowym, twardym blaskiem.

Pokój i cisza, snuł swoje refleksje. W tym zakątku starodawnej Ziemi panują pokój i cisza, nie zakłócona gwarem dwudziestowiecznego życia.

Na Ziemi takiej jak ta rodzili się wytrwali ludzie. Za kilka pokoleń poprowadzą oni swoje statki do gwiazd. Tutaj, w cichych zakątkach świata, kształtowały się wytrwałość i odwaga, głębia charakteru i przekonania, dzięki którym brali oni w swe dłonie maszyny wymyślone przez bardziej błyskotliwych, lecz mniej mocnych ludzi. Prowadzili je do najdalszych granic Galaktyki, aby opanować nowe światy dla chwały i zysku całej rasy.

Zysk, pomyślał. Dziesięć lat i mimowolny sojusz z minionym czasem... Wszystkie warunki spełnione. Mogę iść gdziekolwiek, w dowolnie wybrany czas.

Ale nie miał dokąd iść i nie miał takiej możliwości.

Mógłbym pozostać, rozważał. Przyjemnie tutaj.

- Johnny - powiedział. - Johnny, co teraz zrobimy?

Poczuł ruch w swoim umyśle, przypominający budzącego się starego psa, machanie ogonem, przytulność kocyka otulającego niemowlę w jego łóżeczku.

- Wszystko w porządku, Ash - odparł Johnny. - Wszystko w porządku. Potrzebowałeś tych dziesięciu lat.

- Pozostałeś ze mną, Johnny.

- Jestem tobą - wyjaśnił. - Pojawiłem się, kiedy się urodziłeś. I

pozostanę, dopóki nie umrzesz.

- A wtedy?

- Wtedy nie będziesz już mnie potrzebował, Ash. Pójdę gdzie indziej. Nic nie istnieje samotnie.

- Nic nie istnieje samotnie - powtórzył Sutton i zabrzmiało to jak modlitwa.

I nie był samotny. Ktoś obok niego siedł, ale on nie miał pojęcia, od jak dawna i skąd się wziął.

- Wspaniały spacer - oznajmił mężczyzna, którego twarz skrywał cień. - Często pan spaceruje?

- Prawie co wieczór - odparł język Suttona, ale mózg wciąż powtarzał: "Spokojnie! Spokojnie!"

- Tak cicho - ciągnął nieznajomy. - Cicho i pusto. Dobrze się myśli. Człowiek może wiele przemyśleć, spacerując tutaj nocami. Nie odpowiedział.

Szli obok siebie i chociaż Sutton starał się odprężyć, czuł, jak napinają się mięśnie jego ciała.

- Dużo pan przemyślał, Sutton - stwierdził mężczyzna. - Całe dziesięć lat myślenia.

- Powinniście dobrze wiedzieć - odparł Asher. - Obserwowaliście mnie.

- Obserwowaliśmy - przyznał nieznajomy. - I nasza aparatura obserwowała. Zarejestrowaliśmy pana na taśmie i bardzo dużo o panu wiemy. O wiele więcej niż dziesięć lat temu.

- Dziesięć lat temu przysłaliście dwóch ludzi, żeby mnie kupili.

- Tak - potwierdził człowiek. - Często zastanawialiśmy się, co się z nimi stało.

- Łatwe pytanie - odrzekł Sutton. - Zabiłem ich.

- Mieli dla pana pewną propozycję.

- Owszem. Zaoferowali mi planetę.

- Wiedziałem, że nic z tego nie będzie - oświadczył przybysz. - Mówiłem o tym Trevorowi.

- Przypuszczam, że teraz ma pan inną propozycję? - zapytał Asher. - I nieco wyższą cenę?

- Niezupełnie - oznajmił mężczyzna. - Tym razem damy sobie spokój z targami. Niech pan sam poda cenę.

- Przemyślę to - odrzekł Sutton. - Nie jestem pewien, czy zdołam wymyślić odpowiednią.

- Jak pan sobie życzy, Sutton - powiedział nieznajomy. - Będziemy czekać... i obserwować. Kiedy podejmie pan decyzję, wystarczy dać nam znak.

- Znak?

- Oczywiście. Niech pan napisze do nas notatkę. Będziemy zaglądali panu przez ramię. Albo niech pan tylko powie: "No cóż, podjąłem decyzję". Będziemy słuchali i usłyszymy.

- Proste - przyznał Asher. - Jakie nieskomplikowane!

- Staramy się ułatwić panu sprawę - stwierdził mężczyzna. - Dobranoc, panie Sutton.

Nie widział, ale miał wrażenie, że przybysz dotknął kapelusza... jeżeli to był kapelusz. A potem odwrócił się, zszedł z drogi i skierował się przez pastwisko w stronę lasu porastającego urwiska nad rzeką.

Sutton stał na zapyłonej drodze i słuchał, jak mężczyzna odchodzi - łagodny szelest mokrej od rosy trawy ocierającej się o jego buty, odgłos kroków, tłumiony darnią pastwiska.

Wreszcie kontakt! Po dziesięciu latach kontakt z ludźmi z innego czasu. Ale niestety, nie jego ludźmi...

Rewizjoniści obserwowali go. Jego przypuszczenia, że ktoś mu się przygląda, potwierdziły się. Czekali przez dziesięć lat. Oczywiście, nie dziesięć lat ich czasu, ale jego. Na przestrzeni

tych dziesięciu lat rozstawili maszyny i ludzi, dzięki czemu zadanie to mogło zostać wykonane w ciągu roku, miesiąca albo nawet tygodnia. Jeżeli dysponowali wystarczającą liczbą ludzi i sprzętu, nie było kłopotu ze śledzeniem go.

Dlaczego jednak czekali aż tak długo? Żeby go zmiękczyć? Żeby z radością zaakceptował każdą ich propozycję?

Zmiękczyć go? Uśmiechnął się w ciemności.

Nagle w jego myślach pojawił się obraz. Zatrzymał się, oszołomiony, dziwiąc się, że wcześniej o tym nie pomyślał.

Nie chcieli go zmiękczyć... Czekali, aby stary John H. napisał list. Bo wiedzieli o liście! Zbadali starego Johna H. Zarejestrowali go na taśmie, znali doskonale, w najdrobniejszym szczególe, wiedzieli, w jaki sposób będzie funkcjonował jego umysł.

List był kluczem do całej sprawy. Stanowił przynętę, którą go zwabiono w ten czas. Zwabili go, zablokowali i uwięzili równie skutecznie, jakby zamknęli w klatce. Zbadali go dokładnie i opracowali odpowiednie sposoby działania. Jednocześnie wiedzieli, co robi.

Jego myśl zamigotała i ostrożnie dotknęła mózgu człowieka idącego w dół wzgórza.

Kurczęta i koty, psy i myszy polne - żadne z tych stworzeń nie podejrzewało, żadne nie uświadamiało sobie, że inny umysł zajmuje ich mózg.

Ale mózg człowieka to coś zupełnie innego. Wysoce wyspecjalizowany i wrażliwy, może odkryć obcą interwencję. może wyczuć, jeżeli nie zidentyfikować intruza.

Dziewczyna nie będzie czekała. Byłem zbyt długo nieobecny. Jej uczucie jest takie powierzchowne, nie ma żadnych zasad

moralnych, wiem o tym. Byłem na tym przeklętym patrolu zbyt długo. Zmęczy się czekaniem... Męczyła się czekaniem, nawet gdy nie było mnie przez trzy godziny. Do diabła z nią... znajdę sobie inną. Ale nie taką jak ona... nie taką. Nie ma drugiej takiej jak ona.

Ten, kto powiedział, że Suttona łatwo będzie złamać, musiał być absolutnym wariatem. Boże, po dziesięciu latach w takiej dziurze, gdyby ktoś przybył z mojego czasu, rzuciłbym mu się na szyję i wyczałował. Każdego - wroga czy przyjaciela, bez różnicy. A co on zrobił? Nic. Ani jednego słowa. W tym. co mówił, nie było ani cienia zaskoczenia. Kiedy się do niego odezwałem, nawet nie zmienił tempa marszu, szedł w dalszym ciągu, jakby przez cały czas wiedział, że tu jestem. O rany, chętnie bym się napił. Szarpiąca nerwy robota.

Chciałbym zapomnieć tę dziewczynę. Chciałbym, żeby na mnie czekała, ale wiem, że tego nie robi. Chciałbym...

Sutton cofnął umysł i stanął spokojnie na drodze. A w środku poczuł gwałtowny przypływ ulgi i triumfu. Nie wiedzieli! Przez te dziesięć lat obserwacji dostrzegli jedynie to, co zewnętrzne. Mieli go zarejestrowanego na taśmie, ale nie mieli pojęcia, co się dzieje w jego umyśle.

Może wiedzieli, co w ogóle dzieje się w ludzkim mózgu, lecz nie w jego. Być może potrafią przeświecić umysł człowieka, zbadać go, przeanalizować, odczytać wszystko, co jest w nim zawarte. Ale jego umysł mówi im tylko to, co chcieliby usłyszeć, i w taki sposób, aby nie podejrzewali go o ukrywanie czegokolwiek. Przez tak długi okres grupa Adamsa usiłowała schwytać jego umysł w pułapkę i zupełnie nic nie osiągnęła.

Rewizjoniści obserwowali go dziesięć lat, znają każdy

wykonany przez niego ruch, wiele jego przemyśleń, ale nie wiedzą, że może żyć w umyśle myszy, zębacza czy innego człowieka. Gdyby bowiem wiedzieli, na pewno by się ubezpieczyli, mieli się bardziej na baczności. A tak się nie stało. Ten mężczyzna uświadomił sobie jego obecność w nie większym stopniu niż mysz.

Spojrzał za siebie, w stronę stojącego na wzgórzu domu Suttonów. Przez chwilę miał wrażenie, że go widzi - ciemniejszy kształt na tle nocnego nieba, ale zdawał sobie sprawę, że to tylko gra wyobraźni. Po prostu wiedział, że dom znajduje się w tym miejscu i w myśli ukształtował jego obraz.

Sprawdził wszystkie znajdujące się w jego pokoju przedmioty. Książki, kilka zagryzmołonych kartek papieru, brzytwa. Nie było nic, czego nie powinien zostawiać. Nic, co mogłoby wywołać jakiegokolwiek podejrzenia. Albo zostać kiedyś odnalezione i użyte przeciwko niemu jako broń.

Przygotowywał się przecież do tego dnia, przypuszczając, że prędzej czy później nastąpi. Że kiedyś wyjdzie zza drzewa i zacznie iść przy jego boku Herkimer - a może Rewizjoniści lub agent rządu.

Wiedział? No cóż, niezupełnie. Miał nadzieję. Wierzył, że to się ziści.

Wiele lat temu jego próby napisania książki o przeznaczeniu bez odwoływania się do notatek uleciały z dymem. Pozostał po nich jedynie stos zwęglonych kartek papieru, które w ciągu tych lat, splukane deszczami, przemieszały się z glebą i jako związki chemiczne przekształciły się i przemknęły do kłosa żyta czy kolby kukurydzy.

Był gotów. Spakowany. Tak, od wielu już lat był gotów do odejścia.

Zszedł z drogi i przeciął pastwisko, kierując się śladem człowieka podążającego w stronę nadrzecznych urwisk. Jego myśl włączyła się w jego umysł i śledziła go w ciemności. Posługiwał się nią tak samo jak ogar posługuje się węchem, tropiąc zwierzynę.

Dopędził go zaledwie kilka minut po tym, jak mężczyzna minął skraj lasu, i od tej pory trzymał się kilka kroków za nim. Szedł uważnie, starając się, aby trzaśnięcie gałązki pod nogą czy szelest poruszonego krzewu nie ostrzegły śledzonego.

Statek znajdował się w głębokim wąwozie. Przybysz zawołał. Wówczas zapaliło się światło i otworzył właz. Stał w nim drugi mężczyzna i popatrzył w mrok.

- To ty, Gus? - zapytał.

- Oczywiście - warknął przybysz. - A któż inny włóczyłby się po tych lasach w samym środku nocy?

- Niepokoilem się - oznajmił mężczyzna we włazie. - Nie było cię dłużej, niż się spodziewałem. Właśnie miałem zamiar wyjść i cię poszukać.

- Wiecznie się martwisz - burknął Gus. - Mam już dosyć ciebie i tego świata. Trevor musi znaleźć sobie kogoś innego do pracy tutaj.

Wszedł po schodkach do statku.

- Ruszaj! - rozkazał ostro koledze. - Wynosimy się stąd.

Odwrócił się, aby zamknąć właz, ale Sutton go uprzedził.

Gus zrobił dwa kroki do tyłu, potknął się o przymocowany do podłogi fotel i stanął, uśmiechając się szeroko.

- Popatrz, kogo tu mamy - powiedział. - Hej, Pinky, zobacz, kto tu za mną przyszedł.

Asher Sutton uśmiechnął się do niego ponuro.

- Jeżeli panowie nie macie nic przeciwko temu, zabiorę się z

wami.

- A jeżeli mamy? - spytał Pinky.

- I tak polecę tym statkiem - oznajmił mu Sutton. - Z wami lub bez was. Możecie wybierać.

- To Sutton - wyjaśnił Pinky'emu Gus. - Ten właśnie pan Sutton. Trevor z przyjemnością się z panem zobaczy.

Trevor... Trevor. Trzykrotnie już słyszał to imię, obilo mu się o uszy także kiedy indziej. Stał, opierając się plecami o zamknięty luk. Powrócił pamięcią do innego statku i innych dwóch mężczyzn. "Trevor - oświadczył Case, a może Pringle? - Trevor? No cóż, Trevor jest prezesem korporacji".

- Przez wszystkie te lata - odezwał się na głos - marzyłem, żeby spotkać się z panem Trevorem. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

- Ruszamy, Pinky - rozkazał Gus. - I nadaj wiadomość. Trevor powita nas z kompanią honorową. Przywozimy Suttona z powrotem.

Trevor wziął spinacz do papieru i rzucił go w kierunku stojącego na biurku kałamarza. Spinacz plusnął w atrament.

- Jestem coraz lepszy - stwierdził. - Trafiam siedem razy na dziesięć. Przedtem chybiałem tyle razy.

Spojrzał badawczo na Suttona.

- Wyglądasz jak zwyczajny człowiek - powiedział. - Muszę z tobą porozmawiać i się przekonać.

- Nie mam rogów - zakpił Sutton - jeżeli o to ci chodzi.

- Ani - dodał Trevor - aureoli, jeżeli już o to chodzi.

Cisnął kolejnym spinaczem i chybił.

- Siedem na dziesięć - przypomniał.

Rzucił jeszcze raz i znowu trafił. Atrament trysnął fontanną i ochlapał blat biurka.

- Słuchaj, Sutton - powrócił do tematu. - Wiesz bardzo dużo o przeznaczeniu. Czy kiedykolwiek myślałeś o nim w kategoriach objawionego przeznaczenia?

Asher wzruszył ramionami.

- Stosujesz przestarzały termin. To propaganda dziewiętnastego wieku. Pewien naród kompletnie ją zdewaluował.

- Propaganda? - zdziwił się Trevor. - Raczej psychologia. Powtarzaj coś często, a po jakimś czasie wszyscy w to uwierzą. W końcu i ty sam uwierzysz.

- Objawione przeznaczenie - podjął Sutton. - Czy dla rasy ludzkiej?

- Oczywiście - przyznał Trevor. - W końcu jesteśmy jedynymi

zwierzętami, które potrafią je najlepiej wykorzystać do własnych celów.

- Pominąłeś pewien drobiazg - odparł Asher. - Ludzie tego nie potrzebują. Już są głęboko przekonani o swojej wielkości, świętości i absolutnej wyższości. W stosunku do nich propaganda nie jest konieczna.

- Masz trochę racji - przytaknął Trevor. - Ale to krótkowzroczna racja.

Wymierzył w niego palcem.

- Kiedy już będziemy mieli Galaktykę w garści, co wtedy?

- No cóż - rzekł Sutton. - No cóż, przypuszczam...

- Otóż to - przerwał mu jego rozmówca. - Nie wiesz, dokąd zmierzasz. Nasza rasa również.

- A objawione przeznaczenie? - zapytał Sutton. - Czy gdybyśmy mieli objawione przeznaczenie, byłoby inaczej?

Głos Trevora przeszedł prawie w szept.

- Są jeszcze inne galaktyki, Sutton. Większe niż ta. Wiele innych galaktyk.

Dobry Boże! - pomyślał Asher. Chciał zacząć mówić, ale zrezygnował i usiadł sztywno w fotelu. Szept Trevora docierał do niego ponad biurkiem.

- Oszłomiło cię, co?

Próbował odezwać się głośno, ale z jego gardła wydobył się też szept.

- Jesteś szalony, Trevor. Całkiem szalony.

- Spojrzenie z perspektywy - wyjaśnił Trevor. - Tego właśnie potrzebujemy. Absolutnie niewzruszonej wiary w ludzkie przeznaczenie, pozytywnego i wszechogarniającego przekonania, że zadaniem Człowieka jest nie tylko władać tą Galaktyką, ale wszystkim - całym wszechświatem.

- Musiałbyś dość długo żyć - stwierdził Sutton z niespodziewaną kpinią w głosie.

- Oczywiście, nie doczekam tego - rzekł Trevor. - Ani ty. Ani dzieci naszych dzieci, ani też wiele następnych pokoleń ich dzieci.

- To potrwa milion lat.

- Więcej niż milion - odparł spokojnie Trevor. - Nic o tym nie wiesz. Nie możesz sobie wyobrazić rozmiarów wszechświata. Za milion lat osiągniemy dobry początek...

- Dlaczego więc, na litość boską, siedzimy tu teraz i roztrząsamy tę sprawę?

- Ze względu na logikę.

- Nie ma żadnego sensu w planowaniu przyszłości na milion lat - zaproponował Sutton. - Człowiek może, jeżeli zechce, zaplanować sensownie swoje życie, i jest to jakaś logika. Albo życie swoich dzieci, i w tym też będzie jakaś logika... a może nawet życie swoich wnuków. Ale już dalej kończy się logika.

- Sutton, czy kiedykolwiek słyszałeś o korporacji?

- No cóż, tak, oczywiście...

- Korporacja może planować przyszłość na milion lat. I to całkiem racjonalnie.

- Korporacja nie jest człowiekiem - stwierdził Sutton. - Nie jest jednostką.

- Ależ jest - zaprotestował Trevor. - Jednostką składającą się z wielu ludzi i stworzoną przez ludzi w celu spełnienia ich życzeń. Jest żywym, twórczym pojęciem, przekazywanym z pokolenia na pokolenie dla urzeczywistnienia planów zbyt rozległych, aby można je było zrealizować w ciągu życia jednego człowieka.

- Twoja korporacja publikuje książki, prawda? - zapytał nagle Asher.

Trevor popatrzył na niego uważnie.

- Kto ci to powiedział? - warknął.

- Dwaj mężczyźni, Case i Pringle - odparł. - Próbowali kupić ode mnie książkę dla korporacji.

- Case i Pringle są w misji - oznajmił Trevor. - Spodziewam się ich powrotu...

- Oni nie wrócą - rzekł Sutton.

- Zabiłeś ich - stwierdził beznamiętnie Trevor.

- Najpierw oni próbowali mnie zabić.

- Działali niezgodnie z moimi rozkazami, Sutton. Nie chciałem, żebyś zginął.

- Załatwiali własny interes. Chcieli sprzedać moje zwłoki Morganowi.

Trudno stwierdzić, pomyślał Asher, czy go to dotknęło. Nic nie zmieniło się w jego oczach, przez jego twarz nie przebiegł najmniejszy nawet grymas.

- Jestem ci wdzięczny, że ich zabiłeś - powiedział Trevor. - Oszczędziłeś mi zachodu.

Rzucił spinaczem w stronę kałamarza i trafił.

- To logiczne - podjął wątek - że korporacja może planować przyszłość na milion lat. Nakreśla ramy, w których można bez przeszkód kontynuować program, mimo że kierujący nim personel będzie się zmieniał od czasu do czasu.

- Chwileczkę - przerwał mu Sutton. - Czy to faktycznie korporacja, czy po prostu opowiadasz jakieś bajeczki?

- Korporacja - potwierdził Trevor - a ja jestem człowiekiem, który stoi na jej czele. Różne grupy interesów łączą swoje zasoby... i w miarę upływu czasu będzie ich coraz więcej. Kiedy tylko uda nam się wykazać jakimiś konkretnymi rezultatami.

- Za konkretne rezultaty uważasz przeznaczenie tylko i

wyłącznie dla rasy ludzkiej?

Jego rozmówca skinął głową.

- Wtedy będziemy mieli o czym mówić. Towar do sprzedania. Coś, co wzmocni naszą pozycję przetargową.

Sutton pokręcił głową.

- Nie rozumiem, co spodziewasz się uzyskać?

- Chcę trzech rzeczy - wyjaśnił Trevor. - Bogactwa, władzy i wiedzy. Bogactwa, władzy i wiedzy wszechświata. Tylko dla Człowieka, rozumiesz. Dla jednej rasy. Dla ludzi takich jak ty i ja. A spośród tych trzech celów wiedza będzie zapewne największą zdobyczą, ponieważ - połączona, skorelowana i skoordynowana - stanie się źródłem jeszcze większego bogactwa i władzy... I w konsekwencji większej wiedzy.

- Szaleństwo - stwierdził Sutton. - Zanim praca dobiegnie końca, i ja, i ty, Trevorze, dawno obrócimy się w pył. I nie tylko my, lecz cała nasza epoka będzie już zapomniana.

- Pamiętaj o korporacji.

- Pamiętam - odparł Asher - ale nic nie mogę na to poradzić, że myślę kategoriami ludzi. Takich jak ty, ja i inni do nas podobni.

- Myślmy więc kategoriami ludzi - zgodził się jego rozmówca. - Pewnego dnia życie, które płynie w tobie, będzie zawarte w mózgu, krwi i mięśniach Człowieka - współwłaściciela wszechświata. Tryliony trylionów istnień będą mu służyć, będzie dysponował niezliczonymi bogactwami i wiedzą, o jakiej ani ty, ani ja nawet nie możemy marzyć.

Sutton siedział zgarbiony w fotelu, nie odzywając się ani słowem.

- Jesteś jedynym człowiekiem, który przeszkadza temu dziełu i blokuje projekt obliczony na miliony lat.

- Potrzebujesz przeznaczenia - powiedział Sutton - a ono nie

jest moją własnością, którą mógłbym oddać.

- Jesteś istotą ludzką - odrzekł spokojnym tonem Trevor. - Jesteś człowiekiem. I mówię o przedstawicielach twojej rasy.

- Przeznaczenie - stwierdził Asher - należy do wszystkiego, co żyje. Nie tylko do Człowieka, ale do każdej formy życia.

- Wcale nie musi - oznajmił Trevor. - Jesteś jedynym człowiekiem, który o tym wie i może swoją wiedzę przekazać. Możesz ofiarować to przeznaczenie tylko rasie ludzkiej, a nie każdej pełzającej, skrzeczącej czy piszczącej rzeczy dysponującej darem życia.

Sutton nie odpowiedział.

- Jedno twoje słowo - kusił Trevor - i tak się stanie.

- Twój plan jest niewykonalny - odparł Asher. - Pomyśl o rozległości czasu, o tysiącach lat potrzebnych, nawet przy prędkości naszych statków międzygwiazdnych, do pokonania przestrzeni międzygalaktycznej. Jedynie tej, która dzieli naszą Galaktykę od następnej... a nie tę Galaktykę od wszechświata.

Trevor westchnął.

- Zapomniałeś, co mówiłem o łączeniu wiedzy. Dwa i dwa nie daje czterech, przyjacielu, ale o wiele więcej. Nieraz wiele tysięcy razy więcej.

Sutton pokręcił głową ze zmęczeniem.

Trevor miał rację. Wiedza i technika będą się potęgować, tak jak to przewiduje. Gdyby Człowiek miał czas tego dokonać, nawet wiedza w obrębie jednej tylko galaktyki...

- Jedno twoje słowo - rzekł szef korporacji - a wojna w czasie się zakończy. Jedno twoje słowo, a na zawsze zapewni się bezpieczeństwo rasie ludzkiej. Dzięki prawdom, które tylko ty możesz przekazać.

- Ale twoja teoria jest fałszywa - stwierdził Sutton.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Nie potrzebujesz objawionego przeznaczenia, aby realizować swój projekt.

- Musimy zdobyć poparcie całej ludzkości - stwierdził Trevor. - Czyli dysponować czymś dostatecznie wielkim, co pobudzi jej wyobraźnię. Czymś niezwykle ważnym, mobilizującym. Tym czymś w odniesieniu do wszechświata może być właśnie objawione przeznaczenie.

- Dwadzieścia lat temu - powiedział Asher - przyłączyłbym się do ciebie.

- A teraz? - zapytał Trevor.

Sutton pokręcił głową.

- Teraz nie. Wiem więcej niż przed dwudziestoma laty. Wtedy byłem człowiekiem, Trevorze. A teraz nie mam już tej pewności, czy jestem całkowicie człowiekiem.

- Nie wspomniałem o wynagrodzeniu - dodał Trevor. - To chyba nie wymaga wyjaśnień.

- Nie, dziękuję - odparł Sutton. - Na życie mi wystarczy.

Trevor rzucił spinaczem w kałamarz i chybił.

- Kiepsko ci idzie - zauważył Asher. - Bardzo obniżyłeś procent trafień.

Szef korporacji wziął kolejny spinacz.

- W porządku - powiedział. - Baw się dobrze. Toczy się wojna, którą wygramy. Piekielnie trudno w niej walczyć. ale staramy się, jak możemy. Nie rozgrywamy jej wszędzie, nie widać żadnych zewnętrznych oznak walk, ponieważ, jak ci dobrze wiadomo. Galaktyka cieszy się pełnym i absolutnym pokojem pod rządami dobroczynnych Ziemi. Możemy wygrać bez ciebie, Sutton, ale z tobą byłoby nam łatwiej.

- Masz zamiar puścić mnie wolno? - zapytał Asher z kpiącym

zdziwieniem w głosie.

- Ależ oczywiście - odparł Trevor. - Idź i tłucz nadal głową w mur. W końcu się tym zmęczysz. Albo dasz sobie spokój, bo będziesz kompletnie wyczerpany. Wtedy wrócisz i dasz nam to, czego chcemy.

Sutton podniósł się z fotela i stał przez chwilę, niezdecydowany.

- Na co czekasz? - zapytał Trevor.

- Zastanawia mnie jedno. Kiedyś, gdzieś książka została już napisana. Jest faktem niemal od pięciuset lat. W jaki sposób zamierzasz zmienić ten fakt? Gdybym napisał ją teraz według twoich życzeń, zmieniłaby się cała struktura ludzkości...

Trevor się roześmiał.

- Ależ wszystko przemyśleliśmy. Powiedzmy, że wreszcie, po tylu latach, odnaleziono oryginał twojego rękopisu. Zostałby wtedy szybko i w niepodważalny sposób zidentyfikowany na podstawie pewnych charakterystycznych elementów, które starannie włączyłbyś do niego w trakcie pisania. Odnaleziono by go, ogłoszono, a co ważniejsze, udowodniono jego autentyczność... No i rasa ludzka otrzymałaby swoje przeznaczenie.

Wytlumaczylibyśmy nieprzyjemności, które zdarzyły się w przeszłości, powołując się na niezwykle przekonujące historyczne dowody wcześniejszych manipulacji z rękopisem. Gdybyśmy tego dokonali, nawet twoi przyjaciele, androidy, musiałyby uwierzyć w tę interpretację.

- Sprytne - przyznał Sutton.

- Też tak uważam - odparł Trevor.

Przy wejściu do budynku czekał na niego mężczyzna. Uniósł dłoń w geście przypominającym pozdrowienie.

- Chwileczkę, panie Sutton.

- Tak, słucham?

- Kilku nas będzie panu towarzyszyć. Takie mamy rozkazy, rozumie pan?

- Ale...

- To nic osobistego, proszę pana. Nie będziemy panu w niczym przeszkadzać. Jedynie pana chronić.

- Chronić mnie?

- Oczywiście, proszę pana. Ludzie Morgana, rozumie pan? Nie możemy pozwolić, żeby pana sprzątnęli.

- Nie ma pan pojęcia - rzekł kpiąco Sutton - jak głęboko jestem wdzięczny za okazywaną mi troskę.

- Drobiazg, proszę pana - odparł mężczyzna. - Po prostu codzienna praca. Cieszę się, że mogę pomóc. Nie ma o czym mówić.

Cofnął się. Sutton zaś odwrócił się, zszedł po stopniach i ruszył wysypaną szutrem ścieżką na skraju alei.

Słońce chyliło się ku zachodowi i kiedy obejrzał się przez ramię, zobaczył rysujące się na tle jaskrawo oświetlonego zachodniego nieboskłonu wysokie, proste linie gigantycznego biurowca, w którym rozmawiał z Trevorem. Nie dostrzegł jednak nikogo, kto mógłby mu towarzyszyć.

Nie miał dokąd iść. Nie miał pojęcia, dokąd iść. Ale zdawał sobie sprawę, że nie może stać z założonymi rękami. Będę szedł,

powiedział do siebie, myślał i czekał, co się zdarzy.

Spotykał innych spacerujących. Kilka osób spojrzało na niego ze zdziwieniem i dopiero wtedy uświadomił sobie, że wciąż jest ubrany w dwudziestowieczny strój robotnika z farmy: kombinezon z niebieskiego dżinsu, bawełnianą koszulę i ciężkie robocze buty.

Wiedział jednak, że nawet tak niezwykły strój nie wywoła tu zbędnych podejrzeń. Na Ziemi, rojącej się od dygnitarzy z najdalszych systemów gwiazdnych, pracujących w rozmaitych agencjach rządowych przedstawicieli różnych ras, studentów na wymianie, dyplomatów i parlamentarzystów z prowincjonalnych planet, żaden ubiór nie mógł wywołać żywszej reakcji niż co najwyżej łagodne zdziwienie.

Rankiem, postanowił, będzie musiał znaleźć jakąś kryjówkę, miejsce do odpoczynku i spróbować uporządkować sobie obraz tego świata, oddalonego o pięć wieków od jego epoki. Postara się również odnaleźć jakiegoś godnego zaufania androida, który pomoże mu nawiązać kontakt z ich organizacją... Bo chociaż nigdy o niej nie słyszał, niewątpliwie taka istniała. Inaczej nie byłoby w stanie toczyć wojny w czasie.

Zszedł ze ścieżki na poboczu drogi i ruszył inną, ledwo widoczną dróżką, prowadzącą przez mokradła w stronę widniejącego na północy pasma niskich pagórków.

Nagle uświadomił sobie, że jest głodny i powinien zajść do jednego z barów w biurowcu. Natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że nie miałby czym zapłacić za posiłek. Dysponował zaledwie kilkoma dolarami z dwudziestego wieku, które jako środek płatniczy były tu bez wartości, choć niewykluczone, że osiągały znaczną cenę na rynku kolekcjonerskim.

Zapadł zmierzch i żaby zaczęły swoje chóralne śpiewy.

Najpierw daleko, a potem - w miarę jak dołączały się kolejne - całe bagno rozbrzmiało gardłowym rechotaniem. Sutton poruszał się w świetle tych niezwykłych dźwięków i kiedy tak szedł, wydawało mu się, że jego stopy nie dotykają podłoża, ale unoszą go nad nim, pędzone falą dźwięku wzbijającego się z ziemi na spotkanie pierwszych bladych gwiazd świecących nad leżącymi przed nim mrocznymi pagórkami.

Przed paroma godzinami, pomyślał, w dwudziestym wieku szedłem pełną kurzu drogą na grzbiecie wzgórza, podnosząc biały pył... I trochę tego pyłu, zauważył, wciąż trzymało się jego butów. Niemal tak, jak wspomnienie owej drogi trzymało się jego pamięci. Pamięć i kurz, powiedział do siebie. Więź z przeszłością.

Dotarł do wzgórz. Noc była pełna zapachu sosen i leśnych kwiatów. Dotarł na szczyt niewielkiego wzniesienia i stał na nim przez chwilę, zatopiony spojrzeniem w aksamitną miękkość nocy. Gdzieś, tuż obok, pasikonik stroił ostrożnie swoje skrzypce, a od mokradeł dobiegało stłumione rechotanie żab. W ciemności przed nim szumiał strumień, płynąc swoim skalistym korytem, i mówił. Mówił do drzew, porośniętych trawą brzegów, kwiatów zwieszających nad nim pogrążone we śnie głowy.

- Chętnie bym się zatrzymał - oznajmił. - Chętnie bym się zatrzymał i porozmawiał z wami. Ale nie mogę, rozumiecie. Muszę się spieszyć. Jest takie miejsce, do którego powinienem dotrzeć. Nie mogę tracić ani chwili. Bardzo, bardzo się spieszę.

Jak Człowiek, pomyślał Sutton. Ponieważ Człowiek pędzi wciąż naprzód niczym strumień, ponaglany okolicznościami i potrzebami, ambicją innych niespokojnych ludzi, nie pozwalającym mu stanąć w miejscu.

Nie usłyszał żadnego dźwięku, ale poczuł, jak na jego ramię spada wielka dłoń i ściąga go ze ścieżki. Szarpnął się w bok i

wyrwał z kleszczy. Dostrzegł niewyraźną sylwetkę mężczyzny, który go schwytał. Zacisnął dłoń w pięść. zamachnął się, z całej siły opuścił ją na ciemną głowę, ale cios nigdy nie dotarł do celu. Rozpędzone ciało uderzyło go pod kolana, ramiona oplotły mu nogi i Sutton zachwiał się, po czym runął na twarz.

Natychmiast usiadł i gdzieś z prawej strony usłyszał cichą pukanie szybką wymianą ognia. Kątem oka zarejestrował w mroku jaskrawe migotanie wystrzałów. Potem z nicości wyłoniła się dłoń i przykryła mu nos i usta.

Proszek! - pomyślał. I w tej samej chwili przestał widzieć inne ciemne postacie wśród drzew, słyszeć rechotanie żab i odgłos wystrzałów.

Sutton otworzył oczy. Leżał spokojnie w łóżku. Przez okno wpadał powiew wiatru, a pokój - ozdobiony fantastycznymi żywymi freskami - zalany był jaskrawym Światłem słonecznym. W powietrzu czuło się aromat kwiatów, a na drzewie koło okna ćwierkał radośnie jakiś ptak.

Wolno pozwolił swoim zmysłom ogarnąć pokój, zebrał o nim informacje, zbadał jego obcość... Nie znane mu meble, kształt samego pomieszczenia, zielone i fioletowe małpki goniące się po falistej lianie biegnącej wokół ścian.

Jego umysł spokojnie zaczął się cofać do ostatnich świadomych momentów. Rozbłyski wystrzałów w nocy, a potem wyłaniająca się z mroku dłoń zakrywająca mu nos i usta.

Uspili mnie, pomyślał. Uspili i porwali.

Wcześniej słyszał świerszcza, żaby skrzeczące w mokradłach i gadatliwy strumień płynący w dół wzgórza, spieszący się do jakiegoś swojego celu.

Jeszcze wcześniej za biurkiem naprzeciwko niego siedział mężczyzna i mówił o korporacji, marzeniach i planach.

Fantastyczne, myślał Sutton. W jaskrawym świetle zalewającym pokój sama idea wydała mu się absolutnie fantastyczna: Człowiek, który powinien sięgnąć nie tylko po gwiazdy, ale i galaktyki.

Była w tym wielkość. Niegdyś uważano za fantazję myśl, że Człowiek zdoła kiedykolwiek oderwać się od powierzchni swojej rodzinnej planety. Kiedy indziej znowu uważano za niemożliwe przekroczenie przez Człowieka granic Układu Słonecznego,

dotarcie do nicości rozciągającej się pomiędzy gwiazdami.

Trevor reprezentował siłę i przekonanie. Niewątpliwie wiedział, dokąd zmierza, dlaczego to robi i jaka będzie tego cena. “Objawione przeznaczenie”, powiedział. Taka właśnie jest cena. Tego właśnie mu potrzebna.

Człowiek stałby się potęgą, niemal bogiem. Ludzka definicja życia i myśli byłaby podstawowym kryterium dla całego wszechświata, dla kruchych bąbelków czasu i przestrzeni unoszących się na morzu tajemnic niedostępnych dla żadnego umysłu. I być może gdyby Człowiekowi udało się wreszcie osiągnąć swój cel, byłby zdolny przeniknąć także te tajemnice.

W rogu pokoju stało lustro. Zobaczył w nim odbicie dolnej części swego ciała. Leżał na łóżku i, nie licząc szortów, był zupełnie nagi. Poruszył palcami stóp i spojrzał na ich odbicie w zwierciadle.

“Tylko ty możesz nas powstrzymać”, powiedział mu Trevor. “Jesteś jedynym człowiekiem przeszkadzającym Człowiekowi. Jesteś kamieniem, o który się potykamy. Uniemożliwiasz ludziom przekształcenie się w bogów”.

Ale nie wszyscy ludzie myślą tak jak Trevor. Nie wszyscy są ogarnięci ślepyim szowinizmem rasy ludzkiej. Przecież pewnego południa rozmawiali z nim delegaci Ligi Równouprawnienia Androidów.

Niewątpliwie byli pomyleńcami, żarliwymi krzyżowcami sprawy, która stanowiła źródło otaczającej ich cichej i niszczącej pogardy. Nawet androidy nie solidaryzowały się z nimi; nawet androidy, na rzecz których działali, dostrzegały nieefektywność i napuszony ekshibicjonizm ich wysiłków.

Ponieważ rasa ludzka, pomyślał Sutton, nawet przez chwilę nie może zapomnieć, że jest ludzka, nie potrafi zdobyć się na

pokorę i bezwarunkowo zaakceptować równość. I chociaż Liga walczyła o równouprawnienie androidów, jej członkowie nie potrafili wyzbyć się protekcjonalności wobec tych, których chcieli uczynić równymi sobie.

Jak to określił Herkimer? “Równouprawnienie, którego nie będziemy zawdzięczać specjalnej łasce albo tolerancji ludzi” - czy coś w tym rodzaju. Ale przecież był to jedyny sposób, żeby rasa ludzka kiedykolwiek wyraziła zgodę na równouprawnienie - albo w drodze łaski, albo aroganckiej tolerancji.

Tak, ta żałosna garstka członków Ligi to były jedyne istoty, do których mógł się zwrócić o pomoc: do mężczyzny z czapką w brudnych rękach, do starej, pompatycznej kobiety i do drugiego mężczyzny, dysponującego mnóstwem czasu i bez żadnego zajęcia.

I jeszcze, pomyślał Sutton... jeszcze jest Eva Armour. Mogą też być inni, podobni do niej. Pracują zapewne gdzieś z androidami, nawet w tej chwili. Opuścił nogi z łóżka i usiadł na jego krawędzi. Na podłodze stała para pantofli. Wsunął w nie stopy i podszedł do lustra. Spojrzała z niego obca twarz, twarz, której nigdy dotąd nie widział, i przez chwilę poczuł, jak mózg zalewa mu mętna fala paniki. Pod wpływem nagłego podejrzenia podniósł rękę do czoła i potarł widniejącą tam, wyraźnie namalowaną między brwiami plamę. Pochylił się, uważnie oglądając się w lustrze, aby sprawdzić swój domysł. Plama na czole była znakiem identyfikacyjnym androida! Klucz identyfikacyjny i numer seryjny! Starannie zbadał palcami swoją twarz i odkrył plastikowe wstawki zmieniające rysy nie do poznania. Wrócił do łóżka, usiadł na nim ostrożnie i z całej siły chwycił się dłońmi krawędzi materaca. Zamaskowany, powiedział do siebie. Przerobiony na androida. Porwano go jako człowieka, a obudził

się jako android!

Drzwi szczęknęły i stanął w nich Herkimer, mówiąc:

- Dzień dobry panu. Mam nadzieję, że jest panu wygodnie.

Sutton wyprostował się gwałtownie.

- A więc to ty?

Herkimer z zadowoleniem kiwnął głową.

- Do pańskich usług. Czy życzy pan sobie czegoś?

- Nie musiałeś mnie usypiać - stwierdził z wyrzutem Sutton.

- Musieliśmy działać szybko, proszę pana - odparł android. - Nie mogliśmy pozwolić, aby skomplikował pan sytuację, błąkał się bez celu, zadając pytania i domagając się odpowiedzi, co się właściwie dzieje. Uspiliśmy pana i wywieźliśmy. Proszę mi wierzyć, w ten sposób wszystko odbyło się o wiele prościej.

- Była jakaś strzelanina - powiedział Asher. - Słyszałem wystrzały.

- Prawdopodobnie - odrzekł Herkimer - kręciło się w okolicy paru Rewizjonistów. Przyznam szczerze, że trochę niezręcznie mi o tym mówić...

- Wplątaliście się w awanturę z Rewizjonistami?

- No cóż, prawdę mówiąc - przyznał android - niektórzy byli do tego stopnia nieroztropni, że próbowali wyciągnąć broń. To naprawdę nierozważne z ich strony, proszę pana. Bardzo źle na tym wyszli.

- Ale jeżeli chcieliście w ten sposób wyrwać mnie ze szponów bandy Trevora - odparł Sutton - to nic nie osiągnęliście. Trevor na pewno użył psychodetektora. Wie, gdzie jestem, i zorganizował taką obserwację, że mysz się nie przemknie.

Herkimer uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście, proszę pana. Jego ludzie niemal potykają się o siebie.

- Po co więc cała ta zabawa? - zapytał ze złością Sutton. - Po co mnie przebraliście?

- No cóż, proszę pana - wyjaśnił Herkimer. - Doszliśmy do wniosku, że żaden zdrowy na umyśle człowiek nie chciałby, aby go wzięto za androida. Dlatego upodobniliśmy pana do mnie. Będą zwracali uwagę na ludzi. Nie przyjdzie im do głowy, aby poświęcić choćby minimum uwagi androidowi.

- Sprytnie - mruknął Asher. - Mam nadzieję, że to nie...

- Och, oczywiście, że wkrótce się zorientują - przyznał radośnie Herkimer. - Ale zyskamy już wystarczająco dużo czasu, aby przygotować jakiś plan działania...

Kręcił się po pokoju, otwierając szuflady i wyjmując ubrania.

- Bardzo się cieszę - zapewnił - że jest pan znowu z nami. Próbowaliśmy pana odnaleźć, ale bezskutecznie. Przypuszczaliśmy, że to Rewizjoniści gdzieś pana ukryli, więc podwoiliśmy nasze posterunki obserwacyjne i zwracaliśmy baczniejszą uwagę na wszystko, co się działo. W ciągu minionych pięciu tygodni znaleźliśmy każdy ruch Trevora i jego bandy.

- Pięć tygodni! - jęknął Sutton. - Powiedziałeś, pięć tygodni?

- Oczywiście, proszę pana. Pięć tygodni. Zniknął pan dokładnie przed siedmioma tygodniami.

- Według mojego kalendarza - oznajmił Asher - minęło dziesięć lat.

Android z niezmaconym spokojem pokręcił głową.

- Czas jest dziwaczną sprawą. Wyprawia z człowiekiem różne rzeczy.

Położył ubranie na łóżku.

- Jeżeli zechce pan to włożyć, będziemy mogli zejść na śniadanie. Eva czeka na nas. Bardzo się ucieszy ze spotkania z panem.

.. 45 ..

Trevor chybił trzy rzuty z rzędu. Pokręcił ze smutkiem głową.

- Jesteś tego pewien? - zapytał człowieka siedzącego z drugiej strony biurka.

Mężczyzna zacisnął usta i skinął głową.

- Może to propaganda androidów? - domyślał się Trevor. - Są sprytne. Nie wolno ci o tym zapominać. Android, chociaż się kłania i uśmiecha, jest równie przebiegły jak my.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, co to oznacza? - zapytał mężczyzna. - To znaczy, że...

- Mogę ci powiedzieć, co to znaczy - rzekł szef korporacji. - Od tej chwili nie możemy być pewni, kto z nas jest człowiekiem. Nie zdołamy określić, kto jest człowiekiem, a kto androidem. Może ty jesteś androidem? Może ja...?

- Właśnie - przytaknął jego rozmówca.

- Dlatego Sutton był wczoraj po południu taki pewny siebie - stwierdził Trevor. - Siedział na twoim miejscu i przez cały czas miałem wrażenie, że się ze mnie śmieje...

- Nie przypuszczam, by Sutton o tym wiedział - odparł mężczyzna. - To tajemnica androidów. Zna ją jedynie kilka z nich. Z pewnością nie zaryzykują przekazania jej człowiekowi.

- Nawet Suttonowi?

- Nawet Suttonowi.

- Kołyska - powiedział Trevor. - Trzeba przyznać, że wymyślili tę nazwę z dużym wyczuciem.

- Z całą pewnością musi pan coś z tym zrobić - rzucił ze zniecierpliwieniem mężczyzna.

Trevor oparł łokcie na biurku.

- Oczywiście - oznajmił. - A teraz słuchaj uważnie. Zrobimy tak...

.. 46 ..

Eva Armour podniosła się z za stołu na patio i podała Suttonowi na powitanie obie ręce. Przyciągnął ją mocno do siebie i pocałował.

- To za miliony razy, kiedy o tobie myślałem - oświadczył.

Roześmiała się, nagle szczęśliwa i radosna.

- Ash! Miliony razy?

- Zaplątanie czasu - wyjaśnił Herkimer. - Był tam dziesięć lat.

- Och! - westchnęła Eva. - Ash, to straszne.

Uśmiechnął się do niej.

- Nie za bardzo. Miałem dziesięć lat wypoczynku. Dziesięć lat ciszy i spokoju. Pracowałem na farmie, wiesz? Początkowo było trochę trudno, ale kiedy musiałem stamtąd odejść, zrobiło mi się żal. Podsunął jej krzesło, po czym usiadł między nią a Herkimerem.

Jedli jajka na szynce, grzanki i marmoladę, pili mocną czarną kawę. Na patio było przyjemnie. W koronach drzew nad ich głowami ptaki kłóciły się przyjaźnie. W koniczynie rosnącej na krawędzi chodnika z kamieni i cegły brzęczały pszczoły przelatujące z kwiatu na kwiat.

- Jak ci się podoba mój dom, Ash? - spytała Eva.

- Jest wspaniały - odparł i jakby te dwie myśli miały ze sobą jakiś związek, dodał: - Widziałem się wczoraj z Trevorem. Zaprowadził mnie na szczyt góry i pokazał wszechświat.

Eva nabrała gwałtownie powietrza w płuca i Asher szybko podniósł wzrok znad talerza. Herkimer czekał. Twarz miał ściągniętą, widelec zamarł mu w połowie drogi do ust.

- Co się z wami stało? - spytał Sutton. - Nie macie do mnie zaufania?

I w chwili kiedy zadawał to pytanie, sam na nie odpowiedział: oczywiście, że nie. Był przecież człowiekiem i mógł ich zdradzić. Mógł przekształcić przeznaczenie w taki sposób, aby przypadło wyłącznie rasie ludzkiej.

- Ash - odezwała się Eva. - Odmówiłeś...

- Pozostawiłem Trevora w przekonaniu, że wrócę przedyskutować z nim tę sprawę ponownie. Nic, co powiedziałem lub zrobiłem, nie dawało mu do tego podstaw. Po prostu wierzy, że tak zrobię. Oświadczył, żebym poszedł i jeszcze trochę potłukł głową o mur.

- Czy myślał pan o tym? - spytał Herkimer.

Sutton pokręcił głową.

- Nie. Nie za bardzo. Nie usiadłem i nie starałem się wszystkiego przeanalizować, jeżeli o to ci chodzi. Miałoby to jakiś sens, gdybyście byli zwykłymi ludźmi. A ja czasem poważnie się zastanawiam, ile z człowieka pozostało we mnie.

- Jak wiele wiesz, Ash? - zapytała łagodnie Eva.

Potarł dłonią czoło.

- Przypuszczam, że bardzo dużo. Wiem o wojnie w czasie i dlaczego się toczy. Wiem o sobie. Mam dwa ciała i dwa umysły albo przynajmniej dodatkowe zastępcze ciało i umysł. Znam niektóre swoje możliwości. Niewykluczone, że są inne, z których nie zdaję sobie jeszcze sprawy. Może muszę do nich dorosnąć? Każde nowe działanie sprawia mi trudność.

- Na razie nie możemy wszystkiego wyjaśnić ci do końca - rzekła Eva. - Chociaż byłoby o wiele prościej, gdybyśmy mogli. Przede wszystkim nie uwierzyłybyś w ani jedno nasze słowo. Poza tym, kiedy się ma do czynienia z czasem, należy jak najmniej się

do niego wtrącać. Tylko w takim stopniu, aby skierować sprawy we właściwym kierunku.

Próbowałam cię ostrzec. Pamiętasz, Ash? Na tyle, na ile to było możliwe.

Skinął głową.

- Po tym, jak zabiłem Bentona w Domu Zaga. Powiedziałaś, że badałaś mnie przez dwadzieścia lat.

- I pamiętasz, byłam dziewczynką w fartuszkach w kratkę. Kiedy łowiłeś ryby...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Wiesz o tym? To nie była jedynie część snu Zaga?

- Identyfikacja - wyjaśnił Herkimer. - Aby mógł pan rozpoznać w niej przyjaciela; kogoś, kogo znał pan wcześniej i kto jest mu bliski. I w ten sposób zaufała jej.

- Ale ja śniłem.

- Sen Zaga - podjął Herkimer. - Zag jest jednym z nas. Jego rasa skorzysta, jeżeli przeznaczenie przypadnie wszystkim, a nie tylko ludziom.

- Trevor jest zbyt pewny siebie - stwierdził Sutton. - Nie tylko udaje, że jest pewny siebie, ale naprawdę taki jest. Wciąż wspominam ten jego żart: "Idź - powiedział - i potłucz jeszcze trochę głową o mur".

- Uważa cię za istotę ludzką - rzekła Eva.

Asher pokręcił głową.

- Nie przypuszczam. Musi mieć jakiś plan w zanadrze, jakiś wariant, którego nie możemy sprawdzić.

- Nie podoba mi się to, proszę pana - odezwał się wolno Herkimer. - Wyniki wojny wcale nie są tak pomyślne, jak to pozornie wygląda. Jeżeli będziemy musieli wygrać, przegramy.

- Jeżeli będziemy musieli wygrać? Nie rozumiem...

- Nie musimy jej wygrywać, proszę pana - objaśnił android. - Wystarczy jedynie toczyć walki opóźniające, zadbać, aby Rewizjoniści nie zniszczyli tej książki w takiej postaci, w jakiej ją pan napisze. Od samego początku nie próbowaliśmy niczego zmieniać. Usiłujemy powstrzymać ich przed dokonaniem zmian.

Sutton skinął głową.

- Natomiast Trevor, patrząc z jego punktu widzenia, musi wygrać w decydujący sposób. Musi zniszczyć oryginalny tekst albo zapobiec napisaniu go tak, jak zamierzam to zrobić, lub też zdyskredytować książkę tak, aby nawet android w nią nie uwierzył.

- Ma pan rację, proszę pana - przytaknął Herkimer.

- Jeżeli tego nie uczyni, ludzie nie będą mogli głosić, że przeznaczenie należy wyłącznie do nich. Nie zmuszą innych form życia, by uwierzyły, że jest ono zarezerwowane tylko dla rasy ludzkiej.

- I to wszystko, czego pragnie - dodała Eva. - Nie samego przeznaczenia, ponieważ żaden człowiek nie może wierzyć w przeznaczenie tak jak na przykład android. Dla Trevora jest to wyłącznie sprawa propagandy... Propagandy, dzięki której rasa ludzka tak całkowicie uwierzy w to, że jest wybrana, iż nie spocznie, dopóki nie opanuje wszechświata.

- Dopóki - powiedział Herkimer - możemy go przed tym powstrzymać, dopóty będziemy twierdzić, że wygrywamy. Ale równowaga sił jest tak delikatna, że jakakolwiek zmiana strategii którejś ze stron może mieć poważny wpływ na dalszy bieg wydarzeń. Każda nowa broń może się okazać czynnikiem decydującym o zwycięstwie lub klęsce.

- Mam taką broń - stwierdził Sutton. - Wykonana na zamówienie, mogłaby ich pokonać... Ale nie sposób jej użyć.

Żadne z nich nie zadało pytania, lecz odczytał je z ich twarzy i odpowiedział:

- Jest zaledwie jeden jej egzemplarz. Jakby jeden tylko pistolet. Nie można toczyć wojny z jednym pistoletem.

Za węglem domu zadudniły szybkie kroki i kiedy się odwrócili, zobaczyli androida, biegnącego w ich stronę przez patio. Ubranie miał zakurzone, a twarz czerwoną z wysiłku. Stanął przed nimi, chwytając się krawędzi stołu.

- Próbowali mnie zatrzymać - wysapał. Mówił z przerwami, łapiąc wielkie hausty powietrza. - Dom jest otoczony...

- Andrew, ty głupcze - warknął Herkimer. - Co ci przyszło do głowy, żeby tu przybiec? Zorientują się...

- Dowiedzieli się o Kołysce - wykrztusił przybyły. - Oni...

Herkimer wyprostował się gwałtownie. Wstał tak energicznie, że fotel, na którym siedział, przewrócił się. Na jego zbielełej twarzy wyraźnie uwidocznił się identyfikacyjny tatuaż.

- Czy wiedzą, gdzie...

Andrew pokręcił głową.

- Nie. Dopiero co się dowiedzieli. Niedawno. Wciąż mamy czas...

- Wezwiemy wszystkie statki - stwierdził Herkimer. - Będziemy musieli wycofać wszystkie siły ze strategicznych punktów...

- Ależ nie możemy tego zrobić - jęknęła Eva. - Przecież o to właśnie im chodzi. Dzięki temu mogliśmy ich powstrzymać....

- Musimy - oznajmił ponuro Herkimer. - Nie mamy wyboru. Jeżeli zniszczą Kołyskę...

- Herkimer! - wykrzyknęła Eva, po czym nagle jej głos stał się śmiertelnie spokojny. - Znak!

Andrew obrócił się w jej stronę i zrobił krok do tyłu. Dłoń Herkimera wsunęła się szybko pod marynarkę. Posłaniec zaczął

biec w kierunku niskiego muru otaczającego patio.

Nóż w dłoni Herkimera błysnął w słońcu i nagle zmienił się w wirujący dysk lecący w ślad za uciekającym. Dogonił Andrew, zanim ten dobiegł do muru; android upadł na ziemię jak kłębek zmiętego ubrania.

Sutton spostrzegł, że nóż tkwi precyzyjnie w karku zabitego.

- Czy zwrócił pan uwagę - zapytał Herkimer - że drobiazgi, pospolite, nic nie znaczące czynniki, odgrywają wielką rolę w każdym prawie wydarzeniu?

Dotknął stopą zwiniętego ciała.

- Idealne - stwierdził. - Absolutnie idealne. Tyle tylko, że zanim się do nas zgłosił, powinien najpierw rozsmarować nieco farby na swoim znaku identyfikacyjnym. Wiele androidów postępuje tak, żeby go ukryć, ale rzadko kiedy daje to pozytywny rezultat. Po bardzo krótkim czasie tatuaż zaczyna przebijać.

- Ale po co miałyby to robić? - zapytał Sutton.

- Nasz maleńki szyfr - wyjaśnił Herkimer. - Bardzo prosty. Znak rozpoznawczy dla meldującego się agenta. Albo raczej hasło. Wystarczy ułamek sekundy. Trochę farby na palec i rozsmarować ją na czole.

- Taka prosta rzecz - dodała Eva - że nikt, absolutnie nikt nigdy nie zwrócił na nią uwagi.

Sutton skinął głową.

- Jeden z ludzi Trevora - powiedział.

- Udający jednego z naszych - przytaknął Herkimer. - Przysłali go, żeby nas wykurzył. Chcieli nas spłoszyć, zmusić, abyśmy popędzili ratować Kołyskę.

- Ta Kołyska...

- Ale to znaczy - wtrąciła Eva - że Trevor o niej wie. Nie orientuje się, gdzie ona jest, lecz wie, że istnieje. I będzie polował, dopóki jej nie znajdzie, a wtedy...

Herkimer powstrzymał ją gestem dłoni.

- Co się stało? - zapytał Asher.

Coś bowiem rzeczywiście się stało, coś bardzo poważnego. Cała atmosfera nagle się zmieniła. Zniknęło uczucie przyjaźni, zaufania i poczucia wspólnoty celów. Zniknęło, zniszczone przez androida, który przebiegł przez patio, zaczął mówić o czymś, co się nazywa Kołyska, i kilka sekund później zginął z nożem w karku.

Sutton odruchowo sięgnął myślą do umysłu Herkimera i natychmiast ją cofnął. Z tej umiejętności nie należy korzystać w stosunku do przyjaciela. Powinna się ona wiązać z zaufaniem. Nie można się nią posługiwać z ciekawości albo dla zabawy, lecz tylko wtedy, kiedy jej użycie usprawiedliwia cel.

- O co chodzi? - zapytał ponownie. - Co to za sprawa z...

- Proszę pana - oznajmił Herkimer - jest pan człowiekiem, a ta sprawa dotyczy wyłącznie androidów.

Asher stał przez chwilę, sztywno wyprostowany. Jego umysł starał się zneutralizować wstrząs, jaki wywarły na nim słowa androida, ale czuł, jak narasta w nim dzika wściekłość.

A potem z pełną świadomością, jakby dokładnie tak zamierzał postąpić i czyn ten podjął po jego starannym przemyśleniu, zacisnął dłoń w pięść i uderzył.

Był to paskudny cios, zadany z całą siłą, wzmocniony wagą ciała i złością. Herkimer upadł jak powalony młotem.

- Ash! - krzyknęła Eva. - Ash!

Schwyciła go za ramię, ale strząsnęła jej dłoń.

Herkimer siedział, zakrywając twarz rękami, a między jego palcami ciekła krew.

- Nie sprzedaję przeznaczenia - odezwał się do niego Sutton. - Nigdy nie miałem zamiaru go sprzedawać. Chociaż Bóg mi świadkiem, gdybym tak postąpił, w zupełności zasługiwalibyście

na taki los.

- Ash - rzekła cicho Eva. - Ash, musimy mieć pewność.

- W jaki sposób mogę was przekonać? - zapytał. - Macie tylko moje słowa.

- Sprawa dotyczy twojego narodu, Ash - powiedziała. - Twojej rasy. Ich wielkość jest również twoją wielkością. Nie możesz mieć pretensji do Herkimera, że myślał...

- To również twój naród - przerwał jej Asher. - Piętno, które na mnie spoczywa, płami i ciebie.

Pokręciła głową.

- Jestem szczególnym przypadkiem - odparła. - Zostałam sierotą, kiedy miałam zaledwie kilka tygodni. Opiekowała się mną rodzina androidów. Wychowali mnie. Herkimer był jednym z nich. Jestem bardziej androidem, Ash, niż istotą ludzką.

Herkimer wciąż siedział na trawie obok ciała agenta Trevora. Nie cofnął ręki od twarzy. Nic nie wskazywało na to, że ma taki zamiar. Krew nadal kapła między jego palcami i ciekła po przedramionach.

- Było mi bardzo miło znowu cię zobaczyć - zwrócił się do Evy Sutton. - I bardzo dziękuję za śniadanie.

Odwrócił się na pięcie, przeszedł przez patio i przekroczył niski murek. Znalazł się na ścieżce prowadzącej do drogi. Słyszał, jak woła, aby się zatrzymał, ale udał, że jej głos nie dociera do niego.

Powiedziała, że wychowały ją androidy. A jego wychował Buster. Buster, który nauczył go, jak się bić, kiedy sprzął go chłopak z sąsiedztwa. Buster, który spuścił mu solidne lanie za jedzenie zielonych jabłek. Buster, który przed pięciuset laty polecał skolonizować planetę.

Szedł, wciąż czując w sobie lodowatą wściekłość. Nie wierzą

mi, myślał. Boją się, że mógłbym ich sprzedać. Po tylu latach oczekiwania, planowania i rozmyślań!

- Co się stało, Ash?

- Co się dzieje, Johnny? O co tu chodzi?

- Jesteś trędowaty, Ash.

- Do diabła z tobą - odrzekł Sutton. - Z tobą i całą resztą.

Wiedział, że ludzie Trevora muszą znajdować się wokół domu, obserwując i czekając. Być może zatrzymają go. Ale nie, nie zrobili tego. Nie ujrzał żywego ducha.

Wszedł do budki widofonicznej i zamknął za sobą drzwi. Z półki na ścianie zdjął informator i odnalazł potrzebny numer. Wybrał go, wcisnął przełącznik i na ekranie pojawił się robot.

- Informacja - oznajmił robot. Jego wzrok spoczął na czole rozmówcy. Ponieważ był nim android, opuścił zwyczajowe "proszę pana". Informacja - powtórzył. - Archiwum. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Czy istnieje możliwość, że nasza rozmowa jest na podsłuchu?
- zapytał Sutton.

- Nie - odparł robot. - Absolutnie żadnej. Wiesz...

- Chciałbym sprawdzić wnioski osiedleńcze za rok siedem tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąty.

- Z Ziemi?

Sutton skinął głową.

- Chwileczkę.

Czekał i przyglądał się, jak robot wybiera odpowiednią szpulę i wkłada ją do przeglądarki.

- Są umieszczone w porządku alfabetycznym - wyjaśnił robot. - Jakie nazwisko potrzebujesz?

- Zaczyna się na S - rzekł Asher. - Pokaż mi S.

W czasie kiedy szpula się przewijała, obraz na ekranie migotał. Zwolnił na chwilę przy M, przeleciał do P i zaczął przesuwać się wolniej.

Wreszcie pojawiło się S.

- Bliżej końca - poleciał Sutton. - A teraz zatrzymaj.

Tu był zapis, którego szukał: Sutton, Buster...

Trzykrotnie przeczytał opis planety, aby mieć pewność, że go zapamięta.

- To wszystko - oznajmił. - Bardzo dziękuję.

Robot mruknął i wyłączył ekran.

Sutton wyszedł z budki i bez pośpiechu przeszedł przez hol biurowca, z którego dzwonił. Kiedy znalazł się na zewnątrz, ruszył wzdłuż drogi, skręcił na ścieżkę i znalazł ławeczkę miejscu, z którego rozpościerał się przyjemny widok. Usiadł na niej i starał się rozluźnić.

Wiedział że jest obserwowany. Trevor na pewno już się zorientował, że android, który wyszedł z domu Evy Armour, jest Suttonem. Psychodetektor od razu zidentyfikował jego tożsamość, a teraz śledził jego ruchy, aby liczni agenci mogli podjąć obserwację.

Uspokój się. Trać czas. Próżnuj. Postępuj tak, jakbyś nie miał nic do roboty, jakbyś o niczym nie myślał. Nie zdołasz ich oszukać. ale może przynajmniej uda ci się ich zaskoczyć swoim następnym posunięciem - nakazywał sobie.

Miał jeszcze wiele do zrobienia i sporo do przemyślenia. Szybko ułożył plan działania. Analizował go krok po kroku, sprawdzając wszelkie możliwości popełnienia błędu.

Najpierw wróci do domu Evy, żeby zabrać notatki, które pozostawił na łowieckiej asteroidzie. Ona lub Herkimer musieli je przechować przez te wszystkie lata... czy może tylko tygodnie. Będzie to nieco kłopotliwa i delikatna sprawa. W końcu jednak notatki należą do niego. Są jego własnością, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

- Przyszedłem odebrać swoje notatki. Przypuszczam, że masz je gdzieś tutaj?

Albo: - Pamiętasz walizeczkę, którą miałem ze sobą? Ciekaw

jestem , czy zaopiekowałaś się nią.

Albo: - Wyjeżdżam. Byłbym wdzięczny za moje noje notatki, jeżeli wpadły ci w ręce.

Albo...

Zresztą, nieważne. Bez względu na to, co zrobi lub powie, musi odzyskać papiery.

Do tego momentu powinien tracić czas, postanowił. Wróci do domu, kiedy będzie już niemal ciemno, i zabierze notatki. A potem trzeba będzie działać szybko szybko - tak szybko, aby banda Trevora nie zdołała go dopaść.

Następnym etapem będzie kradzież statku.

Zauważył go wcześniej tego dnia, gdy włączył się w rejonie kosmoportu. Smukły i nieduży, na pewno był szybki, a oficjalny, wojskowy sposób bycia oficera, który nadzorował jego zaprowiantowanie i tankowanie, zdawał się potwierdzać, że jest to pojazd, jakiego potrzebował

Kręcąc się przy ogrodzeniu siłowym, odgrywając rolę ciekawskiego, niegodnego uwagi androida, ostrożnie przeniknął do umysłu oficera. Dziesięć minut później poszedł dalej, dysponując już potrzebną informacją

Dowiedział się, że:

Statek ma zespół operowania czasem;

Wystartuje nie wcześniej niż jutro rano,

W nocy będzie przy nim wystawiona warta

Niewątpliwie, pomyślał Sutton, jest to jeden ze statków Trevora, jedna z bojowych jednostek floty kosmicznej Rewizjonistów. Zdobycie go będzie wymagało zimnej krwi, i szybkiego działania, czujności i zabijania, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Najpierw należy wmieszać się w tłum i wejść na pole startowe, odgrywając rolę oczekującego na przyłot statku, Następnie przejść przez lądowisko tak, jakby miał prawo na nim przebywać. Nie wolno biec... musi iść. Biec zacznie dopiero wtedy, gdy ktoś każe mu się zatrzymać i będzie zdecydowany wyegzekwować spełnienie rozkazu. Wtedy zacznie też walczyć. I zabijać, jeżeli okaże się to konieczne. Musi zdobyć kosmolot.

Zdobyć go i rozpędzić do granic możliwości. Lecieć w kierunku przeciwnym do celu jego podróży, wyciskając z pojazdu wszystko, co się da.

Po przebyciu dwóch lat świetlnych - albo wcześniej, jeśli będzie potrzeba - włączy zespół operowania czasem i przerzuci statek oraz siebie parę wieków w przeszłość. Gdy się już tam znajdzie, powinien wyłączyć silniki, ponieważ na pewno są w nie wmontowane systemy identyfikacji, które pozwolą go namierzyć. Odłączy je zatem i wyśle kursem, którym poprzednio podążał.

Przy pomocy swojego nieludzkiego ciała przejmie wówczas kontrolę nad pustym kadłubem, zawróci i skieruje w stronę planety Bustera, wciąż nabierając prędkości, aż do uzyskania fantastycznej szybkości, niezbędnej do przeskoczenia wielkich przestrzeni międzygwiazdowych.

Mimoходом zastanawiał się, jak napęd, którego źródłem będzie jego pochłaniające energię ciało, wypadnie w konfrontacji z obecnymi silnikami statku. Będzie lepszy, uznał. Lepszy niż silniki. Silniejszy i zapewniający większą prędkość. Podróż zajmie mu jednak wiele, wiele lat, ponieważ Buster znajdował się bardzo daleko.

Zaczął sprawdzać swój plan. Odłączenie silników pozwoli zmylić pogoń. Ścigający go podążą za sygnałami identyfikującymi tychże silników i stracą dużo czasu, zanim

zorientują się pomyłce.

Dobrze.

Skok w czasie uniemożliwi śledzenie go za pomocą psychodetektorów, ponieważ nie mogą one funkcjonować przez barierę czasową.

Dobrze.

Zanim zainstalują detektory w innych epokach, aby go odnaleźć, będzie już tak daleko, że aparatura zwariuje, próbując namierzyć miejsce jego pobytu - jeżeli w ogóle zdołają go wykryć w pustce zewnętrznych obszarów Galaktyki.

Dobrze.

Jeżeli wszystko się uda, pomyślał. Jeżeli nie popełnię jakiejś pomyłki, jeżeli nie nastąpi jakieś niespodziewane wydarzenie.

Wiewiórka przebiegła przez trawę, kucnęła i przyglądała mu się przez długą chwilę. W końcu uznała, że nie jest niebezpieczny i zaczęła z zapalem poszukiwać wyimaginowanego skarbu.

Oderwać się, snuł swoje refleksje. Oderwać od wszystkiego, co mnie krępuje. Oderwać się i wykonać zadanie. Zapomnieć o Trevorze i jego Rewizjonistach, o Herkimerze i androidach. Napisać książkę.

Trevor chce mnie kupić. A androidy mi nie ufają. Morgan zaś, jeśli tylko będzie miał okazję, zabije mnie.

Androidy mi nie ufają. Głupie, pomyślał. Dziecinne. Ale jednak nie ufają. "Jesteś człowiekiem", powiedziała Eva. "Ludzie są twoimi pobratymcami. Należysz do ludzkości".

Pokręcił głową, zagubiony w zawłościach sytuacji.

Jedno nie ulega wątpliwości - musi wykonać swoje zadanie. Ten obowiązek należy wyłącznie do niego i musi go spełnić, bo w przeciwnym razie wszystko inne nie będzie miało żadnego znaczenia.

Ten obowiązek nazywa się przeznaczeniem.

Zostałem obdarowany wiedzą o przeznaczeniu. Nie jako Człowiek, nie jako reprezentant rasy ludzkiej, ale jako instrument do przekazania tej wiedzy wszystkim innym myślącym formom życia.

Aby tego dokonać, muszę napisać książkę.

Muszę napisać ją tak jasno, dobitnie i uczciwie, jak tylko potrafię.

Kiedy tego dokonam, pozbędę się odpowiedzialności. Kiedy tego dokonam, nikt nie będzie już rościć do mnie żadnych praw.

Na ścieżce za ławką rozległy się kroki i Sutton się odwrócił.

- Pan Sutton, nieprawdaż? - zapytał mężczyzna.

Skinął głową.

- Siadaj, Trevorze - odparł. - Oczekiwałem cię.

- Nie zatrzymałeś się u swoich przyjaciół zbyt długo stwierdził Trevor.

Sutton pokręcił głową.

- Doszło między nami do nieporozumienia.

- Czy w związku z Kołyską?

- Możesz tak to ująć. Ale sprawa jest o wiele poważniejsza. Dotyczy fundamentalnych uprzedzeń androidów do ludzi i odwrotnie.

- Herkimer zabił androida, który przyniósł mu wiadomość o Kołysce - rzekł Trevor.

- Uważał, że jest twoim szpiegiem. Kimś udającym androida. Dlatego go zabił.

Trevor zrobił świętoszkowatą minę.

- Niedobrze - oznajmił. - Bardzo niedobrze. Czy mógłbyś mi wyjawić, w jaki sposób rozpoznał ten... powiedzmy... podstęp?

- Tego ci nie zdradzę.

Przywódca korporacji starał się sprawiać wrażenie, że go to nie obchodzi.

- No cóż - odparł. - Niestety, nie udało się. Nie udało.

- Chcesz powiedzieć, że androidy nie popędziły na złamanie karku do Kołyski i nie pokazały ci, gdzie się znajduje?

Trevor skinął głową.

- Był jeszcze inny aspekt tej sprawy. Liczyliśmy, że wycofają siły z niektórych strategicznych punktów. Trochę by nam to ułatwiło sytuację.

- Podwójny cel - stwierdził Sutton.

- Och, z całą pewnością. Nie ma nic lepszego, niż postawić przeciwnika w trudnej sytuacji.

Zerknął na swego rozmówcę.

- Od kiedy - zapytał - i dlaczego zrezygnowałeś z człowieczeństwa?

Sutton podniósł dłoń do twarzy i poczuł pod palcami twardy plastik, który nadał jej rysy innej osoby.

- To pomysł Herkimera - oświadczył. - Aby utrudnić moją identyfikację. Przecież nie rozkazałeś szukać androida?

Trevor kiwnął głową.

- Mogłoby ci to trochę pomóc - powiedział. - Przez jakiś czas mielibyśmy kłopoty, kiedy jednak wyszedłeś z domu, a detektor zaczął wskazywać twoje zamiary, od razu wiedzieliśmy, że to ty.

Wiewiórka przybiegła przez trawę, usiadła przed nimi i przyglądała się uważnie.

- Sutton - zapytał Trevor - co wiesz o Kołysce?

- Nic. Oświadczyli mi, że jestem człowiekiem, a Kołyska jest sprawą androidów.

- Widzisz więc, jakie to musi być dla nich ważne.

- Chyba wiem.

- Na podstawie samej nazwy możesz się domyślić, o co chodzi.

- Raczej nietrudno to odgadnąć.

- Ponieważ potrzebowaliśmy większych sił ludzkości - oznajmił Trevor - przed tysiącem lat sporządziliśmy pierwsze androidy. Potrzebowaliśmy ich, aby uzupełnić zbyt małą liczbę ludzi. Uczyniliśmy ich maksymalnie podobnymi do nas. Są zdolne do normalnej ludzkiej egzystencji, z jednym tylko wyjątkiem.

- Nie mogą się reprodukcować - podjął Sutton. —Ciekaw jestem, Trevorze, czy gdyby to było możliwe. dalibyśmy im taką szansę.

Wtedy przecież nie miałyby już ani jednej odmiennej cechy. Nie byłoby różnicy pomiędzy tymi ludźmi, których przodkowie zostali wykonani w laboratorium, a tymi, których protoplasci wyłonili się z pierwotnego oceanu. Gdyby androidy stały się samoreprodukującą rasą, po prostu przestałyby być androidami. Stałyby się ludźmi. Nasza populacja byłaby uzupełniana zarówno drogą chemiczną, jak i biologiczną.

- Nie wiem - odrzekł Trevor. - Uczciwie przyznaję, że nie wiem. Oczywiście, cudowny jest fakt, że możemy je produkować, możemy tworzyć życie w laboratorium. Pomyśl o niezbędnym intelektualnym potencjale i technicznym geniuszu. Od stuleci ludzie próbowali dowiedzieć się, czym jest życie, nieustannie trafiali w ślepe uliczki, napotykali kolejne mury. Kiedy nie potrafili znaleźć naukowej odpowiedzi, wielu z nich sięgało do metafizyki, mistyki, głosiło, że życie jest przejawem boskiej interwencji. Taką teorię doskonale wyraził w dwudziestym wieku Nouy.

- Ale ofiarowaliśmy androidom również coś, czego sami nie mieliśmy - zauważył spokojnie Sutton.

Trevor spojrzał na niego z nagłą podejrzliwością.

- Co...?

- Daliśmy im poczucie niższości. Uczyniliśmy ich gorszymi od nas. Dostarczyliśmy im powodu do konfliktu z nami. Odmówiliśmy im czegoś, co muszą zdobyć w walce - równości. Daliśmy im motyw, o którym Człowiek zapomniał już dawno temu. Człowiek nie musi udowadniać, że jest równie dobry jak inne istoty, że jest najwspanialszym zwierzęciem na świecie lub w Galaktyce.

- Są teraz równi - oznajmił z goryczą Trevor. - Androidy już się reprodukuje... chemicznie, nie biologicznie... od dawna.

- Mogliśmy się tego spodziewać - powiedział Sutton. - Powinniśmy przewidzieć taki rozwój wydarzeń.

- Chyba masz rację - przyznał jego rozmówca. - W końcu wyposażyliśmy ich w taki sam mózg jak nasz. Daliśmy im, albo raczej próbowaliśmy dać, ludzki sposób widzenia.

- I umieściliśmy znak na ich czołach - dodał Asher.

Trevor wykonał gniewny ruch ręką.

- Ten drobiazg przestał być istotny - rzekł. - Kiedy android wykonuje drugiego androida, nie zawracają sobie głowy umieszczaniem znaku.

Sutton drgnął, a potem zamarł, gdy uderzył go grom... Grom, który dudnił i łomotał w jego mózgu. Narastający, bolesny, ryczący grzmot. Grzmot, który zagłuszał wszystko.

Mówił o broni. Powiedział, że jest broń...

- Są zdolni do samodoskonalenia - stwierdził Trevor. - Będą coraz bardziej ulepszać początkowy model. Mogą stworzyć supergatunek, rasę mutantów, czy jak to nazwiesz...

Tylko jedna broń, powiedział. A nie można walczyć tylko jednym pistoletem.

Sutton przyłożył dłoń do czoła i potarł je z całej siły.

- Oczywiście - kontynuował Trevor. - Można oszaleć od myślenia na ten temat. Ja już zaczynam. Możesz wymyślać najbardziej nieprawdopodobne warianty. Są w stanie nas wyeliminować. Nowe wypiera stare.

- Ludzkość w dalszym ciągu pozostanie ludzkością - zaoponował Asher.

- Ewoluwaliśmy powoli, Sutton - odrzekł Trevor. - My, stara rasa. Biologiczny gatunek. Ewoluwaliśmy od samego świtu Człowieka, od łupanego krzemienia i pierwszej siekiery, od jaskini i domu na drzewie. Tworzyliśmy zbyt wolno, z bólem,

przelewając krew tylko po to, aby nasze dziedzictwo odebrał nam ktoś, dla kogo powolność, ból i krew nic nie będą znaczyć.

Jeden pistolet, pomyślał Sutton. Ale się mylił. Były tysiące pistoletów, miliony, ustawiające się w szeregu. Miliony pistoletów, niezbędnych do ocalenie przeznaczenia dla całego życia, które jest lub może być. Teraz lub za miliard lat.

- Pewnie uważasz - odezwał się drżącym głosem - że w tej sytuacji powinienem się do ciebie przyłączyć?

- Chcę, abyś znalazł dla mnie Kołyskę.

- A ty ją zniszczysz.

- I w ten sposób ocalę ludzkość. Starą ludzkość. Prawdziwą.

- Uważasz - rzekł Sutton - że w tej chwili wszystkich ludzi obowiązuje solidarność?

- Jeżeli masz w sobie choć krztę człowieczeństwa, powinieneś być z nami.

- Zanim Człowiek wyruszył do gwiazd - stwierdził Sutton - uważał, że jest jedyną i najważniejszą istotą we wszechświecie. Ale to już nie jest prawda, Trevorze. Istnieje wiele różnych form życia, wiele gatunków tak samo ważnych.

- A istoty, które je tworzą - odparł Trevor - są lojalne wobec własnego gatunku. Człowieka też obowiązuje taka lojalność.

- Zapewne zostanę uznany za zdrajcę - powiedział Sutton. - Może się mylę, ale wciąż jestem zdania, że przeznaczenie jest czymś ważniejszym niż ludzkość.

- Czy to znaczy, że odmawiasz nam pomocy?

- Nie tylko to. Będę z wami walczył i chcę, żebyś o tym wiedział. Jeżeli masz ochotę mnie zabić, Trevorze, teraz jest odpowiednia okazja. Jeśli nie zrobisz tego obecnie, będzie już za późno.

- Nie zabiłbym cię za nic w świecie - odparł Trevor.

- Ponieważ potrzebuję słów, które napiszesz. Wbrew tobie i androidom, Sutton, odczytamy je tak, jak chcemy, aby zostały odczytane. I niechaj wielbią cię wszystkie oślizgłe, pełzające stwory, które tak bardzo podziwiasz. Nic bowiem na boskim świecie nie może dominować nad Człowiekiem czy nawet zrównać się z ludzkością...

Na twarzy szefa korporacji malowała się odraza.

- Pozostawiam cię teraz samemu sobie, Sutton - oświadczył. - Twoje nazwisko stanie się najczarniejszą plamą w naszej historii. Sylaby, które je tworzą, staną się dźwiękiem, dławiącym gardło każdego człowieka, który spróbuje je wymówić. "Sutton" stanie się rzeczownikiem pospolitym, którym posługiwać się będą ludzie, aby się nawzajem obrazić...

Rzucił mu w twarz obelgę, która mogła stanowić powód do wyzwania, ale Sutton nie ruszył się z ławki.

Trevor wstał, zaczął iść przed siebie i nagle się odwrócił. Jego głos nie był silniejszy od szeptu, ale wbił się w umysł Suttona jak dobrze naostrzony nóż.

- Idź i umyj twarz. Zmyj plastik i znak. Ale nigdy już nie będziesz człowiekiem, Sutton. Nie ośmielisz się więcej tak nazwać.

Obrócił się na pięcie i odszedł. Patrząc na jego oddalającą się sylwetkę, Asher poczuł się tak, jakby cała ludzkość odwróciła się do niego plecami.

Gdzieś w jego mózgu zabrzmiał odległy dźwięk przypominający odgłos zatrzasniętych drzwi.

.. 50 ..

W kącie pokoju paliła się jedna lampa. Walizeczka leżała na stoliku, w kręgu światła, a Eva Aromur stała obok krzesła, jakby oczekując na jego przybycie.

- Wróciłeś - powiedziała - aby odebrać notatki. Przygotowałam je dla ciebie.

Stojąc w drzwiach, pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Będę ich potrzebował później. Ale nie teraz.

A teraz, pomyślał, problem, który dręczył mnie przez całe popołudnie. Z trudem znajdował odpowiednie słowa, aby go sformułować.

- Dzisiaj rano przy śniadaniu wspomniałem ci o broni - rzekł. - Zapewne pamiętasz, że powiedziałem wtedy, iż jest tylko jeden jej egzemplarz, a nie można prowadzić wojny pojedynczym pistoletem.

Eva skinęła głową. Jej oświetlona lampą twarz była spięta.

- Pamiętam, Ash.

- Są miliony egzemplarzy - oświadczył. - Ile tylko chcesz.

Przeszedł przez pokój i stanął przed nią twarzą w twarz.

- Jestem po waszej stronie - rzekł po prostu. - Dziś po południu widziałem się z Trevorem. Przeklął mnie w imieniu całej ludzkości.

Wolno podniosła rękę i poczuł, jak jej gładka i chłodna dłoń przesuwa się po jego policzku. Potem palce Ev wsunęły się we włosy Suttona i delikatnie, z czułością potrząsnęła jego głową.

- Ash, umyłeś twarz. Znowu jesteś sobą.

Kiwnął głową.

- Chcę znowu być człowiekiem - oznajmił.

- Trevor powiedział ci o Kołysce, prawda?

- Trochę się domyśliłem, a on dopowiedział resztę o androidach, które nie noszą znaku.

- Wykorzystujemy je jako szpiegów-wyjaśniła tonem, jakby to było zupełnie oczywiste. - Niektóre z nich są nawet w kwaterze głównej Trevora. Sądzi, że są ludźmi.

- A Herkimer? - zapytał.

- Nie ma go tu, Ash. Nie może się tu znajdować po tym, co się zdarzyło na patio.

- Oczywiście - przytaknął Sutton. - Oczywiście, rozumiem doskonale. Evo, my, ludzie, jesteśmy takimi łajdakami.

- Usiądź - zaproponowała. - Tam stoi krzesło. Mówisz takie dziwne rzeczy, że aż się boję.

Usiadł.

- Co się stało? - zapytała.

Nie odpowiedział. A po chwili rzekł:

- Dziś wieczorem myślałem o Herkimerze. Także podczas rozmowy z Trevorem. Uderzyłem go dziś rano i jutro zareagowałbym na jego słowa tak samo. W ludzkiej naturze bowiem tkwi coś takiego... Evo, my, ludzie, wszystko zdobywaliśmy, walcząc. Walczyliśmy toporem i pałą, pistoletem i bombą atomową, i...

- Zamilcz! - krzyknęła Eva. - Nic nie mów, dobrze?

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Ludzie, powiedziałaś. A czymże jest Herkimer, jeżeli nie człowiekiem? Jest człowiekiem... wykonanym przez ludzi. Robot może zrobić innego człowieka i w dalszym ciągu pozostają one robotami, prawda? A człowiek wykonuje innego człowieka i obaj są ludźmi.

- Trevor obawia się, że androidy obejmą panowanie - mruknął ze zmieszaniem Sutton. - Że nie będzie już więcej ludzi. Nie będzie więcej prawdziwych, biologicznych ludzi...

- Ash, przejmujesz się czymś, czego nie rozstrzygną jeszcze tysiące następnych pokoleń. Po co ci to?

Pokręcił głową.

- Chyba nie ma sensu. Ale wciąż o tym wszystkim myślę. Nie ma dla mnie spoczynku. Kiedyś wszystko było takie proste i jasne. Napisałbym książkę, każdy w Galaktyce by ją przeczytał, zaakceptował i wszystko byłoby doskonale.

- Wciąż może tak się stać - powiedziała. - Po jakimś czasie, może bardzo długim czasie. Ale żeby tak się stało, musimy powstrzymać Trevora. Jest zaślepiony tą samą pokrętną semantyką, która otumania również ciebie.

- Herkimer stwierdził, że jeden egzemplarz broni wystarczy - oznajmił Sutton. - Jeden jedyny. Zapewni niezbędną równowagę. Evo, androidy są bardzo zaawansowane w swoich badaniach ludzkiego ciała, prawda? Myślę o badaniach chemicznych. Musiały osiągnąć bardzo wysoki poziom rozwoju, skoro mają takie rezultaty.

Skinęła głową.

- Bardzo, Ash.

- W takim razie dysponują skanerem... maszyną, która może rozłożyć kogoś na części, molekuła po molekuła, zarejestrować niemal każdy atom. Wykonać dokładny plan innego ciała.

- Robiliśmy właśnie tak, jak sobie wyobrażasz, Ash - potwierdziła. - Powielaliśmy ludzi z organizacji Trevora. Porywaliśmy ich, sporządzaliśmy matryce i kopiowaliśmy.... Potem wysyłaliśmy kopie z powrotem, a oryginały umieszczaliśmy w humanitarnych warunkach, ale w

odosobnieniu. Tylko dzięki podobnym zabiegom mogliśmy tak długo się utrzymać.

- Czy moglibyście mnie skopiować? - zapytał Sutton.

- Z całą pewnością, Ash, ale...

- Oczywiście, dając mi inną twarz - dodał. - Ale koniecznie należałoby też skopiować mózg i... no cóż, parę innych rzeczy.

Eva skinęła głową.

- Twoje specjalne umiejętności... - dodała.

- Mogę przeniknąć w inny umysł - wyjaśnił jej. - To nie jest zwykła telepatia, lecz możliwość stawania się inną osobą, istnienia w jej umyśle, widzenia, odczuwania i dysponowania wiedzą tamtej istoty. Nie rozumiem mechanizmu tego zjawiska, ale na pewno jest ono jakoś związane ze strukturą mózgu. Jeżeli skopiujesz mój mózg, umiejętności te przejdą na kopię. Może nie wszystkie kopie będą nimi dysponowały, nie wszystkie też potrafią z nich korzystać, lecz większość chyba tak.

- Ash, to by znaczyło... - szepnęła.

- Że wiedzielibyście wszystko, o czym myśli Trevor. Znali każde słowo i każdą myśl pojawiającą się w jego mózgu. Ponieważ jedno z was będzie Trevorem. To samo może się stać z każdym, kto uczestniczy w wojnie w czasie. W ten sposób natychmiast poznacie wszystkie ich plany, zamiary i przygotowania. I będziecie mogli przeciwdziałać, blokować każdy ruch Rewizjonistów.

- Nastąpi więc pat - stwierdziła Eva. - A tego właśnie chcemy. Strategia pata, Ash. Nie będą wiedzieli, dlaczego ich plany zawodzą, a często też nie będą nawet zdawali sobie sprawy, kto powstrzymuje ich działania. Dojdą do wniosku, że szczęście odwróciło się od nich na stałe... Że przeznaczenie działa przeciwko nim.

- Sam Trevor podsunął mi ten pomysł - przyznał się Sutton - proponując, abym potłukł jeszcze trochę głową o mur. Innymi słowami, miałem się zmęczyć i w końcu, po jakimś czasie, poddać.

- Dziesięć lat - rzekła Eva. - Dziesięć lat powinno wystarczyć. A jeżeli nie dziesięć, to sto. Albo tysiąc, jeśli będzie trzeba. Mamy cały czas do dyspozycji.

- Aż definitywnie - podjął wątek Asher - przegrają i się poddadzą. Ich działania okażą się daremne. Będą zaciekle walczyć i stale przegrywać.

Siedzieli w pokoju, który stanowił maleńką oazę światła broniącego ich przed napierającą ciemnością, i Sutton wcale nie czuł satysfakcji, bo nie było powodu do triumfu. To była konieczność, a nie kwestia zdobyczy. W tej chwili Człowiek walczył sam ze sobą, przegrywając i wygrywając Jednocześnie.

- Czy możesz szybko załatwić przeprowadzenie skanowania? - zapytał Evę.

Skinęła głową.

- Jutro, Ash?

Popatrzyła na niego pytająco i dodała:

- Dlaczego się spieszysz?

- Odchodzę - odparł. - Uciekam do kryjówki, którą sobie obmyśliłem. Oczywiście, jeżeli pożyczysz mi statek.

- Jaki zechcesz.

- Znakomicie. Nie będę więc musiał kraść.

Nie zadała pytania, którego się spodziewał, ciągnął więc dalej:

- Mam zamiar napisać książkę.

- Istnieje wiele miejsc, w których możesz to zrobić, Ash. Bezpiecznych. Całkowicie bezpiecznych.

Pokręcił głową.

- Znam pewnego starego robota. Jest moim jedynym krewnym.

Kiedy byłem na Łabędziu, poleciał do jednego z systemów gwiazdnych na samej krawędzi i osiedlił się tam. Jadę do niego.

- Rozumiem - odrzekła poważnie.

- Jest jeszcze jedna sprawa - dodał. - Wciąż pamiętam małą dziewczynkę, która podeszła i odezwała się do mnie, gdy łowiłem ryby. Wiem, że była tylko projekcją mojego umysłu. Wiem, że wszystko zrobiono celowo, ale nie ma to najmniejszego znaczenia. Wciąż o niej myślę.

Spojrzał na Evę i dostrzegł, że światło lampy przemieniło jej włosy w miedzianą aureolę.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek się zakocham - rzekł. - Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że cię kocham. Evo. Ale pragnąłbym, abyś poleciała ze mną na planetę Bustera.

Pokręciła głową.

- Ash, muszę tu jeszcze zostać przez jakiś czas. Pracowałam nad tą sprawą wiele lat. Muszę dopilnować jej ukończenia.

Widoczne w świetle lampy jej oczy były przymglone.

- Może kiedyś, Ash, jeżeli wciąż będziesz mnie pragnął. będę mogła przylecieć na twoją planetę.

- Zawsze będę cię pragnął, Evo - odparł po prostu.

Wyciągnął rękę i z czułością dotknął miedzianego koka spadającego na jej czoło.

- Wiem, że nigdy nie przylecisz - stwierdził. - Gdyby wszystko było nieco inaczej... Gdybyśmy byli dwojgiem zwykłych ludzi, którzy mają swoje zwyczajne życie.

- Jest w tobie wielkość, Ash - powiedziała. - Dla wielu będziesz bogiem.

Wstał w milczeniu i poczuł, jak ogarnia go samotność wieczności. Nie było wielkości, o której mówiła, jedynie samotność i gorycz człowieka, który był sam i pozostanie sam na

zawsze.

Sutton unosił się w morzu światła i słyszał dobiegający z oddali pomruk pracujących maszyn, małych, krzątających się maszyn, które rozbierały go na podstawowe składniki za pomocą delikatnych świetlnych palców, trzaskających migawek i światłoczułego papieru wysnuwającego się z podajników jak strumień roztopionego srebra. Przeprowadzały wiwisekcję, mierzyły, badały, sondowały... niczego nie omijając, niczego nie ujmując. Wierny zapis nie tylko jego samego, ale każdej jego cząstki, każdej komórki i atomu, każdego nerwu i włókna mięśniowego.

A z jakiegoś innego, bardzo oddalonego źródła, z miejsca położonego poza unoszącym go morzem światła, nieznanego głosu wypowiedział jedno jedyne słowo i powtarzał je bez przerwy:

Zdrajca.

Zdrajca.

Zdrajca.

Jedno słowo bez wykrzyknika. Beznamiętny głos. Jedno proste słowo. Najpierw odzywał się jeden głos, potem dołączył się drugi, wreszcie powstał chór, a w końcu ryczący tłum. Dźwięk narastał do maksimum, aż stał się światem głosów wypowiadających jedno tylko słowo. Powtarzających słowo, które nie miało już żadnego znaczenia, utraciło je całkowicie i stało się po prostu wielokrotnie powtarzanym dźwiękiem.

Sutton próbował odpowiedzieć temu głosowi, ale nie mógł

znaleźć ani odpowiedzi, ani sposobu, w jaki mógłby jej udzielić. Nie mógł wydać głosu, ponieważ nie miał już ani warg, ani języka i gardła. Był jednostką unoszącą się w przestrzeni światła, a słowo wciąż się rozlegało, powtarzane niezmiennie i bez przerwy.

Ale oprócz tego słowa, na jego tle, znajdowały się jeszcze inne - nie wypowiedziane. To my jesteśmy tymi, którzy uderzyli krzemieniem o krzemień i rozniecili pierwszy ogień Człowieka. My jesteśmy tymi, którzy wypędzili zwierzęta z jaskiń i zajęli je sami, aby stworzyć w nich pierwsze zręby ludzkiej kultury. My jesteśmy tymi, którzy malowali barwne bizona na ukrytych ścianach, pracując przy świetle lamp, w których mech pełnił funkcję knota, a tłuszcz - oliwy. Jesteśmy tymi, którzy orali ziemię i rozrzucali ziarno, by wzrastało pod naszymi dłońmi. Jesteśmy tymi, którzy wybudowali wielkie miasta, aby nasz ród mógł żyć razem i tworzyć wielkość, jakiej nie podołałaby garstka. To my marzyliśmy o gwiazdach. To my rozbiliśmy atom i ujarzmiliśmy go siłą naszego umysłu.

A teraz zaprzepaszczasz nasze dziedzictwo. Naszą tradycję oddajesz rzeczom, które sami zrobiliśmy, które wykonaliśmy dzięki zręczności naszych rąk i sprawności umysłu. Maszyny cykały, głos zaś powtarzał wciąż jedno tylko słowo...

Gdzieś jednak głęboko, w nie dającej się określić istocie, jaką był teraz Asher Sutton, rozbrzmiewał jeszcze jeden, słabutki głosik...

Nie wypowiadał słowa, ponieważ żadne słowo nie mogło oddać przekazywanej myśli.

Sutton odpowiedział mu:

- Dziękuję ci Johnny. Bardzo ci dziękuję.

Zaskoczyło go, że mógł odpowiedzieć Johnny'emu, chociaż nie

potrafił nic odrzec innym.

Maszyny wciąż pobrzękiwały i cykały...

Srebrzysty statek przemknął z rykiem po rampie startowej, zawrócił ku górze i pomknął w niebo, pozostawiając w błękicie nieba ognisty ślad.

- Nie wie - rzekł Herkimer - że wszystko było starannie zaplanowane, że manipulowaliśmy nim do ostatka. Przecież specjalnie wysłaliśmy przed wieloma laty Bustera, aby przygotował dla niego kryjówkę, bo wiedzieliśmy, że będzie mu kiedyś potrzebna.

- Herkimer - powiedziała Eva. - Herkimer...

I dodała zdławionym głosem:

- Prosił, abym z nim poleciała. Mówił, że mnie potrzebuje. A ja nie mogłam tego zrobić. Ani wytłumaczyć mu, dlaczego nie mogę.

Stała z uniesioną głową, obserwując maleńki ognisty punkt zmierzający w stronę kosmosu.

- Musi wciąż wierzyć - rzekła - że są ludzie, którym dopomógł, że są jeszcze ludzie, którzy wciąż w niego wierzą.

Herkimer skinął głową.

- To była jedyna rzecz, którą można było zrobić. Musiałaś tak postąpić. Wzięliśmy od niego bardzo wiele, bardzo wiele z jego człowieczeństwa. Nie mogliśmy wziąć wszystkiego.

Zakryła twarz rękami i zgarbiła się nagle. Kobieta-android stała nieruchomo, płacząc rozpaczliwie.